

SPOŁECZEŃSTWO GŁĘBOKO LUDZKIE

Tom 1

SZCZECIŃSKI ZALEW MYŚLI

zamkowe sympozja 2008–2010



UNIwersytet Szczeciński
ROZPRAWY I STUDIA T. (CMLXXXVI) 912

SPOŁECZEŃSTWO GŁĘBOKO LUDZKIE

Tom 1

SZCZECIŃSKI ZALEW MYŚLI
zamkowe sympozja 2008–2010

Redakcja naukowa

Iwona Jazukiewicz

Arkadiusz Więcko

Szczecin 2015

Rada Wydawnicza

*Adam Bechler, Tomasz Bernat, Anna Cedro, Paweł Ciężczyk
Piotr Michałowski, Małgorzata Ofiarska, Aleksander Panasiuk
Grzegorz Wejman, Dariusz Wysocki, Renata Ziemińska
Marek Górski – przewodniczący Rady Wydawniczej
Radosław Gaziński – redaktor naczelny Wydawnictwa Naukowego*

Recenzent

dr hab. Krzysztof Kalka prof. EUH-E

Redakcja

Renata Czerwińska

Korekta

Monika Trybocka

Skład komputerowy

Agnieszka Koziół

Projekt okładki

Joanna Dubois-Mosora

Fotografie

*Jakub Kulawczuk, Marcin Doroczyński (okładka)
Jakub Kulawczuk (s. 98, 99), Marcin Doroczyński (s. 200, 201), Anna Bentyn (s. 244, 245),
Ryszard Filipowicz (s. 245), Marcin Delektowski, Romana Olkiewicz (s. 256)*

Autorzy logo SZM na okładce

Remigiusz Gościński, Arkadiusz Więcko

Redaktorzy wydania dziękują Szanownym Prelegentom i Współpracownikom Szczecińskiego Zalewu Myśli 2008–2010 za wyrażenie zgody na nieodpłatną publikację swoich wystąpień i fotografii.

Książka powstała w współpracy Wydziału Teologicznego US z organizatorem SZM – Fundacją Dom Rodzinny Jandrzejówka (dawniej Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach).

© Copyright by Uniwersytet Szczeciński, Szczecin 2015

ISBN 978-83-7972-017-0

ISSN 0860-2751

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego

Wydanie I. Ark. wyd. 10,0. Ark. druk. 15,7. Format A5.

Spis treści

WPROWADZENIE	7
--------------------	---

Rozdział 1

SILNY POTRZEBUJE SŁABEGO

Miejsce słabości w relacjach międzyludzkich

Program sympozjum SZM 2008	19
----------------------------------	----

Relacje międzyludzkie

<i>Czy w dobrych relacjach można ominąć słabość?</i> – Zbigniew Nosowski	25
--	----

<i>Życie na granicy śmierci – nawiązanie dialogu</i> – Leszek Woroniecki	35
--	----

<i>Czy słaby, cierpiący może być pożyteczny?</i> – Jadwiga Gajlun-Markur	41
--	----

<i>Osoba z zespołem Downa – między fantazją a rzeczywistością</i> – Tadeusz Sobolewski	47
---	----

<i>Poświęcam się czy korzystam z przywileju? Paradoxs siły i słabości</i> – Arkadiusz Więcko	53
---	----

<i>Słabość jako instrument wychowania narodu wybranego</i> – Wojciech Jędrzejewski	59
---	----

Panorama zranionych i odrzuconych – mity i rzeczywistość

<i>Co chcą nam powiedzieć zranieni, odrzuceni? (List do uczestników sympozjum)</i> – Małgorzata Chmielewska	67
--	----

<i>Moją siłą jest moja słabość. Przypowieść o dwóch wędrowcach</i> – Elżbieta Linartowicz	71
--	----

<i>Towarzyszenie człowiekowi w telefonie zaufania</i> – Anna Murawska	75
---	----

<i>Integracja osób zdrowych i niepełnosprawnych na przykładach</i> – Beata Kropidłowska	81
--	----

<i>Szkoła znoszenia słabości tych, którzy nas niszczą</i> – Piotr Filipowski	85
<i>Moja droga do trzeźwości</i> – Marek Dorożyński	89
<i>Co chcą nam powiedzieć więźniowie?</i> – Robert Kos	95

Rozdział 2

ZA DARMO NIE NA DARMO

O rehabilitację cnót

Program sympozjum SZM 2009	103
----------------------------------	-----

Bezinteresowne relacje

<i>Człowiek nie jest „po co”. Personalistyczne ujęcie bezinteresowności</i> – Małgorzata Wałęjko	109
<i>Moi rodzice: Maria i Stefan Chałubińscy</i> – Agnieszka Chałubińska-Gonerko ...	115
<i>Bezinteresowność w muzyce. Rzecz o wartości daru</i> – Piotr Klimek	123
<i>Gość w dom – Bóg w dom: polska specjalność?</i> – Timm Stuetz	131
<i>Po co nam matematyka? Między bezinteresownością a użytecznością</i> – Antoni Smoluk	135
<i>Jeśli nie harcerstwo, to co w zamian? Aspekty wychowawcze aikido</i> – Krzysztof Gorący	143
<i>Niezwykłe postawy bezinteresowności w dziejach narodu polskiego</i> – Henryk Samsonowicz	155

Pieniądze a etyka bezinteresowności

<i>O darzącej naturze cnót</i> – Iwona Jazukiewicz	163
<i>O kulturze dawania</i> – Roberto Saltini	171
<i>Co tak naprawdę jest moje? (1 Kor 4,7)</i> – Krzysztof Pałys	177
<i>Uwolniłem się od własności</i> – Andrzej Miłkowski	183
<i>Zmierzch urodzonych społeczników</i> – Andrzej Konopelski	193
<i>Zmierzch społeczników? Wspomnienie o Annie Kowalewskiej</i> – Arkadiusz Więcko	197

Rozdział 3
MAŁY KSIĄŻĘ
Ocalić dziecko w dorosłym

Program sympozjum SZM 2010	205
<i>„Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”.</i> <i>Przed czym Jezus przestrzega nas dorosłych?</i> – Małgorzata Wałęjko	209
<i>„Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”.</i> <i>Przed czym Jezus przestrzega nas dorosłych?</i> – Maciej Szmuc	217
<i>Między dzieciństwem a zdziecinnieniem</i> – Marcin Gajda	221
<i>Dziecko obecne w akcie twórczym artysty</i> – Piotr Klimek.....	225
<i>Doniosłość dziecięcych pytań – pytanie lepsze niż odpowiedź?</i> – Anna Bentyn	231
<i>Dziecko źródłem miłości, kiedy brakuje nam już siły</i> – Katarzyna Ciesielska.....	235
<i>Uśmiechy dzieci niepełnosprawnych – artystów Pana Boga</i> – Leszek Aleksander Moczulski.....	239
POSŁOWIE	247
SUMMARY	253

Wprowadzenie

Człowiek i jego egzystencja są kwestią interesującą przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych kolejnych epok, a mimo to wciąż w znacznym stopniu pozostaje on tajemnicą, w dodatku wymagającą, zakładającą jego osobiste zaangażowanie, bez względu bowiem na wykształcenie i światopogląd każdy stoi wobec konieczności zrozumienia siebie. Podjęcie tego trudu wpisuje się w rozwój człowieka i decyduje o jego kondycji w różnych wymiarach codziennego funkcjonowania. Psychologiczne i socjologiczne rozpoznania uzasadniają określenie tej kondycji między innymi jako *homo consumens* – nieopanowanego, a często i bezmyślnego konsumenta, którego życiowym celem jest coraz więcej mieć, używać i znaczyć¹. Współczesna strategia życiowa wymaga decyzji, by żyć z dnia na dzień, traktować życie jako serię nagłych potrzeb i ewentualności, unikać wierności ludziom, wartościom, miejscom². Niemiecki filozof, psycholog i socjolog XX wieku, Erich Fromm, zdiagnozował kondycję współczesnego człowieka jako „widmo społeczeństwa całkowicie zmechanizowanego, nastawionego maksymalnie na produkcję dóbr materialnych i konsumpcję, kierowanego przez komputery. Człowiek poczyna jawić się jako niewiele znaczący element totalnej maszyny, właściwie odżywiany i zabawiany, lecz bierny i bez życia, pozbawiony niemal uczuć”³. W tej pogoni za przyjemnością i nieskrępowaną wolnością człowiek gubi odwieczny cel, do którego w życiu podąża - szczęście.

W pięknym Szczecinie, zwanym Paryżem Północy, w którym na każdym kroku zieleń i urzekająca secesyjna zabudowa przenika się z nowo-

¹ E. Fromm, *Rewolucja nadziei. Ku uczłowieczonej technologii*, Poznań 2000, s. 50.

² Por. Z. Bauman, *Ponowoczesność jako źródło cierpienia*, Warszawa 2000, s. 142.

³ E. Fromm, dz. cyt., s. 23.

czesną architekturą, w renesansowym Zamku Książąt Pomorskich usytuowanym na Wzgórzu Zamkowym w sąsiedztwie Odry, w jesienny czas sprzyjający swoją specyfiką podejmowaniu refleksji, odbywają się corocznie Listopadowe Spotkania z Kulturą o nazwie Szczeciński Zalew Myśli. Ich przesłaniem jest idea **społeczeństwa głęboko ludzkiego**, w którym najważniejszy jest człowiek i jego spełnione, szczęśliwe życie. Prelegentami są osoby znane i nieznanne, reprezentujące świat nauki i sztuki lub niemające z nim nic wspólnego, doświadczone lub młode, a kolor ich politycznych sympatii nie ma znaczenia. Łączy je istotny fakt: są to osoby, które starają się żyć pięknie bez przypisywania sobie monopolu na jedynie słuszne racje. Wspólnym językiem tych spotkań są ogólnoludzkie wartości oraz otwartość na odmienność i dialog. Zaproszonym jest każdy, kto nie stracił nadziei na możliwość bycia szczęśliwym: młodszy i starszy, lepiej lub gorzej wykształcony, bardziej lub mniej zadowolony z życia. Organizatorem tego forum dzielenia się myślą, pasją i doświadczeniem osobistym jest Fundacja Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (wcześniejsza pełna nazwa: Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach dla Upośledzonych Umysłowo Sierot pw. Dzieciątka Jezus), która posługuje od dwudziestu lat środowisku szczecińskich wspólnot, uczestniczących w międzynarodowym ruchu „Wiara i Światło” z udziałem osób z niepełnosprawnością intelektualną⁴. Pomysłodawcą i koordynatorem Szczecińskiego Zalewu Myśli z ramienia organizatora jest mgr Arkadiusz Więcko, emerytowany nauczyciel matematyki.

Struktura Szczecińskiego Zalewu Myśli jest niezwykle bogata. Rozpoczyna go piątkowym popołudniem otwarta debata dla mieszkańców Szczecina, tematycznie nawiązująca do głównego w danym roku tematu spotkania. Ma ona charakter panelu dyskusyjnego o charakterze popularnonaukowym. W sobotę do wczesnego popołudnia odbywa się sympozjum naukowe z udziałem zaproszonych prelegentów. Towarzyszą mu tematyczne wystawy artystyczne, diaporamy oraz prezentacja książek i płyt

⁴ Więcej informacji na temat działalności fundacji znajduje się na stronie internetowej: www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl.

Gości Zalewu. Artystami systematycznie współpracującymi ze Szczecińskim Zalewem Myśli jest małżeństwo Elżbieta i Timm Stuetzowie. Artystka jest fotografikiem AFIAP, ma na swoim koncie wystawy indywidualne i zbiorowe w Anglii, Austrii, Kanadzie, Francji, Hiszpanii, Makau, Malezji, na Węgrzech i oczywiście w Polsce. Podejmowane przez nią tematy dotyczą Tatr, pejzaży, portretów, obrazów malowanych kwiatem. Timm jest niemieckim artystą fotografem, twórczym kontynuatorem spuścizny H.C. Bressona, sławnego francuskiego fotografa – mistrza metaforycznego zatrzymania w kadrze człowieka w jego codzienności; prócz tego dziennikarzem i tłumaczem, na stałe mieszkającym w Polsce.

Szczególną formą Szczecińskiego Zalewu Myśli jest program edukacyjny „Od idei się zaczyna”, powstały w 2010 roku w ramach umowy partnerskiej między organizatorem spotkania a I LO im. Marii Skłodowskiej-Curie w Szczecinie, realizowany cyklicznie w ciągu roku szkolnego pomiędzy spotkaniami zamkowymi. Lokalni prelegenci Szczecińskiego Zalewu Myśli zapraszani są na szkolne spotkania z młodzieżą, w czasie których dzielą się swoim życiowym programem i doświadczeniem. Jednym z wymiernych owoców tego programu edukacyjnego jest konkurs literacko-plastyczny, nawiązujący do tematu Zalewu w danym roku. Jego rozstrzygnięcie, przy udziale dyrekcji i nauczycieli szkoły, ma miejsce w trakcie zamkowego sympozjum naukowego. Nagrodzone prace są prezentowane przez uczniów uczestnikom sympozjum.

Sobotni wieczór Szczecińskiego Zalewu Myśli przeznaczony jest co roku na koncert z cyklu „Zespół Piosenki Naiwnej i jego goście”. Zaproszenie do aktywnego udziału w tym wydarzeniu artystycznym przyjęli m.in. Elżbieta Adamiak, Jacek Kleyff, Elżbieta Wojnowska. Zespół Piosenki Naiwnej jest artystyczną formacją niepełnosprawnych intelektualnie solistów ze środowiska szczecińskich wspólnot międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”. Opiekę nad zespołem sprawuje organizator Szczecińskiego Zalewu Myśli. Pierwsze autorskie piosenki w wykonaniu

zespołu zostały nagrane w lutym 2006 roku⁵. Od tego czasu zespół nagrał kilka płyt i koncertował w Polsce oraz poza granicami kraju.

Szczeciński Zalew Myśli odbywa się od 2008 roku. Prezentowany tom jest zbiorem wybranych prelekcji wygłoszonych w pierwszych trzech latach. Poszczególne rozdziały tego zbioru odpowiadają kolejnym spotkaniom. Dotyczą one trzech filarów, na których powinno wspierać się uczestnictwo w budowaniu podstaw społeczeństwa głęboko ludzkiego. Są to: oswojona słabość, postawa bezinteresowności oraz droga dziecięctwa.

Tytuły rozdziałów odpowiadają tematowi zamkowych spotkań. Rozdział pierwszy zatytułowano „Silny potrzebuje słabego. Miejsce słabości w relacjach międzyludzkich”⁶. Obejmuje on wystąpienia wygłoszone 22 listopada 2008 roku. Spotkanie miało charakter dzielenia się osobistym doświadczeniem siły, która rodzi się z przyjęcia własnej lub cudzej słabości. Jego generalnym przesłaniem była myśl, że słabość i siła są nieodłącznymi towarzyszami każdego człowieka. Siła, u której źródeł znajduje się ludzka słabość, może przybrać konstruktywny, życiodajny charakter, o ile słabość w sobie lub innym nie zostanie odrzucona, lecz potraktowana jako wyzwanie, z którym trzeba się zmierzyć. Wśród prelegentów znajdowały się osoby dotknięte słabością w sposób szczególny lub pochylające się od lat nad tzw. słabymi i potrzebującymi, m.in. wolontariusze szczecińskiego hospicjum. Utańczyło się przekonanie, że słabi to nieodłączna klientela opieki społecznej, przedmiot zabiegów programów pomocowych oraz uczestnicy medialnych akcji. Czy słabi potrafią tylko brać? Chwilowo silni, którzy pochylają się nad słabymi, potwierdzają doświadczenie szczególnego paradoksu: dając – znacznie więcej otrzymują, bo słabość zdolna jest rodzić siłę, a słabi mogą być piękni w tym, jak żyją. Pomagając innym, pomagamy

⁵ Fragmenty nagrań Zespołu Piosenki Naiwnej są dostępne na stronie Fundacji Dom Rodzinny w Łysogórkach: www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl.

⁶ Teksty zamieszczone w rozdziale pierwszym są przedrukiem z broszury *Sympozjum na Zamku. Miejsce słabości w relacjach międzyludzkich*, wydanej przez Organizatora Szczecińskiego Zalewu Myśli w 2009 roku dzięki dofinansowaniu przez Urząd Miasta Szczecina.

sobie. Ludzie zdrowi i sprawni prześcigają się w pomnażaniu swojego dorobku, goniąc czas. Ludzie tzw. słabi mają dużo wolnego czasu, wyczekują na spotkanie z drugim, rozmowę z nim, towarzyszenie choćby przez chwilę. Obecność słabych jest zaproszeniem dla silnych do refleksyjnego i praktycznego zatrzymania się na moment w codziennym zaśpieszeniu. Można przy tej okazji odkryć, że ludzkie cierpienie może mieć walor życiodajny i doświadczyć, że to silny potrzebuje słabego.

Rozdział drugi ma tytuł „Za darmo nie na darmo. Bezinteresowność, hojność, wspaniałomyślność – o rehabilitację cnót”. Zawarto w nim wystąpienia z 21 listopada 2009 roku. To Listopadowe Spotkanie z Kulturą było refleksyjną podróżą od powszechnego współcześnie przekonania: „Co ja będę z tego miał?” do mniej popularnego: „Czym mogę dzielić się z innymi?”. Poszukiwano odpowiedzi na ważne pytania: jakie są praktyczne przejawy bezinteresowności? Skąd bierze się lęk przed dzieleniem się sobą, swoim dorobkiem z innymi? Co tak naprawdę jest moje? Czy stałe dzielenie się zyskiem podważa rynkowe prawa? Czy Polacy są hojni? Po co nam matematyka, muzyka, góry? Czy w dobie grantów, instytucjonalizacji, etatyzacji organizacji społecznych jest jeszcze miejsce dla tzw. społeczników? Czy są jeszcze takie miejsca, w których młode pokolenie może kształtować swój charakter, praktykując postawę służebną? Zwrócono się z tymi pytaniami do prelegentów – praktyków bezinteresowności, których łączy przekonanie o tym, że warto w życiu być bezinteresownym. Są to osoby wiarygodne, bo żyjące według tego, co głoszą. Szczeciński Zamek Książąt Pomorskich okazał się miejscem niezwykle sprzyjającym swoją atmosferą tematyce spotkania – być może to zaproszeni goście są współczesnymi książętami, tyle że zamiast bogactwa, sławy i splendoru władzy noszą w sobie inne atrybuty: skromności, zaangażowania, gotowości do służebnej postawy. Można przecież być hojnym, nie posiadając majątku.

Rozdział trzeci nawiązuje do fenomenu dziecka: „Mały Książę. Ocalić dziecko w dorosłym”. Spotkanie na Zamkowym Wzgórzu na ten temat odbyło się 27 listopada 2010 roku i było ukierunkowane na szukanie

odpowiedzi między innymi na następujące pytania: co takiego cennego jest w dziecku, że czujemy się nim zauroczeni i jako dorośli tęsknimy za okresem dzieciństwa? Jak nie dać się rutynie, nie ulec zgorzknieniu, znużeniu, że wszystko już było? Jak zachować w sobie postawę dziecka po kres swojego życia? Co zrobić, by pozostawać w swej postawie dzieckiem, a jednocześnie nie ulec zdziecinnieniu, infantyilizmowi? Teksty wybrane do niniejszej publikacji częściowo wskazują odpowiedzi na sformułowane pytania, ale przede wszystkim zachęcają Czytelnika do stawiania własnych pytań. Mały Książę, bohater książki Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, stawia przecież pytania, a jeśli odpowiada, to często kolejnym pytaniem. Zapytania dziecka są na ogół niebanalne, potwierdzają jego nieustanną ciekawość i chęć poznawania. Dorosłym nie zawsze chce się pytać i poznawać odpowiedzi. Dla jakich pytań domaga się szacunku ten Mały Książę, który jest w każdym z nas? Wszak francuski pisarz to jedno z ważniejszych dzieł XX wieku poświęcił dorosłemu.

Oswajanie własnych i cudzych słabości, gotowość do bezinteresowności w połączeniu z postawą dziecięctwa – to szansa na bardziej ludzkie, solidarne społeczeństwo. Ideę Szczecińskiego Zalewu Myśli odzwierciedla jego logo, znajdujące się na okładce książki. Przedstawia ono na pierwszym planie trzy żagle z symbolami Szczecińskiego Zalewu Myśli. Żagle są morskim akcentem pięknego Szczecina, ale też symbolem specyfiki zamkowych spotkań: trzy pojedyncze białe żagle symbolizują różne, indywidualne punkty widzenia. Poznanie dwóch pozostałych może być dla każdego z nich inspiracją. Pomimo różnic, wyrażonych na rysunku kształtem i kolorem, możliwe jest, aby popłynęły we wspólnym kierunku, nawzajem siebie poznając i wzbogacając, a nie rywalizując ze sobą. Ten wspólny punkt, zaznaczony na rysunku jako czarna kropka w jego górnej części, symbolizuje szukanie podobieństw ponad różnicami. Jest on znacznie wyraźniejszy od pojedynczych spojrzeń, bo jest kompletny, dopełniony przez każde z nich. W trakcie Szczecińskiego Zalewu Myśli można poznać osoby mające różny światopogląd, a mimo to spotkania nie mają charakteru autorytarnego: myślimy, słuchamy, rozmawiamy, proponujemy, lecz niczego

nie przesądzamy. Uczymy się rewidować własną postawę. Nie zatracając własnej tożsamości, wzbogacamy ją poznaniem innego punktu widzenia. Zetknięcie z innym pozwala przewyciężyć monologiczną samotność, a jednocześnie ukonstytuować siebie, zarazem wykroczyć poza siebie i potwierdzić siebie. Uczestników łączy z troskanie o jakość codziennego życia – nie chodzi o to, by żyć jakkolwiek, lecz by życie można było rozważyć w kategorii miłości, dobra i piękna.

Zapraszamy do udziału w Szczecińskim Zalewie Myśli każdego, kto nie stracił nadziei na realność urzeczywistnienia idei społeczeństwa głęboko ludzkiego. Zaproszenie dotyczy bezpośredniego udziału w corocznych spotkaniach na Zamku Książąt Pomorskich oraz pośredniego poprzez lekturę przedłożonego tomu.

Iwona Jazukiewicz

Rozdział 1

SILNY POTRZEBUJE SŁABEGO

Miejsce słabości w relacjach międzyludzkich



I Szczeciński Zalew Myśli

SILNY POTRZEBUJE SŁABEGO Miejsce słabości w relacjach międzyludzkich

22 listopada 2008, Zamek Książąt Pomorskich, Szczecin

Największe owoce są zawsze efektem bezbronności
Henri J. M. Nouwen

Program

SOBOTA

Sala Anny Jagiellonki, Zamek Książąt Pomorskich

Prowadzenie: red. Wiesława Piećko, Szczecin

Wprowadzenie muzyczne – *What a Wonderful World*, wykonawcy: Radosław Jabłoński – fortepian, Ireneusz Leciejewski – gitara, Maciej Marcinkowski – saksofon, Marek Dorożyński – skrzypce oraz Zespół Piosenki Naiwnej w składzie: Iwona Dzik, Grażyna Rosik, Ola Jokusz – solistki, Krzysztof Garbarski – harmonijka ustna, Arek Więcko – gitara klasyczna.

Sesja przedobiednia: „Relacje międzyludzkie”

1. Czy w dobrych relacjach można ominąć słabość? – red. Zbigniew Nosowski, „Więź” Warszawa
2. Życie na granicy śmierci – nawiązanie dialogu – ks. Leszek Woroniecki, Hospicjum św. Jana Ewangelisty, Szczecin
3. Czy słaby, cierpiący może być pożyteczny? – Jadwiga Gajlun-Markur, Szczecin
4. Osoba z zespołem Downa – między fantazją a rzeczywistością – Tadeusz Sobolewski, ojciec córki z zespołem Downa, krytyk filmowy, Warszawa
5. Poświęcam się czy korzystam z przywileju? Paradoks siły i słabości – Arkadiusz Więcko, przyjaciel we wspólnocie międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”, Szczecin
6. Słabość jako instrument wychowania narodu wybranego – Wojciech Jędrzejewski OP, klasztor oo. Dominikanów w Łodzi, katecheta, rekolekcjonista

Przerwa na kawę, prezentacja ofert dla wolontariuszy organizacji i ruchów na rzecz słabych

Przedobiedni panel dyskusyjny z udziałem prelegentów i uczestników¹

Przerwa na obiad w restauracji Zamkowa i prezentacja ofert dla wolontariuszy

Sesja poobiednia: „Panorama zranionych, odrzuconych – mity i rzeczywistość” – głos przedstawicieli ruchów, placówek na rzecz uzależnionych, ubogich, więźniów, osób dotkniętych tragedią, samotnością

7. Co chcą nam powiedzieć zranieni, odrzuceni? (List do uczestników sympozjum) – siostra M. Chmielewska, Fundacja „Chleb Życia”.
8. Moją siłą jest moja słabość – Elżbieta Linartowicz, Poradnia Pedagogiczna „Akademos”, Szczecin

¹ Teksty wystąpień w panelach z udziałem publiczności są dostępne na stronie organizatora: www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl.

9. Towarzyszenie człowiekowi w telefonie zaufania – dr Anna Murawska, wiceprezes Stowarzyszenia Telefon Zaufania, Szczecin
10. Integracja społeczna ludzi zdrowych i niepełnosprawnych na przykładach – Beata Kropidłowska, Stowarzyszenie Osób Zdrowych i Niepełnosprawnych „Warto być”, Police
11. Szkoła znoszenia słabości tych, którzy nas niszczą – ks. Piotr Filipowski, prefekt Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii, Szczecin
12. Moja droga do trzeźwości – Marek Dorożyński, uczestnik ruchu AA, Szczecin
13. Co chcą nam powiedzieć więźniowie? – ks. Robert Kos, duszpasterz więźniów na wolności i rodzin byłych więźniów

Poobiedni panel dyskusyjny z udziałem prelegentów i uczestników

Przerwa kolacyjna i prezentacja ofert dla wolontariuszy

KONCERT TOWARZYSZĄCY z cyklu „Zespół Piosenki Naiwnej i jego goście” z udziałem Elżbiety Adamiak, Jacka Kleyffa, Sławomira Nowaka, Aleksandry Krysian, szczecińskich artystów: Ryszarda Leoszewskiego oraz zespołów Blue Bossa i Chorych na Odrę z Olkiem Różankiem

* * *

ORGANIZATOR: Fundacja Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (dawniej pod nazwą Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach), www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl

WSPÓŁPRACA: Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna „Akademos” ze Szczecina, Stowarzyszenie Wspierające Integrację Osób Zdrowych i Niepełnosprawnych „Warto być” z Polic, restauracja Zamkowa, Agencja Reklamowa OSKAR WEGNER, regionalny serwis informacyjny Infoludek.pl



Relacje międzyludzkie

*Zbigniew Nosowski**

CZY W DOBRZYCH RELACJACH MOŻNA OMINĄĆ SŁABOŚĆ?

Zadano mi temat „Czy w dobrych relacjach można ominąć słabość?”. Najpierw łudziłem się, że uda mi się od niego nieco uchylić i mówić co innego, ale szybko się zorientowałem, że to, o czym mógłbym mówić, jest już zawarte w tematach kolejnych wystąpień. Mowa przecież będzie i o tym, że człowiek słaby i cierpiący może być pożyteczny, i o osobach z upośledzeniem umysłowym, które są mi szczególnie bliskie, i o paradoksie siły i słabości, i o tym, że bycie z ludźmi słabymi (oceniane z zewnątrz jako wielkie poświęcenie) od wewnątrz może być odbierane jako wielki przywilej, i o tym, że moja słabość może być moją siłą. Nie mam zatem wyjścia, muszę próbować mówić na temat, nawet jeśli nie jestem głęboko przekonany, że mam coś istotnego do powiedzenia.

Żeby odpowiedzieć na tak postawione pytanie, muszę wpierym zastanowić się nad tym, jakie relacje można nazwać dobrymi. Potocznie, na co dzień, gdy mówimy, że jesteśmy z kimś w dobrych relacjach, często mamy na myśli taki poziom stosunków międzyludzkich, który można by określić co najwyżej mianem poprawnych. „Jestem z nim w dobrych rela-

* Zbigniew Nosowski – z wykształcenia socjolog i teolog, z zawodu publicysta, redaktor naczelny kwartalnika „Więź”, z powołania przyjaciel osób z niepełnosprawnością intelektualną, wieloletni członek międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”, w latach 2002–2008 konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich., autor wielu książek, m.in. *Parami do nieba* oraz *Krytyczna wierność. Jakiego katolicyzmu Polacy potrzebują*.

„cjach” – jakże często znaczy tylko tyle, że „jesteśmy w stanie się dogadać”, „mogę z nim to załatwić” albo „mogę z nim o tym porozmawiać”. Do myślam się, że organizatorom tego spotkania chodzi jednak o coś więcej niż relacje poprawne.

Relacje dobre, relacje poprawne

Jakie zatem relacje są dobre? Powiedziałbym, że takie, z których wypływa dobro; takie, które wzbogacają, które tworzą wartość dodaną – nie w sensie ekonomicznym, oczywiście, lecz duchowym: taką duchową wartość dodaną będącą efektem spotkania, otworzenia się na drugiego i dialogu; takie wreszcie, w których stajemy wobec siebie w prawdzie. Ten ostatni punkt wydaje mi się najważniejszy z punktu widzenia dzisiejszego tematu.

W dobrych relacjach międzyludzkich ujawnia się **prawda** o mnie i prawda o drugim człowieku. W relacjach poprawnych prawda o człowieku nie jest konieczna. Nie mówię tego krytycznie, taka jest po prostu ich natura. Nawiązuje się je często przy okazji – coś wspólnie robimy, wspólnie pracujemy, mamy podobne cele i dążymy do ich realizacji, wspólnie należymy do jakiejś organizacji, gdzieś wspólnie wyjeżdżamy. Relacje poprawne nawiązujemy najczęściej pod kątem efektywności: coś chcemy wspólnie osiągnąć. Relacje dobre natomiast to takie, które nawiązujemy dla nich samych, bezinteresownie. Oczywiście, może się to zmieniać w czasie – mój współpracownik może stać się moim przyjacielem i odwrotnie.

Istotną sprawą jest to, że człowiek, z którym jestem w dobrej relacji (najczęściej, ale niekoniecznie mogę go nazwać przyjacielem), zna prawdę o mnie – i nawzajem, ja znam prawdę o nim. W relacjach poprawnych nie jest to konieczne, a czasem wręcz zbyteczne. Osoby, z którymi jestem w relacjach poprawnych, znają tylko część prawdy o mnie. Czasem więcej nie potrzeba, bo to, co o sobie wiemy i jak się znamy, absolutnie wystarcza do efektywności współpracy. Czasem jednak w relacjach poprawnych po prostu nie chcę odsłonić pełnej prawdy o sobie, chcę coś ukryć, chcę

przedstawić wizerunek samego siebie lepszy niż jest w rzeczywistości. Czasem chowam się za jakieś maski, o pewnych sprawach nie chcę mówić.

Krótko mówiąc: w relacjach poprawnych często nie chcę się przyznać do swoich słabości. Wobec jednych ludzi, wszechstronnie wykształconych, wstydę się przyznać do swojej ignorancji, więc udaję, że czytałem tę książkę, oglądałem ten film czy wystawę, że widziałem i znam... Wobec innych ludzi wolę nie ujawniać pewnych swoich postaw czy przekonań, bo trzeba by zapłacić jakąś cenę za nonkonformizm. Czasem chcę dobrze wypaść w oczach innych, więc bardzo się staram spełnić ich oczekiwania – bo od nich zależy, bo oni decydują o moim losie, mojej pracy czy wynagrodzeniu, bo oni kształtują opinie innych na mój temat. Równie dobrze działa to w drugą stronę: w relacjach poprawnych nie staram się poznać drugiego jako człowieka, poznać prawdy o nim; interesuje mnie on bardziej instrumentalnie – jako człowiek wykonujący określony zawód, odpowiedzialny za pewne zadania czy decyzje, kolega czy towarzysz podróży.

W dobrych relacjach jest inaczej: ich partnerzy stają wobec siebie w prawdzie, dlatego słabości nie da w nich się ominąć. Oczywiście, nawet w takich relacjach ludzie nie wiedzą o sobie wszystkiego – przecież nawet w najgłębszej międzyludzkiej wspólnotcie, jaką jest nierozzerwalne małżeństwo na dobre i na złe, chociaż powstaje tu nowa jakość międzyludzka, to jednak druga osoba pozostaje dla współmałżonka tajemnicą. „Odtąd jedno, chociaż nadal dwoje” – pisał Karol Wojtyła w dramacie *Przed sklepem jubilera*. „Jedno” czyli to, co ich łączy, jest teraz najważniejsze, ale przecież pozostają „dwoje”. W dobrej relacji zatem też nie wie się o sobie wszystkiego, ale przede wszystkim nie ukrywa się w niej (nie ma powodu ukrywać) swoich słabości.

Przyznać się do słabości

Pozostając przy przykładzie miłości: jeśli dziewczyna i chłopak kochają się wzajemnie, ale nie znają swoich słabości (gdy mają idealny obraz ukochanej osoby), to ich miłość nie jest dojrzała. Przed ślubem trzeba

przynajmniej raz się pokłócić. Rzecz jasna, nie dla samego pokłócenia się – chodzi o to, żeby się nauczyć zrozumienia pomimo kłótni, pomimo ulegania własnym emocjom i słabościom. Podobnie jest w relacji rodzicielskiej: czasem rodzice popełniają błąd, udając przed dziećmi istoty nieomyślne, które nie tylko wszystko wiedzą, lecz także pozbawione są słabości i nie popełniają błędów czy grzechów. Takie myślenie wprowadza głęboki nieład w relację rodzica i dziecka. Pamiętam, że sam temu ulegałem. Kłopot pojawił się, gdy uświadomiłem sobie, że w jakimś sporze z córką wina leży ewidentnie po mojej stronie. Należało więc przeprosić własne dziecko, i to kilkuletnie. Wydawało mi się, że za chwilę mój rodzicielski autorytet legnie w gruzach. Okazało się, że nie tylko nie legł, ale nawet się umocnił. Moja słabość okazała się moją siłą. Córka poznała moją słabość, ale przyznając się do niej, stałem się w jej oczach bardziej godny szacunku.

W dobrych relacjach trzeba zatem przede wszystkim znać siebie nawzajem od dobrej i złej strony. Można nawet wielu rzeczy o sobie nie wiedzieć; ważne, żeby **znać** drugą osobę. Od ponad 25 lat jestem we wspólnotach ruchu „Wiara i Światło”, z tego już ponad 24 lata tworzymy wspólnotę w naszym mieście, Otwocku. Przyjaciele z „Ziarenka” (taką nazwę nosi nasza wspólnota) – osoby niepełnosprawne czy ich rodzice – często wielu rzeczy o mnie nie wiedzą. Nie czytają „Więzi”, czasem mnie zobaczą w telewizji, ale w gruncie rzeczy nie wiedzą, **czym** jestem (co robię zawodowo, jakie funkcje pełnię społecznie, w jakich dziedzinach działam poza wspólnotą). Mimo to znają mnie dużo lepiej niż ci, którzy wiedzą, co o mnie napisano w Wikipedii lub nawet przeczytali moje książki czy artykuły. Wiedzą bowiem, **kim** jestem. Wiedzą nie tylko to, co chciałem napisać, ale i to, czego bym się o sobie wstydził. Znają mnie jako człowieka – z moimi wadami i słabościami. Znamy się dobrze, spędzamy razem letnie wakacje (w sumie zebrałoby się tego już na rok wspólnego mieszkania pod jednym dachem). Znają moje słabości, a pomimo to (a może właśnie dlatego) jesteśmy w relacjach dobrych, nie tylko poprawnych.

Jean Vanier – wielki przyjaciel osób z upośledzeniem umysłowym, twórca ruchów „Arka” oraz „Wiara i Światło”, jeden z największych proroków współczesnego chrześcijaństwa – zwraca uwagę, że ludzie boją się przyznawać do swoich słabości, bo słabość jest traktowana jako wada. Moja mama jako babcia bardzo wstydziła się przyznać przed swoimi wnuczkami, że nie ma dwóch palców u prawej ręki. Mama pochodzi ze wsi, kiedy była dzieckiem, maszyna rolnicza obcięła jej palce. Nauczyła się tak układać dłoń, że wiele osób nawet tego defektu nie zauważa. Wiadomo było jednak, że wnuczki kiedyś to dostrzegą. Jakim było dla niej zaskoczeniem, gdy Agnieszka to zobaczyła, spytała dlaczego, posłuchała odpowiedzi, odparła „Aha...” i bawiły się dalej. Dla nas wyjaśnienie było proste: nasza córka wychowywała się we wspólnocie z niepełnosprawnymi, uwielbiała jeździć na kolanach Moniki na wózku inwalidzkim, widziała, że każdy ma jakieś słabości – ten nie umie chodzić, ten nie umie pisać, ta gada jak najęta, ale nie umie liczyć itd. itp. „Babcia nie ma dwóch palców? Aha...” – i bawimy się dalej.

Niedawno z pewnym zaskoczeniem doświadczyłem takiego zdziwienia z powodu otwartego mówienia o słabości. W 30. rocznicę wyboru Jana Pawła II uczestniczyłem w dyskusji o stosunku Papieża do Żydów i judaizmu. Co ważne, rzecz miała miejsce w Krakowie, który doskonale zna nie tylko Jana Pawła II, ale i Karola Wojtyłę jako księdza, biskupa, kardynała. Okazało się nawet, że dwaj uczestnicy dyskusji regularnie służyli do mszy jako ministranci młodemu jeszcze ks. Wojtyłe. A ja w tej dyskusji – zgodnie z prawdą – opowiadałem, że w chwili wyboru kard. Wojtyły na papieża nie miałem pojęcia o istnieniu takiej osoby, pomimo że miałem już 17 lat. Po prostu tematy kościelne w ogóle mnie nie obchodziły. Gdy o tym powiedziałem, jeden z uczestników zaczął mnie bronić, że wtedy przecież wielu nie wiedziało, inna osoba dziwiła się, że się tak odśloniłem, bo teraz ktoś może to wykorzystać. A ja byłem zdumiony, dlaczego przyznanie się do tej części prawdy o mnie samym miałoby mnie kompromitować. Pewnie za dużo się nazywałem Jana Pawła II, który, zapraszając do rachunku sumienia Kościoła przed rokiem 2000, prze-

konywał, że stanięcie w prawdzie wobec błędów z przeszłości i wysiłek oczyszczania sumień mogą i powinny przynieść umocnienie Kościoła.

Pięknie marnować czas

A jakie było i jest moje osobiste szczególne spotkanie ze słabością, dzięki któremu tutaj stoję? Zazwyczaj nie mówię o tym publicznie, bo to doświadczenie bardzo ważne i głębokie, na opisanie którego trudno znaleźć słowa. W 1983 roku, już ponad 25 lat temu, mój kolega ze studiów, Zbyszek Derdziuk, dziś członek rządu, przewodniczący Komitetu Stałego Rady Ministrów, zaprowadził mnie i Kasię, moją narzeczoną, na spotkanie wspólnoty „Wiara i Światło” w Warszawie. Poszedłem tam w przekonaniu, że idę pomagać, idę jako człowiek silny, który chciałby coś z siebie dać innym. I już po pierwszym spotkaniu wyszedłem bogatszy, z przekonaniem, że dużo więcej zyskałem niż dałem innym. Miałem zamiar siedzieć w kącie, ale spotkałem się z olbrzymią serdecznością, otwartością, przyjęto mnie jak starego przyjaciela. Nie miałem wyjścia – musiałem stać się starym przyjacielem.

Teraz po latach jesteśmy oczywiście na innym etapie naszych relacji. Najważniejsza stała się **wierność**. Wszyscy się starzejemy, wszystkim ubywa cierpliwości, więc najistotniejsze staje się to, by po prostu być razem. Jesteśmy więc razem, ale przychodzą wciąż nowi młodzi ludzie (i czasem nieoczekiwanie zostają). Jest też dużo miejsca na radość. To oczywiście drobne radości, bo taka wspólnota to cudowne miejsce weryfikowania wzniosłych deklaracji i doświadczenia, że wielkie hasła trzeba sprawdzać w codzienności. Jean Vanier powiedział kiedyś, że miłość nie polega na dokonywaniu rzeczy wielkich, lecz na spełnianiu rzeczy małych z czułością. Tak samo drobne są nasze radości: że Piotrek jest tak bardzo dumny z siebie, bo tak strasznie się napracował na dyżurze kuchennym (choć z naszej perspektywy zrobił bardzo niewiele i raczej się objął), że Monikę po raz tysięczny nazywamy szefową kuchni, a ona po raz tysięczny tak samo się z tego cieszy; że Wojtek, który stracił już oboje rodziców,

nagle oświadcza, że lubi tu być, bo tu ludzie się kochają (choć przez większość czasu wydaje się całkowicie psychicznie nieobecny i sprawia wrażenie, że jest mu wszystko jedno, co się dzieje i co on sam robi...); że ktoś, kto zazwyczaj milczy, nagle wypowiada słowa pięknej modlitwy; że siedzimy na huśtawce albo na łące, pijemy poobiednią kawę, nic się nie dzieje i... jest fajnie.

Wakacyjne obozy „Ziarenka” to dla mnie czas przywracania właściwej hierarchii spraw. W ciągu roku żyję bowiem – jako publicysta i działacz – głównie wielkimi problemami Kościoła, Polski, Europy. Brakuje czasu dla konkretnego człowieka, choć teoretycznie głoszę, jak ważne jest pielęgnowanie relacji międzyludzkich. Oczywiście, spotykamy się i w ciągu roku; oczywiście, staram się i przy innych okazjach być dla innych, ale... Na letnim obozie jest inaczej: przez dwa tygodnie tempo życia radykalnie zwalnia, mamy dużo czasu, który można pięknie marnować – tzn. po prostu być razem. Najważniejsze zaś staje się coś bardzo prostego, dotykającego – że trzeba komuś pomóc wykapać się, ogolić i uprać brudne rzeczy, że można pobawić się w wodzie w jeziorze. Ten czas to najlepsze rekolekcje, to życie w świecie, w którym dobroć, delikatność i współczucie stają przed sukcesem, dominacją i władzą.

Jest taki piękny film Mike’a Leigh *Sekrety i kłamstwa*. Wspaniale zagrana główna bohaterka, zwykła sprzątaczką, musiała kiedyś jako nastolatka oddać do adopcji swoją córkę, dziecko nieślubne. Gdy owa córka po latach odnajduje matkę, wzajemne relacje rodzą się w bólu. Koniec końców o sprawie dowiaduje się także druga córka, dorosła już, ale wciąż mieszkająca z matką i wiodąca podobny jak ona smutny szary żywot. W końcowej scenie trzy kobiety – już wspólnie i pogodzone ze sobą – siedzą w obskurnym przydomowym ogródku i piją kawę. Padają słowa zachwyconej matki: „To jest życie”. A nic się nie dzieje. Siedzą i piją kawę, a wokoło jest ponuro. Podobnie jest na naszych letnich obozach, poza tym że staramy się, by nie było ponuro. Nic się nie dzieje. Siedzimy, pijemy kawę, kąpiemy się w jeziorze, gramy w piłkę, śpiewamy, modlimy się... i mamy poczucie, że **to jest życie!**

Miara człowieczeństwa

Powiem jeszcze o tym, co oczywiste, ale co trzeba chyba wprost wyrazić, bo na pewno padnie tu jeszcze wiele pięknych słów o słabości. Nikt chyba nie będzie jednak twierdził, że słabość to idylla. Oczywiście, słabość to przede wszystkim trud i cierpienie. Ten trud może stać się błogosławieństwem, ale nie dzieje się tak automatycznie. Ludzie słabi i cierpiący potrafią też zamykać się w sobie, najczęściej gdy wielokrotnie doświadczą odrzucenia czy zranienia. Otwieranie takich osób zamkniętych w sobie to bardzo długi i bolesny proces, bez gwarancji powodzenia. Z tym też trzeba się liczyć.

Jan Paweł II powiedział do polskich biskupów w roku 1998, gdy przyjechali do Rzymu z wizytą *ad limina apostolorum*: „Mogą was inni wyprzedzić albo ubiec w wielu sprawach, ale nikt nie może powstrzymać Kościoła w głoszeniu Ewangelii miłości, w upomnieniu się o tych, o których nikt się nie upomina. (...) Niech głos Kościoła będzie tu jasny i słyszalny, wszędzie tam, gdzie należy się upominać o los tych ludzi i ich prawa”. To wyjątkowo prorocze słowa. Nikt nie może Kościoła wyprzedzić w upominaniu się i trosce o najślabszych. Więcej – Kościół powinien dla nich znaleźć uprzywilejowane miejsce w swoim wnętrzu, bo przecież jedna z podstawowych lekcji Ewangelii to przekonanie, że Boga można odnaleźć w ludziach słabych, ubogich, odrzuconych, niechcianych, cierpiących czy prześladowanych.

W tytule naszego sympozjum czytamy słowa „Silny potrzebuje słabego”. To odwrócenie oczywistego przekonania, że słaby potrzebuje silnego. Owszem, człowiek słaby to taki, który jest w biedzie, który jest w potrzebie, a więc potrzebuje drugiego. Słaby obiektywnie potrzebuje silnego (czy raczej silniejszego – bo ten silny też ma swoje słabości, choć najczęściej stara się je skrzętnie ukrywać). Moje doświadczenie potwierdza jednak, że twierdzenie odwrotne też jest prawdziwe: silny naprawdę potrzebuje słabego. Potrzebuje go, by dostrzec własne ograniczenia i słabości; by nauczyć się służyć i rozumieć drugiego bez osądzania; by nauczyć się być dla drugiego. Silny potrzebuje słabego, by odkryć, że społec-

czeństwo rywalizacji, zachęcając człowieka do wspinania się na szczyt po drabinie sukcesu, w gruncie rzeczy głęboko zniekształca prawdę o naszym wspólnym człowieczeństwie i równej godności każdej osoby ludzkiej. Silny potrzebuje słabego, żeby zrozumieć, że swój najbardziej wymagający egzamin z życia zdajemy w szkole ubogich i najsłabszych, że nie sukces i skuteczność są w życiu najważniejsze, lecz to, aby być z drugim człowiekiem. Silny potrzebuje słabego, żeby zrozumieć, że miarą człowieczeństwa – i każdej osoby, i społeczeństwa – jest stosunek do najsłabszych.



*Leszek Woroniecki**

ŻYCIE NA GRANICY ŚMIERCI – NAWIĄZANIE DIALOGU

Cztery wymiary cierpienia

Moje doświadczenie i refleksje, które zamierzam Państwu przedstawić, opieram na swoim życiu i byciu z chorymi szczecińskiego hospicjum, czyli z osobami, które są najczęściej w stanach terminalnych. Ich nadzieja na dalsze życie jest nieraz bardzo krótka. Doświadczają w sobie przy tym wielu bardzo różnych i nierzadko sprzecznych odczuć, uczuć. Wiemy, że takim słowem – kluczem, zdolnym opisać to doświadczenie, może być wyrażenie „cierpienie egzystencjalne” lub „ból wszechogarniający”. Cierpienie jest czymś dużo szerszym niż ból, wykracza poza niego. Cierpienie wszechogarniające dotyczy wszelkich ludzkich wymiarów: ciała, relacji społecznych, psychiki i duchowości. Te cztery wymiary obejmują wszystko. Chciałbym w nawiązaniu do mojego przedmówcy rozszerzyć jeszcze pole semantyczne i znaczeniowe zależności silnego od słabego, chorego, który potrzebuje silnego i odwrotnie, obalając przy tym pewien stereotyp. Z reguły myślimy, że granica pomiędzy słabością a siłą przebiega pomię-

* Leszek Woroniecki – ksiądz pallotyn, doktor teologii, związany z ruchem hospicyjnym, w latach 2007–2008 dyrektor Hospicjum św. Jana Ewangelisty w Szczecinie, przełożony regionalny pallotyńskiej Regii Miłosierdzia Bożego we Francji, autor publikacji i książek z dziedziny duchowości oraz bloga: <http://ksleszek.blogspot.com/>.

dzy osobami, pomiędzy tym, który jest słaby, a tym, który jest mocny. Zapropowałbym inny podział. Wyobraźmy sobie twarz podzieloną kreską na pół, co miałyby oznaczać, że granica między siłą a słabością przebiega w nas. W rzeczywistości nie ma ludzi słabych i mocnych. Każdy nosi w sobie zarówno słabość, jak i siłę. Mogłem to zaobserwować w naszym hospicjum, kiedy nasi chorzy, uważani powszechnie za słabych, nosili w sobie spory ładunek siły. Nieustannie są w nas obecne strefa słabości i strefa siły – na każdym z poziomów cierpienia egzystencjalnego.

Wymiar ciała

Weźmy poziom ciała. U chorego ta słabość jest widoczna, ponieważ czuje on ból, ma do czynienia z deformacją ciała, osłabieniem. Z tym się trudno pogodzić – to się widzi. Spójrzmy teraz na osobę, która jest przy chorym: pielęgniarkę, lekarza, rodzinę, męża, dziecko. W ciele tych, którzy mają być „mocni” i pomagać tym, którzy leżą, również istnieje ból. Wiemy, jak daleko posuwa się nieraz somatyzacja przeżyć wewnętrznych i nieumiejętność poradzenia sobie z cierpieniem, chorobą kogoś bliskiego. W ciele „silnego” następuje stres, który często ścisną żołądek. Wiemy, jak ciężko jest wtedy funkcjonować, jak skupia się to wszystko w jednym punkcie i jaki on staje się przez to ciężki. W ciele „silnego” dochodzi do zmęczenia, które wynika zarówno z czuwania, jak i z powodu nieradzenia ze sobą samym w obliczu cierpienia kogoś bliskiego.

Wymiar psychiki, relacji międzyludzkich

Kiedy przeniesiemy się na poziom psychiki, zobaczymy u chorego lęk przed cierpieniem, ale także przed samotnością, zależnością oraz lęk przed utratą godności – chyba jeden z większych! W chorym pojawia się lęk przed tym, że może dojść do takiego stanu, w którym będzie całkowicie zależny od drugiego, zdany na to, że inna osoba ma mu umyć zęby, zmienić pampersa, uczesać go, nakarmić, zrobić przy nim wszystko. Jedną

z pierwszych rzeczy, które postanowiliśmy uczynić w naszym hospicjum po podaniu leku, było podjęcie próby przekonania chorego: „masz prawo takim być”, „to, co cię spotkało, nie zależy od ciebie”, „jesteśmy tu po to – również z naszą słabością – by ci pomóc”, „ja też mogę jutro stanąć po stronie chorych”, „nikt nie robi ci łaski”. Widzimy, jak chorzy zmagają się ze strachem przed śmiercią. Pojawia się w nich uczucie buntu, ale i nadziei, że choroba się cofnie. W osobie silnej, zdrowej również jest obecny lęk. Co odpowiem choremu, jeśli zapyta, na co jest chory? Co odpowiem, gdy zapyta, co się stanie, kiedy będzie umierał? U silnego pojawia się lęk, że będzie zmuszony do przeżycia momentu umierania drugiego. Jest to również lęk przed własnym cierpieniem, przed własną śmiercią, które w obliczu doświadczanych faktów stają realnie przed nim. Widać, jak w jednej i drugiej osobie „strona słaba” bardzo mocno dochodzi do głosu.

Wymiar duchowy

Przejdźmy teraz do wymiaru duchowości jako szczególnie ważnego, bo integrującego w nas wiele rzeczy, takich jak wartości i sens. To na poziomie duchowości pytamy siebie: „Kim jestem?”, „Czym jest moje życie?”, „Dokąd zmierzam?”. U chorego pojawia się lęk przed unicestwieniem i pytanie: „Co będzie potem?”. Towarzyszy temu lęk przed karą za grzechy. Jeżeli życie chorego było skomplikowane, ma miejsce proces jego reinterpretacji, czyli pytanie o dobro w nim. Wygląda to tak, że chory opowiada swoje życie, chcąc je na nowo zinterpretować, zobaczyć w nim dobro, które czynił, by móc odejść z poczuciem tego dobra. Z reguły można je tam znaleźć. Poznałem jednak przypadki bardzo skomplikowanych życiorysów, w których trzeba było się mocno starać, żeby odnaleźć dobro. Co ciekawe, chorzy ci nie szukali naiwnego pocieszenia: „Nie martw się – twoje życie było dobre”. Oni raczej chcieli, by łajdactwo nazwać łajdactwem, zło nazwać złem. Potrzebowali kogoś z zewnątrz, by pomógł im zobaczyć dobro w ich życiu. Pamiętam przypadek człowieka – mogę o nim mówić, bo nie dotyczy bliskiego nam hospicjum – z ogrom-

nymi uzależnieniami od wieku dziecięctwa. Jego życie było pasmem zła, które wyrządzał sobie, swojej rodzinie, żonie, dzieciom. Trudno nam razem było znaleźć jakiegokolwiek dobro. Aż w końcu przypomniał sobie zdarzenie, kiedy raz w życiu nakarmił psa. To był jedyny moment, do którego mogliśmy się wspólnie odwołać jako punktu zaczepienia dobra, okazania ludzkiej reakcji litości. Bardzo się do tego zdarzenia „przykleił”, podtrzymując siebie ma duchu.

Pojawia się nieraz pytanie o sens życia dawniej i teraz, w obliczu śmiertelnej choroby, umierania. Obecność zdrowego przy łóżku chorego, mającego przed sobą perspektywę śmierci, wywołuje w tym pierwszym usilnie pytanie o sens życia: „Kim jestem? Dokąd idę?”. U tzw. silnego występuje również proces reinterpretacji stosunku do miłości. Pojawiają się pytania: na czym opieram swoją miłość do chorego współmałżonka, dziecka? Czy naprawdę kochałem? Jak się ta miłość obecnie objawia? W spotkaniu zdrowego z chorym w wymiarze duchowym zarówno słaby wyzwała pytania w silnym, jak i odwrotnie. Nawzajem pomagają też sobie na te pytania odpowiedzieć. Przytoczę klasyczny przykład kilkuletniego dziecka, które umiera na oczach zrozpaczonej matki. Dziecko, chcąc pocieszyć zapłakaną matkę, mówi: „Mamusiu, nie płacz, ja pójdę do aniołków i tam będzie mi dobrze”. Pięcioletnie dziecko pociesza płaczącą matkę. Śledziłem kiedyś umierającą na oczach swojej córki matkę, która swoje odejście zaplanowała punkt po punkcie. W ostatnich dniach życia przygotowywała córkę nie tylko do akceptacji swojej śmierci, ale też torowała jej drogę do religijnego nawrócenia, łącznie z umówieniem jej na rozmowę z księdzem, przygotowaniem do spowiedzi i pojednania z mężem. Kiedy jej plany się zrealizowały – umarła. W tej kobiecie była obecna przeogromna siła mimo całej słabości, którą dzielnie dźwigała, będąc do końca wsparciem dla swojej pogubionej córki. Dzień przed śmiercią, będąc w całkiem niezłej formie, powiedziała mi: „Jutro umrę, bo wypełniłam swoją misję”. Tak też się stało.

Komunikacja: otoczenie – chory

Na koniec chciałem nawiązać bezpośrednio do tematu mojej konferencji i wspomnieć o czterech rodzajach komunikacji pomiędzy chorym umierającym a jego otoczeniem. Te relacje pomiędzy „słabym” i „silnym” można sprowadzić do czterech typów. Możemy się spotkać np. z **modelem komunikacji zamkniętej**, który występuje wtedy, kiedy chory nie wie o tym, że umiera. Rodzina o tym wie, za wszelką cenę chce tę prawdę ukryć i czyni to do końca. Jest to możliwe. Niesie to jednak zagrożenie, że jeżeli chory w jakiś sposób dowie się o swoim stanie zdrowia, może nie wybaczyć bliskim! Znany mi jest przypadek lekarza, który trafił pod opiekę hospicjum. Jego stan chorobowy przekłamywali wszyscy. Nawet lekarz – kolega, który go prowadził, dopuszczał się fałszerstwa, podsuwając wyniki badań innej osoby! Ten chory lekarz – zaznaczając mi, że wie, czym jest hospicjum – poprosił mnie o powiedzenie prawdy o stanie jego zdrowia. Po długiej rozmowie odważyłem się w końcu powiedzieć mu, jak się rzeczy mają. Jako ksiądz czułem się w obowiązku, by tak zrobić, zwłaszcza że byłem świadom, jak niewiele życia już mu pozostało. Informacja ta wywołała w nim ogromny bunt przeciwko rodzinie i przeciwko jego przyjacielowi. Swoją żal do bliskich wyraził tak: „Przez wasze kłamstwo nie zostawiliście mi czasu, bym mógł pozatwiać, pozamykać wiele spraw, by spokojnie odejść”. Faktycznie – nie zdążył ich pozatwiać. Część zlecił mnie – oczywiście w zakresie, jaki był realny do spełnienia. Oto obraz klęski ukrywania przed chorym prawdy o stanie jego zdrowia!

Drugą sytuacją modelową komunikacji pomiędzy zdrowym a chorym jest tzw. **komunikacja negacji**. Ma to miejsce wtedy, gdy chory podejrzewa, że coś jest nie tak, a rodzina i najbliżsi negują tę prawdę w sposób bardzo skuteczny. Chory chce rozstrzygnąć swoją sytuację, chciałby poznać prawdę. Niestety, rodzina mu na to nie pozwala.

Trzeci model to **sytuacja wzajemnego udawania**. Chory wie, że umiera, podobnie rodzina i otoczenie, ale nie ma żadnego dialogu na temat tego, co ma nastąpić. Chory się nie skarży, że zmieniają się sposoby leczenia, że jego stan zdrowia się pogarsza. Rodzina i otoczenie do tego

nie nawiązują. Ma miejsce próba przemilczenia, udawania. To powoduje ogromną samotność, zarówno chorego – umiera sam – jak i rodziny – pozostają sami z ciężarem odchodzenia osoby bliskiej.

Ostatni model komunikacji można by nazwać **komunikacją otwartą**. Zarówno chory, jak i rodzina znają prawdę o stanie zdrowia, o zbliżającym się końcu, ale nie rezygnują z trudnego dialogu. Nie każdy chory i nie każda rodzina są w stanie o tym mówić. Do tego się dojrzewa. To taki element duchowości, który wyrabiamy w sobie od początku, właściwie od dzieciństwa. Całe nasze życie jest zmierzaniem do śmierci. Jest zarazem zadaniem postawionym nam, by śmierć bliskich i swoją umieć przeżyć. Trudny dialog powoduje, że słowa stają w gardle, emocje wychodzą na zewnątrz i są bardzo mocno okazywane. Otwarcie się na dialog pozwala obydwu stronom dojrzewać, uniknąć samotności. Widzę problem wzajemnego wychowywania się do przeżywania śmierci. Lęk przed śmiercią jest i w tym, który umiera, jak i w tych, którzy są obok niego. Spotkanie słabości i siły rozgrywa się przede wszystkim na poziomie duchowym w oparciu o trudny dialog. Integrujemy w sobie wartości: pytanie o sens życia, kim jestem, dokąd idę. Czy sami stajemy w obliczu własnej śmierci, czy też kogoś bliskiego – te pytania są wspólne! Potrzebujemy siebie nawzajem, bo łączymy w sobie i słabość, i siłę. Nowoczesne koncepcje formacji permanentnej podkreślają, że dojrzałość emocjonalna, duchowa polega na umiejętności zintegrowania w sobie słabości i siły, przyjęcia tego, że do końca będzie w nas i jedno, i drugie. Wymaga to pogodzenia się z faktem, że nie będę nigdy ani całkiem silny, ani całkiem słaby. I tak pozostanie już do końca.

*Jadwiga Gajlun-Markur**

CZY SŁABY, CIERPIĄCY MOŻE BYĆ POŻYTECZNY?*

Moja rodzina

Czy ktoś słaby, cierpiący może być w czymś pożyteczny? Twierdzę, że tak. Sama jestem słaba z racji swojego wrodzonego kalectwa – od urodzenia brak mi obu rąk i jednej nogi. Wymagam opieki całodobowej, lecz takiej nie mam. A jednak... życie jak do tej pory miałam wspaniałe, rodziców – cudownych. Mam dwóch braci – starszy Zdzisław mieszka w Szczecinie, a młodszy Adam ze swoją rodziną zamieszkuje w Golczewie – oraz dwie wspaniałe bratowe, Barbarę i Bożenkę. Moi rodzice zmarli, mąż też, a dzieci nie miałam. Mogę się jednak pochwalić, że mam czterech bratanków i jestem potrójną cioteczną babcią, a szykuje się i czwarte dziecko. Od strony zmarłego męża mam dwie szwagierki, dwóch szwagrów i sześcioro siostrzenic oraz siedmioro ciotecznych wnuków. Mam dla kogo żyć!

* Jadwiga Gajlun-Markur – szczecinianka, z wykształcenia technik-ekonomistka, z nudów, a potem z zamiłowania – malarka, członek stowarzyszenia AMUN, z urodzenia – kaleka z zaledwie jedną kończyną (stopą) poruszająca się na zwykłym inwalidzkim wózku, z darów niebios – potrafiąca w każdym położeniu dziękować.

** Konferencję autorka zapisała na laptopie **jedyną stopą!**

Moja praca

Po zdaniu matury wróciłam do domu. Tak, wróciłam, gdyż do szkoły uczęszczałam we Wrocławiu. Była to szkoła dla osób takich jak ja, lecz o lżejszym kalectwie. Po maturze zdobyłam tytuł technika ekonomisty o specjalności handel spółdzielczy. Uważałam, że jestem uczona, bo mam tytuł. Jakie było moje zdziwienie, gdy żadna spółdzielnia inwalidów nie chciała mnie przyjąć do pracy. Aż w końcu udało się – pracowałam przez 16 lat jako telefonistka. Różnie bywało. W mojej pierwszej pracy wysłano mnie do Poznania w celu oprotezowania kończyn górnych. Po powrocie z utrudniającymi życie, a więc bezużytecznymi protezami okazało się, że muszę szukać nowej pracy – zostałam zwolniona. Znalazłam nową jako telefonistka i nareszcie mogłam nagadać się do syta (w szkole na lekcjach wiele razy byłam wypraszana na korytarz za rozmowy). Do pracy dojeżdżałam z Żelechowa, na Pomorzany jeździłam tramwajem. Miałam wtedy protezy nogi i rąk. Często pomagano mi nieudolnie wsiadać do tramwaju. Łapano mnie za „ręce” i dziwiono się bardzo, gdy ręce wnoszono z ubraniem po stopniach na górę, ja zostawałam na dole rozebrana do biustonosza! Mnie to bawiło, ale osoby pomagające były zażenowane, dopóki nie dowiedziały się, jak mogą mi pomóc. Od tej pory codziennie czekały na mnie, żeby pomóc mi wsiąść do tramwaju. Bardzo jestem im za to wdzięczna – dzięki temu nie spóźniałam się do pracy.

Przechodzę na rentę, wychodzę za mąż, zaczynam malować

Po przepracowaniu szesnastu lat postanowiłam udać się na wypracowaną rentę. Musiałam stanąć ponownie przed komisją z prośbą o przywrócenie mi pierwszej grupy inwalidzkiej. Dlaczego ponownie? Cały czas byłam zaliczana do I grupy, lecz skoro chciałam pracować, musiałam mieć II grupę, bo z pierwszą nie przyjmowano do pracy. W końcu się udało. Jaka była moja radość, że wreszcie wyśpię się do syta. W szkole na lekcji nie wolno było rozmawiać ani spać. W czwartej klasie szko-

ły podstawowej przespałam rok szkolny! Byłam po operacji i myślałam, że wożą mnie do szkoły po to, żebym spała na lekcji. Jakież było moje zdziwienie na koniec roku, że będę powtarzać czwartą klasę. W szkole nie mogłam spać, w pracy tym bardziej, ale będąc na rencie wreszcie mogłam. Pospałam ciurkiem dwa dni i już mi się odechciało. Wtedy złapała mnie nuda. A ja „złapałam” w międzyczasie męża – pełnosprawnego brata mojej przyjaciółki (przynajmniej była gwarancja, że mi go nie „odbije”). Mąż pracował, a moja mama, ponieważ miała już emeryturę, przebywała w domu, gotowała obiady i dogadzała nam. Nie miałam co robić cały dzień, jednak mama zauważyła to i przypomniała mi, że w szkole średniej odrabiałam za koleżanki lekcje z przedmiotu „rysunek i liternictwo”. Zapaliłam się do tego pomysłu, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Mama zasięgnęła rady od malującej sąsiadki, której pokazała moje obrazki rysowane kredką. Ta z zachwytem stwierdziła, że mam talent. Podpowiedziała, jak zacząć malować na płótnie i jakimi farbami. Kupiliśmy blejtram, farby, olej i rozpuszczalnik do mycia pędzli.

Zabrałam się z ochotą do pierwszego obrazu. Namalowanie kwiatów zajęło mi godzinę, a mycie siebie... dwie. Nie wiedziałam, że farby olejne tak zasychają i są tak trudne do umycia. Byłam dumna ze swojego „arcydzieła”, choć teraz, kiedy patrzę na pierwsze obrazy, śmiech mnie bierze. Po paru tygodniach zostałam przyjęta do Międzynarodowego Zrzeszenia Ludzi Malujących Stopami lub Ustami, do którego do dziś należę.

Koniec sielanki

Mój mąż zmienił pracę na lepiej płatną i przez to nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać. Wracał coraz później z pracy i zazwyczaj był już pod wpływem alkoholu. Koledzy byli mu bliżsi niż ja. Znalazła się także pełnosprawna kobieta, z którą coraz częściej spędzał czas. Bolało mnie to, popłakiwałam cichutko, bo nie chciałam zasmucać swojej kochanej mamy, jednak ona sama to zauważyła. Nic mi nie doradzała. Z początku walczyłam z pijaństwem męża, jego kolegami, nową kobietą, ale podda-

łam się. Nikogo nie można zmusić do trwania w zawartym przed Bogiem małżeństwie. Złożyłam pozew o rozwód cywilny. Sędzia miała duże opory w podjęciu decyzji, stwierdziła, że nas należy łączyć, a nie rozłączać. Uparcie prosiłam o rozwiązanie naszego związku (trwał 7 lat), wiedząc, że mąż ma inną kobietę. „A może z nią będzie szczęśliwszy niż ze mną?” – myślałam. Otrzymaliśmy rozwód, mąż „z pompą” wyprowadził się do swojej wybranki. Podzieliłam się z nim na pół dorobkiem życia, pościelą, ręcznikami. Oddałam mu auto Forda Cortinę, mimo że sąd przyznał je mnie. Sama bym nim nie jeździła, a on miał prawo jazdy – był zawodowym kierowcą. Pomyślałam, że jemu się przyda. Mieliśmy rozpoczętą budowę domku, który w całości sąd zasądził dla mnie. Gdy go sprzedawałam, podzieliłam się pieniędzmi ze swoim byłym mężem. Cieszyłam się, gdy często przychodził do mnie i mówił, że brakuje im tego czy tamtego, po czym prosił o pożyczkę. Jak tylko miałam, to nie pożyczałam, ale dawałam. Bywał coraz częściej i zaczęło mnie to męczyć. Pewnego dnia przyszedł i oznajmił, że wyjeżdżają w jej rodzinne strony. Mojej radości nie było końca.

Gdy odjechali i zaginał o nim słuch – odetchnęłam z ulgą.

Powrót męża marnotrawnego

Po ośmiu latach mąż zastukał ponownie do moich drzwi. Wrócił, bo ona go wygoniła. Dopiero po paru tygodniach zorientowałam się, że jest bardzo chory, dlatego chyba ta kobieta to zrobiła. Przypomniał sobie o mnie, mimo że miał siostry. Przygarnęłam go, przecież mieliśmy ślub kościelny i nadal byliśmy małżeństwem. Mąż rewanżował się opieką mnie i mojej mamie (która wcześniej wstawiała się za nim u mnie). Mama, mając już 80 lat, zachorowała na demencję starczą, była coraz słabsza. Mąż nie pracował. Dostał rentę socjalną, gdyż stan zdrowia nie pozwalał mu na jakąkolwiek pracę. Mama zmarła i zostałam sama z małżonkiem, który częściej bywał w szpitalu niż w domu. Tam codziennie go odwiedzałam. Jeździłam wózkiem elektrycznym, a szwagier męża siedł obok

mnie. Opiekowała się mną wtedy siostra męża, a moja przyjaciółka Władzia (przyjaźnimy się od 44 lat). Ostatni pobyt męża w szpitalu trwał trzy miesiące. Nastąpiło najgorsze – poszedł na kolejną operację, gdyż miał zainfekowane bajpasy. Nie wrócił już do żywych, nie dobudzono go. Od dwóch i pół roku jestem wdową. Mimo swojego kalectwa jakoś żyję. Jestem sama, opiekuję się 13-letnią kotką, a mną opiekuje się Władzia, której załatwiłam etat w pomocy społecznej. Ona ma pracę, a ja opiekę i przyjaciółkę. Nasza przyjaźń przetrwała, przechodząc wiele dobrego i złego.

Myślę, że swoim życiem udowodniłam, że mimo słabości jestem pożyteczna, co ukazuję we własnych obrazach i samym życiem. Nie użałam się nad sobą, nie wołam: „Dajcie, bo mi się należy”, ale wspieram raczej „silnych”, którzy niekiedy czują zakłopotanie, spotykając ludzi takich jak ja. Często osoby pełnosprawne same tworzą bariery w spotkaniu z niepełnosprawnymi. Obawiają się popełnienia jakiejś gafy, a wystarczy uśmiech. Potrafię śmiać się z innymi z samej siebie! Wiem, że **jestem pożyteczna.**

*Tadeusz Sobolewski**

OSOBA Z ZESPOŁEM DOWNA – MIĘDZY FANTAZJĄ A RZECZYWISTOŚCIĄ**

Siła i słabość obecne w filmie

Właściwie to nie oni – słabi, niepełnosprawni – są bohaterami tego spotkania, ale my, którzy mamy kontakt z ich słabością. Tak naprawdę chodzi więc o nas. I nie tyle o to, co możemy dać słabemu, ale co on może nam dać. Co słabość drugiego człowieka robi z nami? Co w nas odsłania? Co nam mówi o naszym życiu? Do czego jest potrzebna?

Szukam w sztuce przykładu i nie znajduję prostszego, a zarazem głębszego przedstawienia siły i słabości – ich krzyczącego kontrastu i wzajemnego przyciągania – niż w filmie Felliniego *La strada*.

Cyrkowy siłacz Zampano, którego jedyną sztuką jest rozrywanie własną pierśią stalowego łańcucha, kupuje sobie żonę – małą, brzydką, uważaną za upośledzoną Gelsominę. Staje się ona jego pomagierką, gra na bębenku i na trąbce. Ale po drodze Gelsomina zmienia się, dojrzewa,

* Tadeusz Sobolewski – wybitny krytyk filmowy, stały felietonista miesięcznika „Kino”, recenzent filmowy „Gazety Wyborczej”, scenarzysta, autor książek m.in. *Człowiek Miron* i *Dziecko Peerełu. Esej dziennik, ojciec dwóch córek*, w tym Celi z zespołem Downa.

** Konferencja nadesłana i odczytana podczas sympozjum. Jej tekst pod zmienionym tytułem ukazał się w formie drukowanej w miesięczniku „Więź” w numerze 3/2009.

staje się artystką. Dzięki poznaniu linoskoczka Szalonego ta dziewczyna „z głową podobną do karczocha” uświadamia sobie swoją wartość. W tym związku osiłek Zampano jest duchowym kaleką, samotnym, skupionym na sobie. Gelsomina jest zdolna do zachwytu, komunii z całym światem.

Tytułowa „droga” – *la strada* – którą przemierzają Zampano i Gelsomina, prowadzi do tego, żeby osiłek się otworzył. W ostatniej scenie filmu, nocą, na plaży, widzi nad sobą po raz pierwszy niebo z gwiazdami. Płacze. Wygląda jak ktoś pokonany, ale tak naprawdę dopiero teraz, w tym przejmującym poczuciu braku, Zampano staje się człowiekiem. Pokocha Gelsominę, gdy jej już nie będzie na świecie. W zakończeniu rozlega się melodia, którą grała na trąbce.

„Co ja robię na tym świecie? Nikomu nie jestem potrzebna. Nie chcę już żyć!” – mówiła Gelsomina do Szalonego. Słynny dialog Gelsominy z linoskoczkiem mógłby być mottem naszego sympozjum. Pozwolą Państwu, że zacytuję fragment tej filmowej rozmowy o słabości:

Szalony pociesza Gelsominę: „Zampano nie trzymałby cię przy sobie, gdybyś nie była mu potrzebna. A może...? Może on cię kocha?”

– On? Mnie?

– Tak, on jest jak te psy: wyglądają, jakby chciały pogadać, a umieją tylko czekać.

– Biedaczek! – wzdycha Gelsomina.

– Kto z nim zostanie, jak nie ty? – mówi Szalony. – Nie uwierzysz, ale wszystko ma jakiś cel. Choćby ten kamyk.

– Który kamyk?

– Którykolwiek. Na przykład ten. On również do czegoś służy.

– Do czego?

– Nie wiem. Tylko Pan Bóg wie wszystko. Kiedy się urodzisz, kiedy umrzesz, kto to wie? Nie wiem, do czego, ale na pewno do czegoś służy. Jeśli nie – to znaczy, że nic nie ma sensu! Gwiazdy są potrzebne. I ty. Ty również jesteś potrzebna. Z tą twoją głową, podobną do karczocha...”.

Gelsomina, rozpromieniona, bierze do ręki kamyk i powtarza słowa: „Kto z nim zostanie, jeśli nie ja?”. Zatracając poczucie czasu, idzie w zachwycie najpierw za grajkami w kolejarskich strojach, potem za procesją, wreszcie, z tym samym entuzjazmem, zadzierając głowę, ogląda lino-skoczek ze skrzydłami, zawieszzonego nad ulicą jak anioła.

Cela – uosobienie rzeczywistości i fantazji

Przypominając sobie te sceny, myślę o naszej córce Celi i o znajomych dzieciach z zespołem Downa. Ich umysłowość, wyobraźnia, zdolność mieszania rzeczywistości i fantazji, ich wrodzony komizm i dar zabawy sprawiają, że same wydają się postaciami ze sztuki, cyrkowcami, bożymi żonglerami. Nieprzystosowani, wymagający opieki, w pełni współgrają ze światem dopiero wtedy, gdy biorą udział w święcie, gdy są w kościele lub w kinie, gdy tańczą albo malują. To dlatego Jean Vanier oparł swoje wspólnoty „Arki” na świętowaniu: „W sercu wspólnoty” – pisze – „jest przebaczenie i święto – dwie strony tej samej rzeczywistości, którą jest miłość”.

Cela świętuje w samotności przed domowym wideo. Ogląda swoje filmy – bardzo różne, od bollywoodzkich melodramatów po serie popularnonaukowe *Był sobie człowiek*. Wśród jej ulubionych są filmy o odmieńcach: *Amadeusz*, *E. T.* i *Hamlet* Zeffirellego. Powtarzaliśmy sobie jedno z jej powiedzeń. Kiedy nie chciała ustawić się do zdjęcia, zawołałem żartem: „Co ty, udajesz wariata?”. Odparła bez namysłu: „Tak, jak Hamlet!”.

Moja żona Anna Sobolewska w swojej książce *Cela. Odpowiedź na zespół Downa*, nawiązując do filmu *Ósmy dzień*, mówi, że dzieci z zespołem Downa są wygnańcami z raj, twórcami nadprogramowego ósmego dnia stworzenia. Chodzą po świecie z głową w obłokach, bez poczucia czasu. Uczą się świata, ale nie całkiem odróżniają go od swoich wyobrażeń. Mają podobną zdolność, jak bohater *Ósmego dnia*, grany przez aktora z zespołem Downa, który godzi rozbitą rodzinę. Nie uznają agresji. Wyznają „filozofię śmiechu”. Mała Cela powtarzała: „Ciesz się!”, „Żadnych smutnych min!”, „Proszę o uśmiech!”.

Już nie jest dla nas słoneczkiem

Tak było. Ale teraz, gdy Cela skończyła 19 lat, jest inaczej. Dziś nie umiałbym tak łatwo potwierdzić, że „osoby z zespołem Downa są mistrzami kontaktu”. Zbyt wyraźnie widzimy jej samotność. Kiedy weszła w wiek dojrzewania, bajka, którą żyła dotąd, zawiodła ją. Z nastaniem pełnoletniości nie ustąpił zespół Downa, a być może tego właśnie się spodziewała. Nie stała się samodzielna, jak ludzie dorośli, a nie umie już być radosnym dzieckiem, jakim była dotąd. Może uświadomiła sobie na nowo swoją inność, swoje ograniczenie? Zaskoczyła mnie kiedyś, mówiąc o sobie z goryczą: „upośledzona”. W pewnym sensie i my, rodzice, uświadomiliśmy to sobie na nowo. Jakby odnowiły się rany, zdawałoby się, zaleczone wkrótce po jej urodzeniu.

Radość, która towarzyszyła nam przez lata, przyćmiła się. Stanęliśmy przed nowym wyzwaniem. Uświadomiliśmy sobie istnienie granic możliwości, których przedtem jakbyśmy nie uznawali. Tak jakby to ona, Cela, prowadziła nas za sobą, udzielając nam szczęścia i radości. Tymczasem jej naturalna zdolność do szczęścia natrafiła na opór. Odczuła swoją samotność. Fantazja przestała wystarczać, zderzyła się boleśnie z rzeczywistością. Cela marzy o wspólnocie, której nie ma. O tym, by zamieszkać razem z rodzicami i z wymagowaną bratnią duszą.

Tęsknota za dorosłością

Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Ona tęskni do tego wszystkiego, za czym tęsknią jej dorastające rówieśniczki: do przyjaźni, do miłości. Ale nie może dorosnąć i boryka się z tym dylematem. Powiedziała kiedyś: „Czasem człowiek czuje głód, a czasem serce”. Są w niej jakby dwie osoby. Jedna potrzebuje tej drugiej, żeby być sobą. Ma w sobie nadmiar świadomości, której nie umie udźwignąć.

Kiedyś radziła sobie za pomocą fantazji. Wśród wielu opowieści, jakie spisywała w zeszycie, jest bajka o własnych narodzinach. Cela wymyśliła

wędrowną dusz! Na własny użytek stworzyła postać starożytnego rycerza Celsjusza, który się w nią wcielił, gdy miała przyjść na świat. W ten sposób pokonała zespół Downa. Doszła do tego samego, do czego i my doszliśmy po jej urodzeniu: że niepełnosprawność jest tylko czymś zewnętrznym, przypadłością, maską. 17-letnia Cela pisała tak (cytuję fragment jej opowiadania, poprawiając ortografię): „Przyszłam na świat na Karowej. Miałam poznać nową rodzinę. Moja siostra czekała w poczekalni, bo właśnie drugie dziecko się urodzi. Padał deszcz. Za oknem była noc. Tata był niepokieszony, długo czekał na drugie dziecko. Mama była w ciąży. Długo trzeba czekać, aż urodzi się dziecko. Tata nie mógł dłużej czekać, powiedział, że chce mieć drugą córkę, nazywa się Cela. Później grom przeciął niebo. Błyskawica spadła na ziemię. Na pewno sam Zeus cisnął błyskawicę. Tam była ciemna postać za oknem. Lekarz zauważył cień ducha na ścianie. Moja siostra powiedziała cicho spod łóżka lekarskiego, że ktoś jest za oknem i siedzi na drzewie, bez ciała. Wszyscy obrócili się w stronę okna i zobaczyli ducha. Lekarz otworzył okno, przestało lać, było jeszcze zimno, księżyc świecił pięknie. Duch wszedł do szpitala, lekarz zamknął okno i zaprowadził go, aby poznał nową rodzinę. Siostra nie bała się podejść do ducha. Przytuliła się do niego. Mama zobaczyła ciało małego dziecka – ma zespół Downa. Gwiazdy wypowiedziały przyszołość dziecka...”.

Opuszczenie rajy – odczucie słabości, poszukiwanie nadziei

Zastanawiam się czasem, czy popełnialiśmy błąd, mając tyle nadziei, przebywając z Celą w jej rajy? Czy nadzieja może być błędem?

W pewnym momencie odkryłem, że solidaryzując się z nią, tak jakbyśmy nie uznawali faktu, że ma zespół Downa, chcieliśmy razem z nią obejść, przekroczyć to ograniczenie, znaleźć symboliczne wyjście z pułapki. I jej, i nam dawało to przez długi czas poczucie niewymownego szczęścia. Ale gdy ona, dojrzewając, to poczucie straciła – choćby tylko na jakiś czas – nagle i my poczuliśmy się słabi. Przedtem wydawało mi

się, że jestem silny. Cela swoim rozwojem, swoją fantazją dodawała nam sił, uskrzydlała nas. A teraz – właściwie po raz pierwszy – udzieliła nam swojej słabości.

I jak przedtem jej fantazję traktowaliśmy jako dar, tak teraz musimy oswoić się z innym, gorzkim darem, którym jest słabość. Tak, w praktycznym życiu musimy walczyć o zdrowie i pomyślność naszego dziecka, otaczać ją opieką, ale też stopniowo wypuszczać w świat, pozwalać zaznać wolności, za którą tak tęskni. Lecz przy tym wszystkim – myślę w jakimś innym, chrześcijańskim sensie – trzeba się poddać. Odnaleźć słabość w sobie. Przyznać się do niej i – jak mówi Jean Vanier – z pokorą ją ofiarować. Mieć odwagę spojrzeć w ciemne niebo z gwiazdami, jak Zampano w ostatniej scenie *La strady*. To jest ta najtrudniejsza nadzieja.

*Arkadiusz Więcko**

POŚWIĘCAM SIĘ CZY KORZYSTAM Z PRZYWILEJU? PARADOKS SIŁY I SŁABOŚCI

Słabi źródłem siły?

Silny w nas potrzebuje słabego w nas. Choć słabość towarzyszy nam wszystkim, tym niemniej chciałbym zwrócić uwagę na obecną w społeczeństwie liczną grupę osób naznaczonych słabością w sposób szczególny, namacalny. Mam na myśli niepełnosprawnych fizycznie, intelektualnie, nieuleczalnie chorych, życiowych outsiderów, osoby dotknięte rodzinnymi tragediami. To żywe ikony, darmowe stacje ładowania „życiowych akumulatorów”. Ta grupa dotkniętych słabością w niezwykły sposób jest zakrytym przed światem źródłem siły! Jak do niej dotrzeć? Wystarczy zacząć z uwagą pochylać się nad takim „słabym”. Kiedy jest się młodym i silnym, słabość wydaje się zbędnym balastem. Odwracamy się wtedy od niej. **Młodemu człowiekowi trudno uwierzyć, że spotkanie ze słabym może być pomocne w realizacji siebie.** Minęło sporo czasu, zanim potrafiłem zobaczyć fakt, że od słabych dostawałem znacznie więcej

* Arkadiusz Więcko – szczecinianin, z wykształcenia ekonometryk, z racji wykonywanego zawodu – nauczyciel matematyki w szkole podstawowej, od 2007 r. na wcześniejszej emeryturze, ojciec czworga dzieci. Z poczucia obowiązku – założyciel Fundacji Dom Rodzinny w Łysogórkach, z zamiłowania – przyjaciel we wspólnocie międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”, współzałożyciel i opiekun Zespołu Piosenki Naiwnej oraz pomysłodawca Szczecińskiego Zalewu Myśli.

niż sam mogłem im zaoferować: własny czas, talenty, zaangażowanie. Doświadczylem wręcz zaspokojenia swoich często skrywanych – bo wydawało się, że nierealnych – marzeń. Pogłębione relacje ze „słabymi” uwrażliwiły mnie na wszystko dokoła. Rzuciły nowe światło na moje życie rodzinne, zawodowe, pasje w wolnym czasie. Niestosownym określeniem jest tu termin „poświęcenie”. Często księża, patrząc na świeckich wolontariuszy pochylających się nad słabymi, mówią: „pięknie, pięknie” i zaraz podziwiają. A to poświęcenie ma, owszem, swoją cenę, ale też przynosi znacznie większą nagrodę. Jest to absolutna wymiana, nie żaden jednostronny akt hojności, udzielania „nadwyżek” przez tzw. silnego. Oczywiście, pochylanie się nad słabymi to nie jednorazowe gesty, lecz konkretna ofiara z siebie, swojego czasu, przyjemnostek, niekiedy pieniędzy. To bycie wiernym. To, co początkowo było dla mnie ciężarem, wydawało się ograniczeniem mojej wolności, stało się z czasem – ale nie od razu – „słodkim jarzmem”, poszerzeniem zakresu wolności „do”.

W szkole prawdziwej przyjaźni

Czas przejść do przykładów owocowania słabości. Sęk w tym, że siły, która rodzi się ze słabości, nie da się uchwycić w „pędzie”, można co najwyżej ocenić skutki jej działania. Podobne zresztą kłopoty napotykają fizycy czy ekonomiści, gdy chcą zdefiniować siły fizyczne czy ekonomiczne, zadowolają się więc opisem skutków ich działania. W moim życiu było tak: w młodości poszukiwałem miejsca, w którym mógłbym spotkać prawdziwych przyjaciół. Był to okres stanu wojennego. Do człowieka z zewnątrz podchodzono nieufnie jak do potencjalnego konfidenta. Gdy – będąc zaraz po studiach – próbowałem wejść w środowisko akademickie, odnosiłem wrażenie, że oczekuje się ode mnie mądrych wypowiedzi i tym sposobem pozwala się dopiero zaistnieć w grupie. Ten rodzaj „zakładniczej” relacji nie odpowiadał mi. Szukałem dalej. I tak za sprawą koleżanki z duszpasterstwa, mającej autystycznego syna, trafiłem do grupy osób niepełnosprawnych intelektualnie, którzy w osiedlowym klubie przy ulicy

św. Marcina regularnie odbywali spotkania z udziałem zdrowych przyjaciół: małżeństwa Ani i Marka. To był zacyzyn jeszcze nieukonstytuowanej wspólnoty międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”. Nic szczególnie tam nie robili: tańczyli, na przemian śpiewając, wpadając sobie co jakiś czas w objęcia, obsłaniając się przy tym w tych aktach czułości. Z natury byłem poważny, rzadko patrzyłem ludziom w oczy, więc poczułem się zakłopotany tą – według mojej oceny – przedszkolną sytuacją i zająłem bezpieczną pozycję pod ścianą. Pewnie bym tak pozostał do końca spotkania, gdyby nie Dorotka, osoba z zespołem Downa, która podchodząc do mnie, spytała: „Jak masz na imię? Czemu się z nami nie bawisz?” – po czym wzięła mnie za rękę jak malucha i wciągnęła do wspólnej zabawy. Te dwa pytania Dorotki, której już nie ma pośród nas, chodzą mi stale po głowie przez dwadzieścia parę lat od tamtego spotkania. Pytanie o imię to pytanie o moją istotę, niepowtarzalność. To zwrócenie uwagi na moją osobę ze względu na nią samą, bez kontekstów: „Od kogo jesteś?”, „Kto cię polecił?”, „Kim jesteś?”, „Może mi się na coś ta znajomość przyda”. Z kolei drugie pytanie zahaczało z troską o stan mojego ducha. „Skoro nie masz ochoty się z nami bawić, to pewnie cię coś smuci, coś przeżywasz i nie jest to dla mnie obojętne” – oznajmiała mi poza słowami Dorotka. To ona zapoczątkowała we mnie drogę odkrywania istoty życia jako bezinteresownego spotkania z drugą osobą. Oczywiście nie nastąpiło to od razu, raczej był to proces stopniowego odsłaniania prawdy o ważności relacji w naszym codziennym życiu. Na początku Pan Bóg „wziął” mnie na gitarę. Posługując jako akompaniator u boku Marka grającego na skrzypcach, widziałem w tym sens swojej obecności we wspólnocie z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. Kiedy jednak pewnego dnia – po dokonanej operacji – straciłem głos i stanąłem na równi ze słabymi, wydawało mi się, że już nie mam tu czego szukać! To, co było moim darem, stało się moją słabością. Zrozumiałem, że muszę na nowo odszukać swoje miejsce we wspólnocie ze słabymi. Złapałem się na tym, że tak naprawdę odwiedzałem innych, bo coś dla nich lub do nich miałem: książkę do oddania, zaproszenie na koncert, sprawę do załatwienia,

imieninowy prezent. Krótko mówiąc, robiłem różne rzeczy dla innych ze względu na coś. Nie było we mnie nastawienia, że idę na spotkanie z drugim ze względu na niego samego, tak bez specjalnej okazji czy pretekstu. Bezinteresowne oddanie swojego czasu drugiej osobie wydawało mi się rozrzutnym marnowaniem cennego(!) kapitału. Na gruzach swojego ogołocenia, w poczuciu niemocy leczyłem się z interesownego spoglądania na relacje z innymi. Moimi profesorami w szkole towarzyszenia drugiemu w przyjaźni byli słabi – osoby z niepełnosprawnością intelektualną, nieprzeciętnie obdarowane w umiejętność nawiązywania relacji, budowania więzi. Ta lekcja odcisnęła piętno na mojej pracy nauczycielskiej. **Relacje stały się dla mnie probierzem jakości spotkania z innymi i sensem nawiązywania nowych znajomości.** Nie zapomnę zdarzenia, jakie miało miejsce kiedyś na cmentarzu. Żegnałem moją mamę. Rodzina pogrążona w żałobie już się rozeszła (żony jeszcze przy mnie wtedy nie było). Wydawało mi się, że pozostawałem sam przy grobie. Nagle odkryłem, że obok mnie stoi cichutko Krzys, aktualnie solista w naszym Zespole Piosenki Naiwnej. Nie okazywał żadnego zniecierpliwienia mimo upływającego czasu i nie czuł się z tego powodu głupio. Nie pokazywał na zegarek, że już zrobiło się późno. Nie marszczył brwi na znak przesady. Stał wiernie przy mnie, bo ja miałem potrzebę stania dalej. Zrozumiałem, że to mój prawdziwy przyjaciel – chce mi po prostu towarzyszyć bez zbędnych pytań w rodzaju: po co? dlaczego? Przyjaciel, który mi nigdy tego wprost nie powiedział ani pewnie nie powie. Przyjaźń się raczej okazuje niż mówi o niej. Jeśli raz zakosztujesz niekłamanych relacji, zaczynasz mieć dość na całe życie stosunków ledwie poprawnych, „czajenia się”, sztywniactwa, krygowania. Stajesz się wolnym do bycia sobą!

W ruchu „Wiara i Światło” u boku osób z niepełnosprawnością intelektualną dane mi było przez 25 lat doświadczać doniosłej roli relacji w życiu ludzkim. To relacje sprawiają, że jest nam dobrze albo źle w którymś towarzystwie. To ich jakość sprawia, że czujemy się szczęśliwi, spełnieni lub nie. Uczestnicząc w szkole budowania więzi, wielokrotnie odczuwa-

łem działanie paradoksalnej wymiany: czując się chwilowo „silnym” i dając coś z siebie „słabym”, o wiele więcej od nich w zamian otrzymywałem.

Co ma wspólnego matematyka z dobrymi relacjami?

Na koniec spróbuję się podzielić swoją obserwacją relacji z punktu widzenia matematyka, a raczej nauczyciela języka matematyki. Niech mi wybaczą profesorowie, jeśli znajdą w moich wywodach oznaki dyletantstwa. Nie boję się takich zarzutów, bo cóż lepszego pozostaje mi na emeryturze, jak dziecięco zadziwiać się światem i ryzykować własne hipotezy na temat jego pochodzenia, narażając się na błędne oceny tzw. środowiska? Odwagi bycia sobą bez względu na pogodę nauczyli mnie moi słabi przyjaciele, i wiem już, że kto trzyma ze słabymi, nie straci na tym.

Mówi się, że matematyka to królowa nauk. W czym więc ta królewskość miałyby się przejawiać? Wydaje się, że w spojrzeniu na wszystko z lotu ptaka, w poszukiwaniu istoty każdej rzeczy. Czyżby matematyka miała dotyczyć także relacji międzyludzkich? Na wstępie przytoczę w skrócie kurs o relacji uporządkowanej na zbiorach z rozszerzonego programu matematyki wyższej w liceum i spróbuję przenieść jej własności na grunt stosunków społecznych. W matematyce relacja uporządkowana, czyli dobra (oczekiwana przez nas) to taka, która – zdaniem matematyków – spełnia trzy warunki. Po pierwsze musi być zwrotna, czyli A pozostaje w relacji z A . Mógłbym ten postulat zinterpretować na gruncie relacji społecznych tak: żeby być w dobrych relacjach z innymi, powinienem pozostawać najpierw w dobrych relacjach sam ze sobą (samoakceptacja). Drugi warunek relacji uporządkowanej (dobrej) to symetryczność: jeśli A jest w relacji z B , to B jest także w relacji z A . Rozumiem ten postulat tak: dobra relacja wymaga wzajemności. Ja tobie – ty mnie. Dziś czuję się silny i pomagam tobie, a jutro może być zupełnie odwrotnie. Trzeci warunek uporządkowanej relacji – zdaniem matematyków – to zasada przechodniości: jeśli A jest w relacji z B i B w relacji z C , to A pozostaje w relacji z C . Według mnie ten postulat głosi potrzebę wspólnoty ducha

w uporządkowanej, czyli dobrej relacji. Jeśli czuję się dobrze w towarzystwie Jadzi, a Jadzia ma swoich przyjaciół, z którymi się dobrze czuje, to ja będę się z nimi także dobrze czuł, nawet gdybym ich spotkał po raz pierwszy w życiu.

O zajmowaniu postawy służebnej

Podsumowując swoje doświadczenia spotkania z tzw. słabymi mogę stwierdzić oczywistość: więcej zadowolenia jest w dawaniu niż w braniu, więcej też dostałem niż sam mogłem dać. Na pochylanie się nad osobami słabymi, dotkniętymi słabością w sposób szczególny, można spojrzeć jeszcze z innej strony: jako na trening postawy służebnej. Gdzie nie spojrzeć, chętnych do służenia niewielu. Lubimy powoływać się na zakres swoich obowiązków, kompetencje, paragrafy i nie wychodzić poza nie. Kochamy mieć święty spokój. Damy innym, kiedy co najwyżej nam coś zbywa. A może trzeba nam, jak śpiewa Jacek Kleyff: „...nie musieć nic, żeby wiedzieć, co tak naprawdę muszę”? Odnoszę wrażenie, jakby **wielu ludzi zatraciło potrzebę bycia bezinteresownymi i przestało czerpać radość z faktu, że robią coś dobrego za darmo**, choć wcale tego nie musieliby czynić. Pochylając się nad tzw. potrzebującymi trzeba pamiętać, że granica pomiędzy słabym a silnym przebiega w naszym sercu. Podchodząc z takim nastawieniem do osoby potrzebującej, nigdy nie pocujemy się jako ci wiecznie wykorzystywani, co to tylko zawsze dają (ileż można?), a wręcz przeciwnie: odcujemy to spotkanie jako wymianę, jako wielkie dobrodziejstwo dla nas samych. Przytulajmy się więc do słabego w sobie i w drugim, bo to niezawodna gwarancja szczęśliwego życia!

*Wojciech Jędrzejewski**

SŁABOŚĆ JAKO INSTRUMENT WYCHOWANIA NARODU WYBRANEGO

Słabość rozumiana jako grzech

W jaki sposób Pan Bóg wychowywał swój lud wybrany poprzez słabość? W Piśmie Świętym mowa jest o dwóch rodzajach słabości. Pierwszy z nich dotyczy osobistej relacji z Bogiem i nazywa się grzechem. Od samego początku, kiedy człowiek okazał słabość, znaczyło to, że zerwał relację, uderzył w nią swoim grzechem, podważył zaufanie do Boga. Ze strony Stwórcy ujawniło się natychmiast wołanie poszukujące: „Gdzie jesteś?”. Pierwsza reakcja Boga na słabość, czyli grzech, to nie krzyk, tylko właśnie takie pytanie. Bóg zdaje sobie sprawę z tego, w jak niebezpiecznym stanie znajduje się człowiek, kiedy od Niego odchodzi. On – kochający Bóg – nie chce dopuścić do tego, żeby człowiek został zagnębiony, dlatego wyrusza mu na spotkanie. Cała Biblia, cała historia judeo-chrześcijaństwa, to historia Boga, który poszukuje człowieka, to dzieje Boga, który w obliczu słabości – grzechu zaczyna się objawiać. Najlepiej

* Wojciech Jędrzejewski OP – pochodzący z Kamienia Pomorskiego kaznodzieja, rekolekcjonista, orędownik ludzi kruchych, odrzuconych, autor licznych książek i publikacji, m.in. w czasopismach „W drodze” i „List”, audycji (m.in. w „Boskiej TV”) przybliżających życie duchowe Kościoła osobom stojącym na rozstajach.

poznajemy serce Boga poprzez Jego reakcję na słabość, zdradę. On reaguje zawsze w sposób niezwykle żywiołowy. Słowa: „Gdzie jesteś?” odsłaniają Jego intencje. Bóg wysłał pierwszy sygnał: „Zależy mi na tobie”. A potem w obliczu słabości, zła pojawia się wulkan emocji, który odsłania nam to, kim jest Bóg, tak jakby poprzez bramy bólu, gniewu, cierpienia, które pojawiają się na drodze człowieka na skutek jego grzechu, słabości, dane mu było obcować w sercu Boga. Gdy czynimy zło, Bóg nie jest obojętny. On mówi wtedy człowiekowi, co czyni Mu nasz grzech.

Myślę, że jedną z największych współczesnych tragedii w relacjach ludzkich jest głupia obojętność człowieka. Ty robisz coś złego, a ja to próbuję usprawiedliwić i nie mówię ci o tym, że mnie to martwi, boli. Pamiętam, jak byłem szokowany, kiedy we wspólnotach „Wiara i Światło” zobaczyłem, że rodzice dla swoich upośledzonych dzieci nie są wcale pobłażliwi. Pomyślałem wtedy: „Upośledzone dziecko, które nie wie, co czyni – jak może być karcone? Jak można mówić mu: »Smutno mi jest, że tak się zachowujesz«!”. Wydawało mi się to okrutne. Obojętność nie pomaga jednak człowiekowi naprawiać relacji, które psuje ten rodzaj słabości wynikający z egoizmu, egocentryzmu, zacięciu się w sobie, z nieumiejętności przyznania się do winy. Ta żywa, gwałtowna reakcja Boga na ludzki grzech, kiedy mówi On, posługując się obrazami zranionego męża albo cierpiącej matki wobec swojego dziecka, rodzi pewien niepokój. Czy czasem nie oznacza to, że Bóg mnie chce odrzucić? Czasem słyszymy na kazaniu o gniewie Bożym jako o furii, wściekłości: „Jak mogłeś tak zrobić?”. Tymczasem Bóg wychodzi naprzeciw tej ludzkiej obawie. Owszem, nie jest obojętny na rzeczywistość grzechu. Mówi jednak: „Wnętrznosci się we mnie poruszają na myśl o tym, że mógłbym cię odrzucić, Izraelu” (por. Oz 11,8). Zapewnia nas o swojej miłości: „Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie” (Iz 49,15). W relacjach z Bogiem, jednostronnie naznaczonych słabością, istnieje ogromna dynamika. Gniew Boga nie oznacza odrzucenia, ale Jego zatroskanie o człowieka. Ta żywa reakcja zranionego serca jest niezwykle wychowawcza. Myślę,

że w ten sposób człowiek zyskuje sposobność, by coś naprawić, może szukać nowej, bliższej więzi, której w jakiś sposób nadużył. Dostaje od Boga komunikat: „Bardzo mnie to zabolalo”, a jednocześnie zapewnienie: „Nie odrzucę cię”.

Bardzo ważne, aby przy lekturze Starego Testamentu w sposób szczególnie pamiętać o tym, że gniew Boga oznacza zaangażowaną, zranioną miłość, która nie ma zamiaru odrzucić, chce tylko na nowo wprowadzić człowieka do Bożego serca.

Dawid, ulubieniec Boga, doświadcza własnej słabości

Piękną postacią, która na skutek słabości bardzo zraniła relację z Bogiem, jest Dawid. Nie był byle kim, ale człowiekiem bardzo obdarowanym przez Boga, wielokrotnie doświadczył opieki i zaufania z Jego strony. Miał fantastycznego przyjaciela, był spełniony, niezwykle ceniony. Kiedy wracał z wojny, kobiety pisały jak na koncercie rockowym. Miał wszystko, co chciał (po jego występny grzechu Pan Bóg mu to wytknie). Znamienną w jego życiu jest historia, kiedy ujrzał z daleka w swoim pałacu kąpiącą się kobietę. To, że ją zobaczył, nie było jeszcze niczym problematycznym ani złym. Ale Dawid zrobił drugi krok: zasięgnął informacji o niej. Wydarzenie to pokazuje, jak w człowieku rozwija się słabość, która jest często synonimem grzechu. Widać, jak zło zaczyna się od małej słabostki: „A co mi zaszkodzi zapytać troszkę o nią?”. Z uczynionego małego kroku wiązuje się wielka intryga, kiedy okazuje się, że Batszeba – bo to o nią tu chodzi – jest mężatką. Zło się napędza. Kiedy pierwotna słabość nie jest od razu uznana, rodzi upadek. Słabość zaczyna być siłą – cwaniactwa, przebiegłości. Dawid, chcąc „wyczyścić” sytuację, doprowadza do śmierci męża Batszeby. Ale Bóg nie rezygnuje z Dawida, bo On nigdy nie rezygnuje z człowieka. Wychowawcza miłość Boga wobec słabości rozumianej jako grzech polega na tym, że chce On pomóc otworzyć mu oczy na jego tragiczne położenie. To warunek nawrócenia: powrót do relacji z Bogiem, stanięcie w prawdzie. Bogu nie chodzi o egzekucję bezdusznego prawa,

wobec którego człowiek okazał się zbyt słaby i tym samym poczuł się zwolniony z obowiązku jego wypełniania. Bogu chodzi tak naprawdę o relację. Wysłał On proroka, postępując z Dawidem w bardzo mądry sposób. Nie atakuje go bezpośrednio, tylko poprzez przypowieść otwiera mu serce, które skamieniało od słabości, grzechu, przez brak jego wyznania. Król jest poruszony opowieścią o bogaczu, który mając całe stado owiec, zagarnął jeszcze jedną jedyną owieczkę biedaka – chcąc uraczyć swoich gości – bo mu żal było uszczuplić swoje stado. Burząc się śmiertelnie na taką niegodziwość, kwituje to słowami: „Ten człowiek winny jest śmierci, bo uczynił rzecz bez miłosierdzia!”. A skoro jego skorupa się odchyliła – otworzyła się przestrzeń żywego ciała. Wtedy nastąpił precyzyjny strzał ze strony proroka: „Ty jesteś tym człowiekiem!”. W tym momencie Dawid uświadamia sobie swój grzech, przyznaje się do słabości i pokutuje. Pokuta jest zawsze pragnieniem, aby odbudować relacje. Gdyby w małżeństwie doszło do zdrady, to trudno sobie wyobrazić, że winna tej sytuacji strona byłaby w stanie udobruchać pokrzywdzonego współmałżonka jakimś wielkim prezentem. Uznalibyśmy to za zachowanie prostackie. Wiemy, że zranienie relacji jest na tyle delikatną i bolesną zarazem sprawą, że uzdrowienie tego stanu rzeczy wymaga czasu. Niepodobna, by ból zranionej osoby ukoić w ten sposób.

Słabość rozumiana jako doświadczanie bezsilności w obliczu przychodzącego z zewnątrz zła

Drugim wymiarem słabości obecnym w Piśmie Świętym, a służącym jako narzędzie prowadzenia narodu wybranego, jest już nie wymiar popełnianych przez Izraelitów grzechów, czynionego przez nich zła, ale zła doświadczanego z zewnątrz i związanego z tym poczucia bezradności. Izraelowi wielokrotnie zagrażało unicestwienie. Mały i kruchy, musiał stawić czoła przeciwnościom losu, siłom po ludzku go przerastającym. Najpierw był zagrożony eksterminacją w niewoli egipskiej, potem – w niewoli babilońskiej. Czuł się wtedy słaby i wołał do Boga. Biblia pulsuje wołaniem do Boga ludzi, którzy zdają sobie sprawę z tego, że zło, które ich otacza, jest

wielkie, nieproporcjonalne do ich możliwości, przerasta ich, że jest jak bagno, które błyskawicznie wciąga. Ten obraz często się pojawia w psalmach. Naród izraelski staje bezradny. Jeśli nie przyjdzie pomoc, interwencja z zewnątrz, to umrze, nie będzie go.

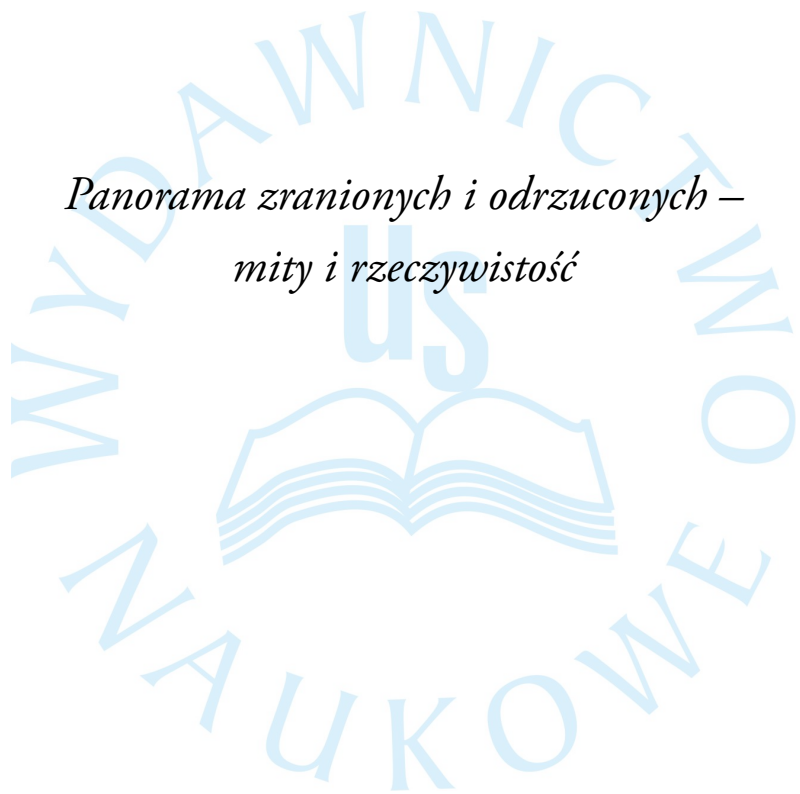
Tej kruchości doświadczamy także współcześnie, kiedy nosimy w swojej pamięci wspomnienia wielkiej krzywdy. Potrafi ona zawładnąć naszym sercem, ograniczyć nasze człowieczeństwo. Często jest to tak wielki cios, że nie podniesiemy się, jeśli nie pojawi się pomoc z zewnątrz, bezinteresowna pomoc drugiego człowieka. To Bóg posługuje się innymi ludźmi.

Lekcja słabości na przykładzie Eliasza

Mówiąc o słabości, powiem jeszcze na koniec o Eliaszu, który doświadczył ze strony Boga olbrzymiej siły. Zabrakło jednak czegoś istotnego w doświadczeniu tego proroka, więc Pan dał mu lekcję. Otóż królowa Izebel, mająca ogromną władzę, promuje proroków Baala. Lud skłania się do nich i zaczyna coraz bardziej schodzić z drogi służby Bogu jedynemu, zaniedbuje tę relację, nudzi się Bogiem. Eliasz bardzo chce wybudzić lud, sprawić, by się ocknął, by przestał zdradzać Boga i opowiedział się znów za jedyną miłością, która daje życie. Zwołuje na górze proroków Baala i cały lud, chcąc dać pokaz siły, by utrzcć nosa wyznawcom bożków. Intencje ma dobre – chce, aby lud się nawrócił do Boga – ale wyraźnie ponosi go, robi istny show: wyszydza fałszywych proroków, śmieje się z nich. Kiedy wszyscy wyznawcy Baala zanoszą bezskutecznie modły, Eliasz każe swoje ofiary zalać wodą, tak bardzo jest pewien, że Jahwe go nie zawiedzie. Zwraca się wprost do Boga: „Panie, niech ten lud zobaczy Twoją moc, Twoje zwycięstwo!”. Wszystko układa się po jego myśli. Eliasz wykorzystuje emocjonalną przewagę i zabija 450 wyznawców Baala. Spotyka go jednak przykra niespodzianka ze strony królowej Izebel, która wydaje na niego wyrok śmierci! Nagle ten – silny dotąd – Eliasz zaczyna się bać. Coś w nim pęka do tego stopnia, że ten mocarz ducha idzie na pustynię, kładzie się i mówi: „Chcę umrzeć”. Bóg posyła do niego anioła, który trąca

go w bok i kieruje na górę Horeb. Tam ma się dokonać coś, co otworzy Eliaszowi oczy na słabość. Gdy już wejdzie na górę, Bóg go zatrzymuje. Nadchodzi potężna wichura, która druzgocze skały, ale Boga w niej nie ma. Potem pojawia się ogień, ale Boga również w nim nie ma. Pojawiają się też inne żywioły, ale Pan jest w nich nieobecny. Nagle pojawia się szmer łagodnego powiewu, a właściwie – głęboka cisza. W tym momencie Bóg pyta Eliasza: „Co tu robisz?”. A prorok odpowiada: „Z żarliwością stanąłem po Twojej stronie, a oni godzą na moje życie”. Myślę, że to była lekcja dla Eliasza, że w Bogu jest też kruchość, że w Bogu nie ma tylko siły. Wobec zdrady, biedy ludzi, którzy nie umieją uszanować miłości – w Bogu jest kruchość, delikatność. Wobec zła Bóg nie chce przyjąć postawy kogoś, kto będzie wycinał w pień. Jakby chciał powiedzieć do Eliasza: „Poniosło cię, stary, nie byłeś moim posłannikiem, kiedy chciałeś wszystko załatwić potęgą i przemocą”. Biblia uczy nas wołać do Boga, kiedy jesteśmy ludźmi raniącymi miłość i gdy jesteśmy ludźmi skrzywdzonymi w poczuciu wielkiej bezsilności. Uczy żarliwie wołać: „Ratuj, ocal moje życie!”. A wspólnoty „Wiara i Światło” oznaczają wysłuchanie tych prośb przez Boga, Jego Opatrzność, przez konkretnych ludzi, którzy na to wołanie odpowiadają.

*Panorama zranionych i odrzuconych –
mity i rzeczywistość*



*Małgorzata Chmielewska**

**CO CHCĄ NAM POWIEDZIEĆ ZRANIENI,
ODRZUCENI?
(List do uczestników sympozjum)**

Szanowni Państwo!

Niestety, nie mogę osobiście uczestniczyć w tak ważnym spotkaniu. Może jest to jedno ze spotkań – symboli. W społeczeństwie nastawionym na konsumpcję i szybki zysk słabość fizyczna czy psychiczna, nieumiejętność ścigania się w biegu po dobra tego świata wyklucza ogromne rzesze ludzi. Nierzadko na tej słabości żerują tzw. silni. Mam na myśli nie tylko bogate państwa i firmy bezwzględnie wykorzystujące kraje biedniejsze, ale także np. podział środków przeznaczonych na walkę z biedą i sposób ich dystrybucji. Na ogół jedynie 20% z nich trafia do potrzebujących. Biurokracja często zjada lwią część finansów pomocowych. Biedni stają się biedniejsi, a bogaci – bogatsi. Jesteśmy jako cywilizacja na moralnym zakręcie. Z jednej strony ogromne postępy medycyny i techniki umożliwiają ludziom chorym i niepełnosprawnym życie i poprawiają jego jakość, z drugiej w sposób świadomy eliminujemy słabych z życia społecznego, nawet dosłownie (czym jest aborcja dzieci z wadami wrodzonymi, w tym

* Małgorzata Chmielewska – siostra zakonna, z wykształcenia biolog, z temperamentu obrończyni i powierniczka ludzi ubogich, charyzmatyczna założycielka Fundacji „Chleb Życia”, której celem jest tworzenie i sprawowanie opieki nad domami dla osób odrzuconych, potrzebujących, zaadoptowała – będąc już w zgromadzeniu zakonnym – autystycznego mężczyznę.

z zespołem Downa, ze względu na ich niepełnosprawność?), tłumacząc to zbyt wysokimi kosztami i... chęcią oszczędzenia im cierpienia.

Żyję od wielu lat razem z ludźmi odrzuconymi i słabymi, którzy albo tacy się urodzili, albo los lub własne i cudze błędy ich do tego doprowadziły. Nie zawsze jest to łatwe, bo wiąże się z niesieniem cudzego cierpienia i zmusza do odkrycia własnej słabości. Stawia w prawdzie, jednocześnie jednak uwalnia i pokazuje sens ludzkiego życia, którym jest miłość. Nigdy wśród tzw. silnych nie spotkałam tyle zdolności do dzielenia się przysłowiową ostatnią koszulą, odwagi i wytrwałości w znoszeniu cierpienia i przeciwności losu, a także zwykłej radości życia. Słabi widzą to, czego zabiegani, z nosem przy ziemi w poszukiwaniu coraz to nowych gadżetów, mających nam zapewnić szczęście, nie zauważamy. Widzą, co jest najważniejsze – wartość bezinteresownego gestu i czasu. Możemy odczytać ich obecność jako wezwanie do wyjścia poza nasz dobrze zorganizowany, zaplanowany świat ku spotkaniu z drugim człowiekiem, który ma nam coś do powiedzenia – coś, co jest ważniejsze niż przemijające spory polityczne i kurs złotówki. To nie oznacza, że ludzie bezdomni, alkoholicy czy chorzy psychicznie są niewinnymi aniołkami zawsze dającymi dobry przykład. To znaczy, że ich historie, losy, walka z trudnościami powiedzą nam więcej o życiu niż poradniki pod tytułem *Co robić, żeby być wiecznie szczęśliwym*. Pokażą skutki złych wyborów, zmuszą do odkrycia istoty piękna człowieka pod przykrywką kalectwa, cierpienia czy łachmanów. I będzie to prawdziwe piękno, piękno nieprzemijające. Skrzętnie ukrywamy przed innymi własne słabości. Życie z ubogimi uwalnia nas od masek, pozwala na wolność. Może dlatego są nam potrzebni. Ale my im także jesteśmy niezbędni do życia, a często do przeżycia. Dzielać się naszą siłą – czasem, wiedzą, dobrami materialnymi – otwieramy się na miłość i budujemy siebie. Świadomie używam słowa „dzielać się”, a nie „dając”. Dzielimy się z bratem, siostrą. Dzielić się to dopuścić kogoś do bliskości. Dać można obcemu i nie nawiązać żadnych relacji. W Ewangelii Chrystus odwraca zupełnie naszą ludzką hierarchię. To najślabi są na pierwszym miejscu w Królestwie Bożym. W końcu to Jego pozorna

słabość zbawiła świat. Pokonany stał się zwycięzcą. O kim pamiętamy i kogo czcimy – św. Maksymiliana Kolbego zagłodzonego na śmierć za czyn miłości czy jego oprawców? Kto był w gruncie rzeczy silniejszy, kiedy gestapowiec wyznaczał do celi śmierci więźniów Oświęcimia – on czy ten wynędział więzień w łachmanach?

Jest pewien tekst, moim zdaniem rewolucyjny, a prawie niezany. To fragment adhortacji *Christifideles laici* Jana Pawła II, powstałej po synodzie biskupów w 1987 roku na temat roli świeckich w Kościele: „Człowiek, choć powołany do radości, w swoim codziennym życiu doświadcza cierpienia i bólu w najrozmaitszych formach. Do mężczyzn i kobiet dotkniętych rozmaitego rodzaju cierpieniem i bólem Ojcowie synodalni skierowali w swoim Orędziu następujące słowa: »Wy wszyscy, opuszczeni i zepchnięci na margines naszego konsumpcyjnego społeczeństwa, chorzy, ułomni, ubodzy, głodni, emigranci, uchodźcy i więźniowie, bezrobotni, starcy, dzieci opuszczone i osoby samotne, wy, ofiary wojny i wszelkiego rodzaju przemocy, rodzącej się w naszym zezwalającym na wszystko społeczeństwie. Kościół uczestniczy w waszym cierpieniu prowadzącym do Pana, który włącza was w swoją odkupieńczą Mękę i pozwala Wam żyć w świetle swojego Zmartwychwstania. Liczymy na wasze świadectwa, aby uczyć świat, czym jest miłość. Zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, abyście znaleźli należne Wam miejsce w Kościele i społeczeństwie«” (ChL 53).

Czy rzeczywiście tak pobierać chcemy lekcję prawdziwej miłości?

Pozdrawiam wszystkich uczestników konferencji.

*Elżbieta Linartowicz**

MOJĄ SIŁĄ JEST MOJA SŁABOŚĆ. PRZYPOWIEŚĆ O DWÓCH WĘDROWCACH

Pozwolą państwo, że na wstępie przytoczę opowiadanie Brunona Ferrero o dwóch wędrowcach. Pomoże mi to w zilustrowaniu dylematu, przed jakim staje każdy człowiek, nieważne – sprawny czy niepełnosprawny. Otóż dwóch wędrowców podążało trudną górską trasą, zmagając się z porywistym wiatrem i przesywającym mrozem. Przyswiewał im jeden cel: dotrzeć jak najszybciej do położonego o parę godzin drogi schroniska. Niespodziewanie natrafili na skraju przepaści na człowieka, który wpadł do wąwozu i jęcząc z bólu oczekiwał na niechybną śmierć. Jeden z wędrowców stwierdził, że tak widocznie miało być. Przyspieszył kroku, zostawiając kompana samego z nierozwiązanym problemem. Ten ulitował się jednak nad nieszczęśnikiem i zszedł po niego do wąwozu. Zrzucił sobie rannego na ramiona i krętymi ścieżkami udał się w kierunku schroniska. Zapadał zmrok, a mróz wcale nie zelżał. Kiedy opadał już z sił, ledwo trzymając się na nogach, zobaczył z daleka światło domu. To mu dodało energii. Idąc dalej, natknął się na leżące w poprzek drogi ludzkie ciało. Były to zamrożone zwłoki jego niedawnego towarzysza

* Elżbieta Linartowicz – pedagog, prowadziła niepubliczną Poradnię Pedagogiczno-Psychologiczną „Akademos” w Szczecinie, współzałożycielka oddziału Stowarzyszenia Reumatyków i ich Sympatyków, od prezydenta Szczecina otrzymała tytuł Mecenasa Osób Niepełnosprawnych, od wielu lat dotknięta niedowładem kończyn dolnych, żona i matka trojga dzieci.

wędrowni. Sam, będąc skrajnie wycieńczony, dotarł w końcu szczęśliwie do celu. Ciało jego, spocone od wysiłku dźwigania rannego, stawało się przez to odrobinę gorętsze i to go ocaliło!

Zostałam kaleką i co dalej?

Przed takim dylematem – myśleć w pierwszym rzędzie o sobie czy o innych – stanęłam sama dwadzieścia parę lat temu. Ale po kolei. Jako młoda mężatka z rocznym dzieckiem trafiłam na zabieg kręgosłupa. Dziś wiem, że operację tę mogłabym sobie – przy tym schorzeniu – podarować i poddać się leczeniu zachowawczemu. Spoglądając z dzisiejszej perspektywy niczego jednak, co się w moim życiu wydarzyło, nie żałuję. Wtedy, gdy z dnia na dzień ze sprawnej dziewczyny stałam się niesprawną osobą, przeżywałam trudne dla siebie chwile. Co przeżywać musiał mój mąż, obarczony nagle niemowlęciem i żoną kaleką? O czym myślała moja matka, oplakująca niesprawną jedynaczkę? – nie byłam w stanie choćby pomyśleć, tak mocno skupiona byłam na sobie, na krzywdzie, jaka – w moim mniemaniu – mnie spotkała. Długo jeszcze pytanie: „Dlaczego?” zatruwało mi życie. Dwuletnia rehabilitacja celem przygotowania do chodzenia, ale już o kulach, była dla mnie bezcennym czasem refleksji, czasem przewartościowania mojego życia. To właśnie wtedy zobaczyłam, jakiego kochającego męża mam przy sobie. Przecież to na jego, a nie na mojej głowie był cały dom! Mógł sobie poszukać innej, sprawnej i atrakcyjniejszej ode mnie kobiety. Nie zrobił tego – pozostał mi wierny. Wiedziałam, że nie mogę go zawieść i muszę walczyć dzielnie ze swoim kalectwem, tak jak on podjął walkę z nowymi wyzwaniami. Zmiana mojego myślenia nie nastąpiła nagle, lecz po stoczeniu wielu małych, codziennych bitew. W chwilach załamania przychodzili mi z pomocą nie tylko najbliżsi. Nie zapomnę, jak podczas pobytu w sanatorium w Kamieniu Pomorskim terapeuci poświęcali swój wolny czas, by uczyć mnie stawiania pierwszych kroków o kulach. Równie trudny okazał się mój powrót do pracy. Do czasu operacji kręgosłupa byłam nauczycielem

akademickim, ale w tamtych czasach widok kaleki dla niektórych był nie do zniesienia. Odeszłam z uczelni, bo czułam, że postawionym wobec mnie oczekiwaniom nie będę w stanie sprostać. Przeniosłam się do pracy w placówce wychowawczej. W okresie doświadczania swojej słabości zaszłam ponownie w ciążę. Z dużymi obawami pytałam lekarza, czy przy mojej sprawności powinnam rodzić. Lekarz bez namysłu skinął głową.

Drugi cios i odbudowywanie wiary w siebie

Niebawem dopadła mnie ponownie trauma. W swojej nowej pracy w placówce państwowej natrafiłam na ślad matactwa. Kiedy oznajmiłam ten fakt mojemu szefowi, po trzech miesiącach już tam nie pracowałam. Mogłam przejść na rentę, przyjaciele orzekli jednak, że szkoda moich kompetencji. Dzięki wsparciu męża i dobrych ludzi w ciągu następnych trzech miesięcy zarejestrowałam niepubliczną poradnię pedagogiczno-psychologiczną! Szczęścia też chodzą parami, bo niedługo potem urodziłam trzecie dziecko. Ludzie nie mogli się nadziwić, że przy moim stanie zdrowia można się odważyć na tyle dzieci, jednak namacalnie doświadczałam w sobie siły – siły, która wyrasta ze słabości! Czułam, że muszę zacząć pomagać innym, dawać coś słabszym od siebie, przynosić zagubionym nadzieję. Założyłam stowarzyszenie na rzecz osób niepełnosprawnych. W tym czasie zbliżyłam się mocniej do Boga. Po raz pierwszy zaczęłam dziękować Mu za to, że jestem inwalidką. Zahartowałam się w znoszeniu przeciwności, chciałam się dzielić tą siłą z innymi. W sposób niezaplanowany stałam się współautorką radiowej audycji *Pomóc sobie, pomóc innym*. Uświadamiałam rodzicom niepełnosprawnych dzieci należne im prawa, a było to w czasach słabej dostępności i niedoboru informacji.

Najważniejsze puste ręce

Będąc osłabiona fizycznie, czuję się wzmocniona psychicznie. Nie mogę się nadziwić: ile możemy dać drugiemu, mając puste ręce. To one pomagają w dawaniu siebie! Najłatwiej dać komuś jakąś rzecz, trudniej zaferować swój czas. Żyjemy w epoce, kiedy trudno znaleźć czas nawet dla najbliższych. Mam tego świadomość i staram się pamiętać w ciągu dnia o spotkaniu, krótkiej, choćby telefonicznej rozmowie, pozostając w ten sposób w łączności z najbliższą rodziną, przyjaciółmi. Aktualnie jestem szczęśliwą babcią. Dzięki wózkowi – wbrew przesądom – mogę wraz z mężem przemieszczać się, zwiedzać świat. Przy niektórych osobach sprawnych czuję dyskomfort, słysząc narzekania typu: „A mnie to się nie chce” albo: „A ty to wciąż czegoś chcesz”. Błogosławiony był dla mnie czas tamtych dwóch lat, czas, w którym mogło się wszystko wydarzyć. Świętej pamięci Witek nie wytrzymał tego przejścia do ludzi niepełnosprawnych – popełnił samobójstwo. Mnie Pan Bóg postawił w środowisku niepełnosprawnych trochę inaczej, tak, że mogłam realizować siebie rodzinnie, ale też i zawodowo. Dziękuję Panu za siłę, wiarę i za to, że mogę być sprawna inaczej.

*Anna Murawska**

TOWARZYSZENIE CZŁOWIEKOWI W TELEFONIE ZAUFANIA

Wprowadzenie

Jednym z najbardziej kłopotliwych pytań, przed jakimi stajemy, jest pytanie o człowieka. Możemy powiedzieć o nim tyle pewnego, że jest istotą pełną napięcia, sprzeczności, do końca niepoznawalną. Z jednej strony można mówić o jego wielkości, która wyraża się w wolności i rozumności, a dowodem na nią są niezwykle dzieła i czyny, zapisujące się na trwałe w zbiorowej świadomości, ale także codzienne, zwyczajne, rzetelne wypełnianie zadań i podejmowanie wyzwań, jakie stawia życie. Z drugiej strony człowiek jest istotą słabą, kruchą, nieporadną, załęcznioną, bezsilną wobec praw natury, wobec zła czynionego przez innych i tego, które on sam czyni. Erich Fromm tak charakteryzował napięcia i sprzeczności tkwiące w człowieku: „Człowiek niejako wypadł z przyrody, a zarazem nadal się w niej znajduje; ma naturę częściowo boską, a częściowo zwierzęcą; jest częściowo nieskończony, a częściowo skończony. Konieczność odnajdywania coraz to nowych rozwiązań sprzeczności w swoim istnie-

* Dr hab. Anna Murawska, prof. US – pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Szczecińskiego, kierownik Katedry Teorii Wychowania, wiceprezes Szczecińskiego Telefonu Zaufania „Anonimowy Przyjaciel” (91 813 63 63).

niu, coraz wyższych form jedności z przyrodą, innymi ludźmi i sobą samym, jest źródłem wszelkich sił psychicznych, które motywują człowieka do działania, wszelkich jego namiętności i lęków”¹¹.

Istotnym atrybutem człowieka jest skierowanie ku drugiej osobie. Ma on naturę relacyjną. Nie byłby w pełni sobą w oderwaniu od innych, w samotności. Istnieje i rozwija się w ramach relacji społecznych. Tylko w nich może najpełniej wyrażać siebie i najgłębiej siebie określić. A zatem, by być człowiekiem, potrzebuje innych i jest innym potrzebny. Niestety, zdarza się, że w najbliższym otoczeniu nie widzi nikogo, przed kim mógłby się wewnętrznie obnażyć oraz podzielić się swoimi najbardziej skrytymi uczuciami i najgłębszymi myślami, a to wszystko bez lęku o możliwość kompromitacji, ośmieszenia, skrytykowania, odrzucenia. Na tę niezaspokojoną potrzebę otwartości, akceptacji i bliskości odpowiadają dyżurni telefonów zaufania.

Idea pomagania przez telefon

Rozwój ruchu pomocy telefonicznej jest bezpośrednio związany z osobą Edwarda Chada Varaha, anglikańskiego pastora, który od lat 30. ubiegłego wieku pracował w parafiach Londynu. W sposób wyjątkowy poruszały go sytuacje samobójstw, zwłaszcza ludzi młodych, którzy, jak się okazywało, podejmując ten krok nie mieli w swoim otoczeniu nikogo, komu mogliby w krytycznym momencie powierzyć swoje lęki, poczucie osaczenia, bezradność, rozpacz i kto mógłby powstrzymać ich przed odebraniem sobie życia. Widział zatem potrzebę założenia powszechnie znanego i ogólnie dostępnego numeru telefonu dla osób w kryzysie, takiego jak na przykład numer pogotowia ratunkowego dla osób chorych.

O wadze i potrzebie działań podjętych przez Chada Varaha świadczył fakt, że był on wręcz zasypywany prośbami o pomoc. Z rozmów telefo-

¹ E. Fromm, *Zdrowie społeczeństwa*, tłum. A. Tanalska-Dulęba, Warszawa 1996, s. 39.

nicznych lub spotkań twarzą w twarz korzystało tyle osób, że sprostanie ich liczbie przekraczało możliwości pastora. To ogromne zapotrzebowanie, z którym się spotkał, wymusiło na nim włączenie do pomagania osoby świeckie należące do parafii. Nie byli to profesjonalni doradcy, ale wolontariusze, którzy mogli zaoferować swój czas, aby wysłuchać potrzebujących i dać im emocjonalne wsparcie. Początkowo pełnili oni funkcję recepcjonistów, którzy prowadzili życzliwą rozmowę z osobami czekającymi na pastora². Dzięki nim każdy, kto zgłaszał się do parafii, uzyskiwał zainteresowanie oraz troskę – jeśli nie zdołał porozmawiać z pastorem, to przynajmniej ktoś z jego współpracowników był do dyspozycji. Praktyka pokazywała, że dla większości potrzebujących rozmowa była wystarczającą pomocą. Chad Varah starannie dobierał pomagających mu parafian, określał zasady kontaktu z potrzebującymi pomocy, uważnie obserwował wolontariuszy w relacjach z osobami oczekującymi pomocy. Dość szybko zauważył, że pomagający mu ludzie radzą sobie z udzielaniem wsparcia innym równie dobrze, a nawet lepiej niż on sam. Na początku listopada 1954 roku zorganizował spotkanie wszystkich wolontariuszy. Zwracając się do nich, nazwał ich samarytanami³, rozpoczynając w ten sposób działalność niezależnej organizacji charytatywnej⁴.

Człowiek w sytuacji kryzysu

Człowiek – istota dynamiczna, pełna napięć i sprzeczności, zawieszona między niebem a ziemią – ze swej natury narażony jest na przeżywanie kryzysów. Dodatkowo w czasach, w których żyjemy, sprawy ludzkie wydają się szczególnie zawiłane, a mogą komplikować się jeszcze bardziej. Spod

² www.befrienders.org. Dane z dnia 16.08.2008.

³ Wcześniej nazwy tej – na określenie pastora i jego współpracowników – użyli dziennikarze podczas jednej z konferencji prasowych, w których uczestniczył Chad Varah. Podaję za: A. Dramiński, *Fragmety z autobiografii Chada Varaha*, „Telefon Zaufania. Nasza Gazeta” 2008, s. 2.

⁴ www.samaritans.org. Dane z dnia 4.08.2008.

naszych nóg usuwa się fundament wartości, które stają się zindywidualizowane, lokalne, dla jakiejś „wersji” świata. Niedoceniana, deprecjonowana tradycja przestaje być bezpiecznym oparciem dla codziennych wyborów i decyzji. Relacje międzyludzkie, choć dzięki nowoczesnym technologiom mocno zagęszczone, często są powierzchowne, okazjonalne, instrumentalne, pozbawione głębokiego, osobowego charakteru i odpowiedzialności za siebie nawzajem. Jakkolwiek kryzys jest doświadczeniem, przez które przechodzi każdy człowiek (czasem kilkakrotnie) i raczej nie znajdziemy nikogo, kto wolny byłby od przejścia przezeń, to ludzie różnią się zasobami osobistymi i umiejętnościami radzenia sobie w takiej sytuacji. Pokomplikowanie świata i sytuacji człowieka w nim jeszcze bardziej to radzenie sobie utrudnia.

Kryzysy – najogólniej – mogą być rozwojowe (zachodzą w toku rozwoju, dotyczą każdego człowieka), sytuacyjne (związane z nagłymi, nieprzewidywalnymi wydarzeniami), środowiskowe (spowodowane katastrofą lub silnymi zjawiskami naturalnymi) i egzystencjalne (związane z ważnymi dla człowieka wartościami i celami)⁵. Kryzys ma charakter ambiwalentny. Jest szansą i zagrożeniem równocześnie. Może przynieść korzyść, ale i stratę. Może przyspieszyć rozwój, ale może też doprowadzić do degradacji. W sytuacji kryzysu potrzebna jest szybka pomoc. Jest ona określana mianem interwencji kryzysowej. Do jej form bywa zaliczane również pomaganie przez telefon.

Przesłanki pomagania przez telefon

U podstaw pomagania przez telefon leży przekonanie, że człowiek ma siłę, aby poradzić sobie ze swoimi problemami. To, co najbardziej pomocne, znajduje się w nim samym, należy tylko to aktywować, uruchomić, ujawnić.

Człowiek potrzebuje przestrzeni, w której poczuje się autonomiczny i odpowiedzialny za siebie oraz w której odszuka zasoby tkwiące w nim

⁵ Por.: R.K. James, B. E. Gililand, *Strategie interwencji kryzysowej. Pomoc psychologiczna poprzedzająca terapię*, tłum. A. Bidziński, PARPA, Warszawa 2006, s. 28–29.

i w jego otoczeniu umożliwiające przewyciężenie trudności. Przestrzeń tę współtworzy dyżurny telefonu zaufania. Tutaj człowiek otrzymuje czas, uwagę, zrozumienie oraz wysłuchanie. To dziś rzadki towar. Zdarza się, że słyszymy od dzwoniących, iż nikt ich dotąd do końca i z uwagą nie wysłuchał. W telefonie zaufania słuchanie ma ogromne znaczenie. Używa się nawet określenia, że jest to pomaganie przez słuchanie. Dyżurny nie udziela rad, nie podaje rozwiązań. Nie zdejmuje z dzwoniącego odpowiedzialności za jego własne życie. Pomoc przez telefon jest niedyrektywna. Dzwoniący ma okazję opowiedzieć o tym, co go trapi. Rozwijając opowieść, werbalizując problem i okoliczności, które mu towarzyszą, porządkując myśli tak, aby były zrozumiałe dla postronnego, anonimowego słuchacza, nabiera dystansu do swojej sytuacji. Czasem to wystarcza, aby dostrzec rozwiązanie, które nie było widoczne, gdy dzwoniący tkwił w centrum problemu. Narracja może również pomóc uwolnić się od emocji, które utrudniają intelektualną analizę problemu i znalezienie rozwiązania. Bywa, że dzwoniącemu chodzi wyłącznie o uspokojenie emocji. I te mogą się wyciszać w miarę przedstawiania opowieści anonimowemu słuchaczowi.

W trakcie rozmowy dzwoniący otrzymuje sygnał, że jest osobą wartościową, jest w stanie poradzić sobie z problemem, a gdy sam sobie nie radzi, zasługuje na pomoc innych. Może też uzyskać informacje pomocne dla rozwiązania problemu.

Zaufanie jako filar pomocy telefonicznej

Żyjemy w czasach, w których z jednej strony mamy do czynienia z deficytem zaufania, z drugiej zaś – z ogromną potrzebą tego, by móc ufać, by znaleźć jakieś punkty oparcia w niepewnym i niestabilnym świecie. Zaufanie pozwala radzić sobie z obecnością innych. Bez zaufania bylibyśmy sparaliżowani i niezdolni do działania⁶⁶. Zaufanie to założenie, że ludzie będą

⁶⁶ P. Sztompka, *Zaufanie. Fundament społeczeństwa*, Kraków 2007, s. 48.

postępować zgodnie z zasadami moralnymi, normami społecznymi, kulturowymi i prawnymi, że nie złamią ustalonych reguł⁷. W przypadku korzystania z telefonu zaufania pomaganie wiąże się z dyskrecją. Osoba dzwoniąca ufa, że zarówno sam fakt zwrócenia się o pomoc, jak i treść prowadzonej rozmowy nie zostaną nikomu ujawnione. Zaufanie winno też odnosić się do realizacji wszystkich zasad, na których opiera się pomoc telefoniczna, a mianowicie: dostępności, akceptacji dzwoniącego oraz braku oceniania i narzucania dzwoniącemu przekonań filozoficznych, religijnych czy politycznych. Naruszanie tych zasad przez dyżurnych podważa zaufanie do tej formy pomocy. Wskazane tu wymiary zaufania jako zasady telefonicznej pomocy odnoszą się do relacji dzwoniący – dyżurny. Tym, kto okazuje zaufanie, jest dzwoniący. Dyżurny jest zaufaniem obdarowywany, najczęściej zupełnie na kredyt. Zasada zaufania ma jednak jeszcze jeden wymiar, często niedoceniany. Tym, który obdarza zaufaniem, jest też dyżurny telefonu. Chodzi tu o zaufanie do dzwoniącego. Jest to jedno z podstawowych zadań dyżurnego, by w osobie zwracającej się o pomoc budzić zaufanie do jego siły i zasobów osobistych, a w związku z tym – do możliwości poradzenia sobie z problemami, nawet gdyby w danej chwili wydawały się one niemożliwe do przezwyciężenia. Jest to, być może, najważniejsze zadanie, jakie ma do wykonania dyżurny. To zaufanie okazywane przez innych tworzy przestrzeń, w której człowiek zaczyna ufać samemu sobie i odkrywa w sobie siłę. Brak zaufania do siebie, do tego, że jestem w stanie rozpoznać to, czego chcę i znaleźć sposób oraz siły, aby to zrealizować, sprawia, że świat staje się przerażającym, niepoddającym się kontroli i beznadziejnym miejscem, w którym co najwyżej można wegetować, pod warunkiem że znajdzie się dla siebie w miarę bezpieczną niszę.

Telefon zaufania jest po to, by każdy człowiek usłyszał, że jest wartością. Jest wartością samą w sobie, której niczym nie trzeba uzasadniać ani potwierdzać. Jest wartością bez względu na to, ile jest w nim siły, a ile słabości.

⁷ L.W. Zacher, *Erozja zaufania jako nowe wyzwanie wychowawczo-edukacyjne*, w: *U podstaw dialogu o edukacji*, red. A. Karpińska, Białystok 2003, s. 35.

*Beata Kropidłowska**

INTEGRACJA OSÓB ZDROWYCH I NIEPEŁNOSPRAWNYCH NA PRZYKŁADACH

„Człowiek jest wielki nie przez to, co ma, nie przez to, kim jest, ale przez to, czym dzieli się z innymi” – doskonale znane nam słowa Jana Pawła II nie tracą nic ze swej mocy i aktualności, szczególnie tam, gdzie mowa o relacjach społecznych. A gdzie mowa o relacjach międzyludzkich, tam od razu nasuwa się skojarzenie z integracją. To bardzo modne dziś słowo jest jak wielki worek, do którego wrzucamy bez zastanowienia spotkania, wyjazdy, festyny, zebrania i wszystko, co wygodnie nam określić tym terminem. Integracja – czyli tak naprawdę co? Bycie razem przez chwilę? Wyreżyserowane, często ujęte w ramy, krótkotrwałe spotkanie, którego najważniejszym celem jest to, że się odbyło?

Czy dawniej nie było takich przedsięwzięć? Zawsze były! Mam jednak wrażenie, że wyglądały zdecydowanie inaczej. **Ludzie spędzali ze sobą więcej czasu i wszystko odbywało się w sposób bardziej naturalny. Nie musieliśmy integrować się akcyjnie.** To działo się przy okazji różnych, zwyczajnych sytuacji.

Odwołuję się często do swoich wspomnień z dzieciństwa. Wiele się wówczas działo. Zabawy całej paczki małych i dużych ze wspólnego po-

* Beata Kropidłowska – wieloletnia nauczycielka w klasach integracyjnych nauczania początkowego w szkole podstawowej im. Jana Pawła II w Policach, do niedawna urzędnik w Wydziale Edukacji i Kultury Polickiego Starostwa, założycielka Stowarzyszenia „Warto być”.

dwórka to wymyślanie i realizacja najprzeróżniejszych gier, walki i pojednania, teatr podwórkowy. To właśnie doskonały przykład integracji – wielopłaszczyznowej i na różnych poziomach. Jedno wspomnienie ma dla mnie szczególne znaczenie. Mam młodszą siostrę, niepełnosprawną fizycznie i intelektualnie. Nauczyła się chodzić dopiero wieku trzech lat, ale zawsze bardzo chciała uczestniczyć w naszych wspólnych zabawach. Do tej pory jest osobą niezwykle społeczną, nastawioną na kontakt z innymi. Otóż Ewa, która nie umiała chodzić, bardzo chciała bawić się z nami w „Gąski, gąski do domu”. Mama ubierała ją w specjalne dresy, żeby mogła turlać się z jednej strony podwórka na drugą. Tak oto na swój sposób podążyła za grupą przemierzających się dzieci. Zanim jednak rozpoczęła się zabawa, wszyscy, solidarnie i bez namawiania, przygotowaliśmy podwórko: aby było bezpieczne dla turlającej się po ziemi Ewy, oczyszczaliśmy je ze szkieł i kamieni. Nigdy nie usłyszałam, żeby ktoś powiedział: „Zrób to sama, to twoja siostra”. To nam dało bardzo wiele – oswoił się z niepełnosprawnością i potrzebami osoby żyjącej inaczej. Naturalne stało się dostrzeganie jej potrzeb i wychodzenie im naprzeciw. Oczywiście nie zawsze, ale z pewnością w ważnych sytuacjach. Wiem też, że moi podwórkowi przyjaciele i towarzysze zabaw zawsze już będą myśleć w sposób uwzględniający lub choćby dostrzegający potrzeby osób niepełnosprawnych.

Spędzaliśmy razem bardzo dużo czasu, ucząc się zachowań społecznych – negocjacji, cierpliwości, pokory. Każdy wiedział, że jeśli pójdzie obrażony do domu, to zostanie tam sam i zanudzi się na śmierć. Nie było komputera, a w telewizji rzadko pokazywano coś ciekawego. W swoim dorosłym, zawodowym życiu zawsze starałam się pamiętać, jak ważne jest przekazywanie idei integracji tzw. zdrowej części społeczeństwa z tymi jego członkami, których los doświadczył, naznaczając piętnem niepełnosprawności.

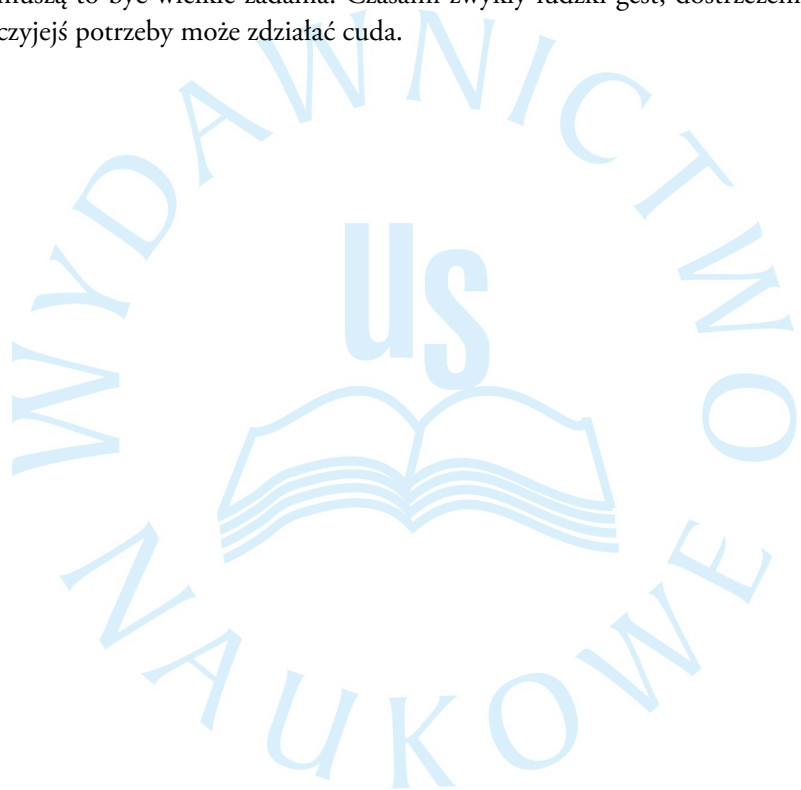
Jako nauczyciel pracujący z dziećmi młodszymi zabiegałam o to, aby moi uczniowie mieli kontakt ze swoimi rówieśnikami z upośledzeniem umysłowym bądź fizycznym. Prowadziłam wspólne zajęcia, dzia-

łania teatralne, zabawy. Rodzice uczniów nigdy nie protestowali, ale zanim cokolwiek się wydarzyło, przygotowywałam również ich, bardzo często bowiem zdarza się, że największe bariery w kontaktach rówieśniczych pojawiają się właśnie ze strony rodziców. Gdy rozumieją sytuację, szybko doceniają zalety takiej właśnie integracji i chętnie sami się angażują. Współczesne dzieciaki są bardzo nieodporne na stres, szybko się załamują. Zniechęca je najmniejsza porażka, bo często są nauczone, że wszystko im się należy. Dostają to, czego chcą, a cała rodzina angażuje się mocno w spełnianie zachcianek małego człowieka. Nie mają okazji, by stłuc choć raz własne kolana! Tymczasem życie pełne jest niespodzianek, często przykrych i zmuszających do podjęcia wysiłku i przeciwstawienia się trudnościom. Osoby niepełnosprawne doświadczają tego na każdym kroku. Niewiele rzeczy przychodzi im z łatwością.

Kiedy ośmiolatek widzi, że nakreślenie literki czy choćby znaku literopodobnego jest dla jego niepełnosprawnego rówieśnika wielkim sukcesem, zaczyna zastanawiać się nad sobą i swoimi możliwościami. Do tej pory specjalnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że pewne rzeczy, dla niego naturalnie łatwe, komuś mogą sprawić wiele kłopotu. Dzieci są świetnymi obserwatorami i najczęściej potrafią wyciągać wnioski. Uczą się szybko i bez specjalnych zastrzeżeń przyjmują to, czego doświadczają, jeśli odbywa się to w sprzyjającej atmosferze grupy rówieśniczej, klasy, szkoły, rodziny.

Nie trzeba podejmować wielkich akcji tam, gdzie w sposób naturalny dokonuje się integracja między ludźmi zdrowymi i niepełnosprawnymi. Trzeba jednak pamiętać, że nie wszyscy mają taką możliwość. Dlatego ważne jest, aby podjąć odpowiednie starania. Z tą właśnie myślą założyłam Stowarzyszenie Wspierające Integrację Osób Zdrowych i Niepełnosprawnych „Warto być”. Naszym celem jest taka organizacja przestrzeni społecznej, aby ludzie zdrowi i niepełnosprawni mogli w sposób naturalny doświadczać siebie wzajemnie, żeby nauczyli się właściwie na siebie reagować i wspierać wzajemnie, pamiętając o konieczności znoszenia barier architektonicznych, właściwych oznakowaniach dla niewidomych,

klasach integracyjnych, sąsiadce, która jeździ na wózku i może potrzebuje pomocy, koleżance, która ma dziecko z upośledzeniem umysłowym i niechętnie wychodzi z nim z domu. Integracja osób zdrowych i niepełnosprawnych – przykłady można mnożyć w nieskończoność i nie zawsze muszą to być wielkie zadania. Czasami zwykły ludzki gest, dostrzeżenie czyjejś potrzeby może zdziałać cuda.



*Piotr Filipowski**

SZKOŁA ZNOSZENIA SŁABOŚCI TYCH, KTÓRZY NAS NISZCZĄ

Będzie to krótka konferencja w ramach panoramy zranionych, odrzuconych, bezdomnych. Jestem prefektem w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii przy ul. Świerkowej 7 w Szczecinie. Moimi podopiecznymi są chłopcy w wieku 15-17 lat, przebywający u nas z powodu nierealizowania w domu rodzinnym obowiązku szkolnego. Dowozimy ich do Gimnazjum Specjalnego przy ul. Jagiellońskiej i do Szkoły Zawodowej Specjalnej przy ul. Kolumba. Pozwolę też sobie pokazać słuchaczom trzy tomy naszej kroniki. Myślę, że one potrafią powiedzieć o wiele więcej, a w ten sposób sami wychowankowie też się przedstawiają: może czyjeś zdjęcie, rysunek, kartka z zeszytu szkolnego bardziej komuś utkwia w pamięci, niż moje gadanie. Jeśli ktoś czegoś nie usłyszy, bo mówię nieskładnie i niewyraźnie, to może coś zobaczy w kronice. Nasi chłopcy, chociaż wiekowo dosięgają pełnoletniości (do tego czasu są kierowani do nas przez sąd rodzinny oraz starostwo), w sposobie zachowania często są na poziomie dwunasto- czy trzynastolatka, co dobrze ilustruje anegdota wzięta z bezpłatnego dziennika „Metro”:

„Przychodzi Jaś do domu ze szkoły i krzyczy:
– Mamo, dzisiaj zrobiłem dobry uczynek!

* Piotr Filipowski – ksiądz katolicki, prefekt Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii im. św. Brata Alberta w Szczecinie, kapelan bezdomnych, prezbiter wspólnoty neokatechumenalnej w Policach.

– No to mów.

– Koledzy położyli pinezkę szpilką do góry na krześle nauczyciela. Już miał siadać, kiedy ja odsunąłem krzesło!”

Co mi pokazuje praca z tymi chłopakami? Zastanawiam się czasem, po co tam jestem. Po pierwsze: by się ujawniło, że nie mam miłości do słabego. Ile razy doświadczyłem, że się we mnie zagotowało, że „wyszedłem z siebie i stanąłem obok”, ile razy „darłem się”, nie dając sobie rady z wychowankami, z kładzeniem ich podczas ciszy nocnej do łóżek i gaszeniem światła. Oni wiedzą, że mam nerwicę i biorę leki, więc gdy przesadzę w krzyczeniu, wychowanek z niewinną miną odpowiada mi: „Ksiądz to chyba nie wziął tabletki i tak krzywo gada”. Jesteśmy wobec siebie szczerzy do bólu...

Po drugie, widzę, że w mojej pracy może objawić się miłość, która bierze na siebie grzech drugiego, **uczę się brać na siebie „słabego”**. Tutaj odnalazłem słowa św. Pawła: „A my, którzy jesteśmy mocni [w wierze], powinniśmy **znosić słabości** tych, którzy są słabi, a **nie szukać tylko tego, co dla nas dogodne**. Niech każdy z nas stara się o to, co dla bliźniego dogodne – dla jego dobra, dla zbudowania. Przecież i Chrystus nie szukał tego, co było dogodne dla Niego, ale jak napisano: Urągania tych, którzy Tobie urągają, spadły na Mnie” (Rz 15,1-3). Kiedyś zaszedł do nas jezuita ks. Andrzej Szczypa i na odchodnym spytał mnie: „Piotrze, powiedz mi, jak doświadczasz tutaj miłości Bożej?”. Nie wiedziałem od razu, co odpowiedzieć, ale potem przyszło mi do głowy, że jest możliwe kochać tych, którzy nam sprawiają kłopoty, są antypatyczni, którzy nas niszczą, a taka miłość jest wyrazem miłości Boga. On daje ją nam za darmo, tylko On tak potrafi kochać – tych, którzy jej nie są warci.

Przebywał u nas przed laty chłopak Tomek „Byku”, który chodził do szkoły pomaturalnej (gdy byliśmy placówką Caritasu, była u nas taka wyrośnięta młodzież), a dorabiał sobie akwizycją kosmetyków. Pożyczał przy tym od kolegów pieniądze z zapewnieniem zwrotu po sprzedaży artykułów i wielu był coś winien. Poza tym przez swoje dodatkowe zajęcia nie przestrzegał regulaminu – podpadł wychowawcom i całemu domowi.

Doigrał się w końcu, że pod dom przyszło kilku osiłków z miasta z informacją, że czekają, aż „Byku” wyjdzie, by się z nim „rozliczyć”, bo winien był im pieniądze. Po cichu każdy z nas zacierał ręce, że właściwie to Tomkowi się należało, wreszcie ktoś mu utrze nosa. Tylko jeden z młodych wychowawców, Paweł Jakubowski, powiedział, że on wyjdzie zamiast niego przed dom i stanie w obronie chłopaka. Tylko jeden zdecydował się na to. To nam wszystkim dało do myślenia, że za kogoś takiego można nadstawić karku. Następnym razem, kiedy trzech przyjechało samochodem i czekało za bramą wjazdową, żeby wsadzić tam Tomka, wywieźć go do lasu i obić, wyszedłem do nich w koloratce. Usiadłem na pustym miejscu w samochodzie z oświadczeniem, że może ze mną sobie poczekają albo wspólnie sobie pojeździmy. Takiego wariantu się nie spodziewali i zrezygnowali z oczekiwania, „bo się spieszą”. Później zreflektowałem się, że na dobrą sprawę mogli mnie wywieźć i mi „nastukać” – ale to nieważne. Miałem satysfakcję, że mogę ryzykować za tego mało mi znanego chłopaka i wbrew wszystkiemu pokazać, że go lubię.

Trzecia rzecz – w naszym ośrodku Bóg uczy mnie umierania, od dawania życia dla słabych. Gdy przychodzą na mnie fale agresji, tonę w nienawiści, wściekłości na kogoś z podopiecznych, mogę jeszcze wołać do Jezusa Zmartwychwstałego, jak kiedyś św. Piotr: „Panie, wezwij mnie, bym przyszedł do Ciebie po wodach” (por. Mt 14,28). To ciekawy obraz. Na środku jeziora, w nocy, podczas burzy Pan idzie do łodzi, w której przebywają uczniowie, stąpając po wodzie jak po równym stole. Piotr rusza do Niego. Kiedy patrzy na Mistrza, idzie do przodu, ale gdy zdaje sobie sprawę z tego, co robi, gdy uświadamia sobie swoje własne możliwości – zaczyna tonąć. Toteż sytuacje pełne napięcia, na ostrzu noża, są dla mnie okazją, by szukać Jezusa Chrystusa, opierać się na Nim, na Jego miłości. To cudowna rzecz doświadczać, że można pokonać w sobie śmierć i nie bać się, pokonać lęk przed śmiercią. Nie muszę już bać się sytuacji dramatycznych, złych – bo one mnie prowadzą do Jezusa.

Na koniec przypomina mi się kolejna anegdota szkolna z „Metra”:
„Nauczycielka pyta na lekcji:

– Krzysiu, zrobiłeś zadanie?

– Proszę pani, mamusia zachorowała i musiałem wszystko w domu robić...

– Jedyńka! A ty, Wojtku, zrobiłeś zadanie?

– Ja musiałem ojcu pomagać w polu...

– Siadaj, niedostateczny! A ty, Kaziu, zrobiłeś zadanie?

– Jakie zadanie, proszę pani... Mój brat wyszedł z więzienia, taka była u nas balanga, że szkoda gadać.

– Ty mnie tutaj swym bratem nie strasz. Siadaj, trójka!”

W podsumowaniu mogę stwierdzić, że dzięki naszemu ośrodkowi nie muszę się bać „słabego”, kontaktu z nim. Mogę doświadczać, że w tych sytuacjach i całym bagażu cierpienia Bóg mnie kocha i posyła jako odpowiedź swego Syna, który daje mi życie, swoją miłość.

*Marek Dorożyński**

MOJA DROGA DO TRZEŻWOŚCI

Alkohol poprawia nastrój?

Nie jest mi łatwo o tym mówić, gdyż sam jestem alkoholikiem z siedemnastoletnim stażem niepicia alkoholu. Spróbuję podzielić się z Państwem tym, czego doświadczyłem jako czynny alkoholik. Jak poznać alkoholika? To osoba nadużywająca alkoholu, nie panująca nad tym. Jak wygląda? Bez trudu przywołujemy liczne obrazy z życia wzięte: człowieka leżącego w bramie, na ulicy, na przystanku czy pod mostem. Matki odsuwają na bok małe dzieci, by oszczędzić im takich przykrych widoków. Stajemy się zobojeźniali. Mówimy: „Napił się jak świnia!”. Odmawiamy alkoholikowi cech ludzkich. Pogardzamy nim, choć nie przestał być w tym momencie człowiekiem.

Spotykamy się ze zjawiskiem nadużywania alkoholu w najbliższej rodzinie, w pracy, w szkole, wszędzie. To nieprawda, że alkoholizm dominuje w jednej grupie społecznej. Na czym polega ten rodzaj choroby? Alkoholik żyje w świecie iluzji. Chęć napicia się jest w nim silniejsza niż świadomość konsekwencji, które go osiągną (ktoś powie: „Rzecz względna, zależy przecież, jaką kto ma głowę”). Zobrazuję to na własnym przykładzie. Wielokrotnie obiecywałem sobie, że przestanę pić. Niejednokrotnie wytrzymałem tydzień, miesiąc, trzy miesiące. Przychodził

* Marek Dorożyński – z wykształcenia dyrygent, współwłaściciel firmy reklamowej, z potrzeby serca skrzypek w Zespole Piosenki Naiwnej, z życiowej drogi uczestnik ruchu AA.

jednak taki dzień, o którym alkoholicy mówią w swoim środowisku: „Wpadłem!” (czyli upiłem się). Alkoholik nie jest w stanie sam – żyjąc w swoim urojonym świecie – rozpoznać pewnych symptomów postępującej choroby alkoholowej. Nie wie, jaka siła zmusza go, że znowu pije, pomimo że składał obietnice. Kto stosunkowo niedawno przestał pić, może mieć nawet wątpliwości, czy jest alkoholikiem, czy całkowita abstynencja jest warunkiem koniecznym obrony przed powrotem do picia. Dla takiego człowieka droga trzeźwienia wydawać się może bardzo trudna, nieprzyjemna, wręcz przerażająca, bo jak sobie poradzić, kiedy przez tyle lat opierał życie na alkoholu? Jak żyć bez tego, co poprawiało humor, nastrój, zaróżowiło świat? Wcześniej wydawało się, że wszystko jakoś się uda, załatwi. Alkoholik powtarza sobie jak mantrę: „Jakoś to będzie”. Ale jak? – o to już nie pyta. Nie chce Państwa zasmucać, przytaczając prawdziwe historie z życia alkoholika – nierzadko nawet i wesołe, bo alkoholizm to nie tylko traumatyczne przeżycia. Są one jednak zabawne tylko dla niego i grupy kompanów od kieliszka – na pewno nie dla otoczenia, najbliższej rodziny.

Alkoholik przegrywa swoje życie na wielu płaszczyznach. Po pierwsze – przegrywa fizycznie. Cierpi jego ciało: serce, nerki, wątroba, układ nerwowy. Nie układa się również życie rodzinne. Alkoholik traci więź z najbliższymi, ich szacunek, hamuje rozwój emocjonalny swoich dzieci, rujnuje budżet domowy, przepijając rodzinne zasoby. Także społeczeństwo ponosi straty: alkoholik zaniedbuje swoją pracę, staje się niezdolny do dłuższego wysiłku, naraża się na wypadki, kalectwo, rozbija rodzinę, rozpija nierzadko innych. Alkoholikowi wydaje się, że pijąc, zakrywa swoje niedoskonałości, wady, staje się kimś lepszym, uważa, że może być bardziej sobą. To prawda o tyle, o ile puszczają w nim hamulce moralne, obojętnie sumienie. Przekonuje go fakt, że ośmiela się wtedy w rozmowie, staje się bardziej dowcipny, towarzyski, szczery. Imponuje mu bycie duszą towarzystwa, zwłaszcza wśród kobiet. Wydaje mu się, że nie jest to możliwe na trzeźwo i dlatego musi wciąż pić, by przedłużyć chwilę swojej szczęśliwości. Problem pojawia się wraz z podjęciem przez alkoholika abs-

tyncji: jak teraz żyć bez dopalacza, który wprowadzał w miły nastrój? Przecież wtedy wyjdzie na jaw coś, co wydawało się, że skutecznie ukrywa: nieśmiałość, brak odwagi, lęki, obawy.

Moje dwanaście kroków w skrócie

Cały program kuracji trzeźwosciowej Anonimowych Alkoholików – dzięki któremu jestem dziś tu z wami jako trzeźwy alkoholik – sprowadza się do dwunastu kroków. Podkreślenia wymaga fakt, że mimo długoletniego niepicia nadal jestem pogrążony w chorobie zwanej alkoholizmem. Inaczej mówiąc, nie mógłbym bez przykrych dla mnie konsekwencji powiedzieć sobie, że jestem już człowiekiem wolnym od uzależnienia, wyleczonym! Nie będę ryzykował zejścia piętro niżej do restauracji Zamkowa, by wznieść tam toast za obecnych tu na sali trzeźwych alkoholików.

Jak do tego doszło, że nie stoczyłem się do końca, jak wielu moich kolegów? Dziękuję sile wyższej, Bogu – jakkolwiek jestem w stanie Go pojąć – że w ruchu AA pozostawiono furtkę dla niedowiarków takich jak ja. Nikt nie wymagał ode mnie – na moje szczęście – konkretnej formy wyznania wiary, zwłaszcza że w okresie picia oddaliłem się jeszcze bardziej od Boga, czyniąc mu wyrzuty, że pozwolił na to, co mnie w życiu spotkało. Głównym zarzutem było to, że innym się powiodło, a mnie nie.

Pierwszym krokiem na drodze trzeźwienia w ruchu AA jest przyznanie się przed samym sobą, że jest się alkoholikiem. Dosłownie brzmi to tak: „Przyznaję, że jestem bezsilny wobec alkoholu, że przestałem kierować swoim życiem”. Dlaczego tak ważną rzeczą jest dokonanie tego kroku? Nikt nie lubi przyznawać się do własnej porażki. W przypadku alkoholika porażką – w jego odczuciu – jest odstawienie wódki, która poprawiała mu samopoczucie. Kapitalne znaczenie w całym programie terapii ma grupa wsparcia, w niej spoczywa niewyobrażalna siła – moralna, kontrolna, a także motywująca. W Stanach Zjednoczonych były czynione próby terapii indywidualnej alkoholików, okazały się jednak mało

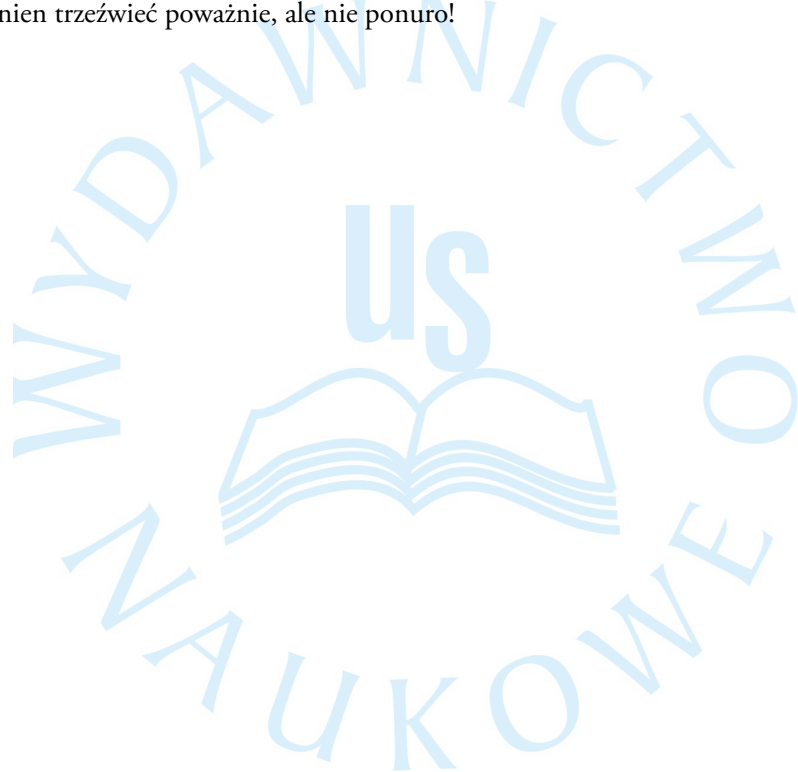
skuteczne w obliczu skłonności ludzkiej inteligencji do manipulacji, mactwa, krygowania się nawet przed najwytrawniejszymi specjalistami.

Znam wiele osób, które nie piją od wielu już lat i uczą się żyć na nowo. Dla alkoholika najtrudniejszy jest pierwszy okres po odstawieniu alkoholu. Pojawia się w nim wtedy lęk, uczucie drżenia rąk, ilekroć mija obok sklep monopolowy, restaurację – czy nie ulegnie na nowo pokusie wejścia? Jest to czas, kiedy osoby mu dotąd najbliższe nie potrafią jeszcze uwierzyć, że możliwy jest powrót do normalnego życia po tych wszystkich, dokonywanych przez lata krzywdach, zranieniach. Wybaczyc, zaakceptować, pokochać na nowo, przyjąć – oto miara wyzwań stojących przed rodziną i znajomymi. To nieodzowny element skuteczności samej terapii. Mądrą tradycją AA, która niewątpliwie wzmacnia pozytywne nastawienie do trwania w trzeźwieniu, jest świętowanie kolejnych rocznic niepicia z udziałem najbliższych znajomych oraz grupy wsparcia. To spotkanie ma charakter otwarty. Jest tort, są świece, wszyscy cieszą się wraz z jubilatem. Siłą tego zwyczaju jest jego otwartość, brak fałszywego poczucia wstydu, zakłopotania czy skrywania własnej słabości. Zero poprawności! Następuje koncentracja na zdrowieniu.

Trzeźwieć poważnie nie znaczy ponuro

Na drodze trzeźwienia bardzo ważny był dla mnie krok czwarty: „Zrobiłem gruntowny, odważny obrachunek moralny”. Dotarło do mnie, co się tak naprawdę dokonało. Krzywdy wyrządzone innym zostały nazwane po imieniu. Gorzej było z odnalezieniem dobra w osobistym bilansie życia. To był rozmiar spustoszenia, jakie alkohol wywołuje w ludzkim życiu. Przyszedł czas przeprosin, naprawy krzywd. Nie wszystko stało się możliwe. Jedni zdążyli w międzyczasie odejść, inni trwali nieprzejednani w poczuciu poniesionej krzywdy. Co jakiś czas stają mi przed oczami różne sceny z mojego pijanego życia, za które się dzisiaj wstydzę. Z ludzką pamięcią nie jest tak wygodnie, jak z pamięcią komputera, którą można w zależności od potrzeb zresetować. Choć dzisiaj miewam także puste

konto bankowe, ale nie jest to już efektem tego, że je przepiłem. Życie ma nadal swoje napięcia, ciężary, od dźwigania których nie będziemy – póki żyjemy – zwolnieni. Możemy je jednak nieść z pokorą i humorem, wtedy nawet przykre doświadczenie jest w stanie nas umocnić. Zrozumiałem to na swojej niełatwej drodze trzeźwienia. Każdy z nas, alkoholików, powinien trzeźwieć poważnie, ale nie ponuro!



*Robert Kos**

CO CHCĄ NAM POWIEDZIEĆ WIĘŹNIOWIE?

Więzienie jest miejscem, gdzie odczuwa się tęsknotę, żal i wszystko to, co jest udziałem tzw. ludzi na wolności. Niedawno na Uniwersytecie Szczecińskim miała miejsce konferencja poświęcona resocjalizacji, w której wziął udział pan Sławomir Sikora – razem z kolegą skazany za zabójstwo na 25 lat więzienia, bohater filmu Krzysztofa Krauzego *Dług*, opartego na prawdziwych wydarzeniach. Człowiek ten, ułaskawiony przez Prezydenta Rzeczypospolitej po sporej odsiadce, rekomendując napisaną przez siebie już na wolności książkę *Osadzony*, powiedział do zgromadzonych na sali studentów i profesorów: „Więzienie to zupełnie inny świat. Tylko ja i obecny na tej sali ksiądz kapelan możemy coś powiedzieć o tym, czym ono jest”. Trudno jest mieć jakieś wyobrażenie na ten temat, jeśli się tam nie przebywało – tak odległa jest ta rzeczywistość od najlepszych nawet filmowych ilustracji. I tak naprawdę najważniejsze nie jest to, aby zobaczyć, jak to jest w więzieniu. Najbardziej liczy się spotkanie z drugą osobą, spotkanie serca człowieka z kimś, kto tego serca potrzebuje.

* Robert Kos – ksiądz katolicki, kapelan Więziennictwa Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej, kapelan Aresztu Śledczego w Szczecinie, w latach 2004-2014 duszpasterz więźniów na wolności i rodzin byłych więźniów („Arka”), od 2014 proboszcz parafii pw. MB Nieustającej Pomocy w Suchaniu, przyjaciel ludzi odrzucanych i tych, którzy źle się mają.

Istnieje jednak niebezpieczeństwo potraktowania słabszego z góry, z pozycji kogoś, kto czuje się lepszy, bo „bez żadnego paragrafu”. Moje spotkania z więźniami nacechowane są gotowością do słuchania. Rozmawiam ze wszystkimi o wszystkim. Nie osądzam, tylko pokazuję, że lepiej jest nie żyć na marginesie. Wszystkich moich rozmówców łączy to, że są skazani, napiętnowani przez społeczeństwo. Ale i wśród nich można wskazać takie kategorie ludzi, z którymi wydaje się, że nie powinno się w ogóle rozmawiać, nie mówiąc o podaniu ręki czy kontakcie wzrokowym. Społeczeństwo bardzo by chciało, żeby więzień to był ten niewinnie skazany albo taki, który popełnił przestępstwo na skutek splotu okoliczności. Gorzej ma się sprawa z mordercą, który zabił, bo chciał zabić, z pedofilem, który świadomie, w sposób nieprzymuszony krzywdził dzieci, bo miał w tym upodobanie. Jakie znaleźć usprawiedliwienie dla takich przestępców? Ksiądz, który idzie do więzienia, musi być gotowy na rozmowę z każdym człowiekiem i zawsze, bezwarunkowo, postępować według słów Jezusa Chrystusa: „Byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie (...). Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,36.40). Posługa kapelana w więzieniu to pocieszanie więźniów, pomoc w odnajdywaniu swojego człowieczeństwa. Nawet najwięksi twardziele często w rozmowie w cztery oczy zrzucają maskę, która jest sposobem na przeżycie w tym świecie. Ktoś, kto doświadczył w życiu upadku, nędzy, jest pozbawiony wolności, nie ma nic do stracenia, czyta we mnie jak w otwartej księdze. Więzień potrzebuje szczerości, która pozwoli mu lepiej się otworzyć. Czeka na nadzieję. Żaden terapeuta nie będzie tak dobrze czytał, jak ten, kto doświadczył na sobie rzeczy strasznych, własnego upadku. Wtedy liczy się w spotkaniu to, kim jesteśmy, a nie rzeczy, które tylko nam wydają się ważne: nasze tytuły, stanowiska. Istotne jest, by pozwolić więźniom dotknąć swoich własnych słabości, ograniczeń, stanąć na równi, pozwolić im coś samodzielnie odkryć, poczuć się potrzebnymi, nie osądzać. Matka Teresa z Kalkuty powiedziała: „Tam, gdzie jest sądenie, tam nie ma miejsca na miłość”. Towarzyszenie drugiemu w jego wędrówce do własnych

fundamentów człowieczeństwa jest nieustającym wyciąganiem na światło dzienne tych wszystkich ciężarów, które przygniatają, utrudniając podźwignięcie się! Wspaniałą rzeczą jest doświadczyć chwili, gdy ktoś chce zerwać ze swoją przeszłością, chce coś nowego budować. Czy starczy mu sił? – to odwieczne pytanie.

Na koniec chciałbym wspomnieć o grupach wsparcia, tzw. Arkach, które spotykają się na wolności co dwa tygodnie na wspólnych rozmowach i modlitwie. Tworzą je byli więźniowie oraz rodziny tych, którzy aktualnie są pozbawieni wolności. Takie grupy zawiązały się też w środowisku samych więźniów w zakładach karnych w Goleniowie, Nowogardzie i Szczecinie. To nieustające tkanie nitek relacji może okazać się pomocne człowiekowi, który opuścił mury więzienne i chce podnieść z gruzów swoje życie na wolności.



Intro muzyczne *What a wonderful world* na otwarcie sympozjum. Od lewej: Irek Leciejewski – gitara, Maciej Marcinkowski – saksofon, Marek Dorożyński – skrzypce, Radek Jabłoński – fortepian oraz soliści Zespołu Piosenki Naiwnej: Krzyś Garbarski, Ola Jokusz, Iwona Dzik



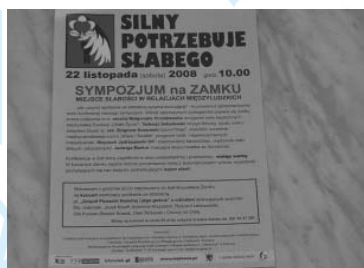
I sesja sympozjum w sali Anny Jagiellonki: publiczność.
Prelegentka Jadwiga Gajlun-Markur



Uczestnicy I sesji. Od lewej: Jadwiga Gajlun-Markur, Arek Więcko (zasłonięty), o. Wojciech Jędrzejewski OP (przy mikrofonie), red. Zbigniew Nosowski, ks. dr Leszek Woroniecki, red. Wiesława Piećko (prowadząca)



Uczestnicy II sesji. Od lewej: Marek Dorożyński, dr hab. Anna Murawska, Beata Kropidłowska, ks. Robert Kos, Elżbieta Linartowicz, red. Wiesława Piecko (prowadząca)



Wolontariuszki na zamku: Agnieszka – studentka Nauk o Rodzinie Wydziału Teologicznego US (po lewej) i Karolina – absolwentka Liceum Ogólnokształcącego z Oddziałami Integracyjnymi w Szczecinie

Program pierwszego spotkania zamkowego



Dobry anioł zamkowych spotkań – dr hab. Iwona Jazukiewicz Pomysłodawca Szczecińskiego Zalewu Myśli – Arkadiusz Wzięcko

Rozdział 2

ZA DARMO NIE NA DARMO

O rehabilitację cnót



II Szczeciński Zalew Myśli

ZA DARMO NIE NA DARMO

Bezinteresowność, hojność, wspiałośmyślność – o rehabilitację cnót

20-21 listopada 2009 r., Zamek Księżąt Pomorskich, Szczecin

Ten, kto pracuje, aby zarobić, pracuje [odkładając] do dziurawego mieszkania
Ag 1,6

Program

PIĄTEK 20 listopada

Aula „Pod blachą” u oo. Dominikanów

DEBATA PUBLICZNA: „**Moje pierwsze w życiu własne mieszkanie – towarem czy może prezentem?**”. Wprowadzenie i przedstawienie założeń autorskiego projektu „Domek jednorodzinny dla każdej młodej rodziny »zasiedziałej« w Szczecinie”: Arkadiusz Więcko. Uczestniczący w debacie: architekt dr Grzegorz Wojtkun, doradca ekonomiczny zarządu miasta dr hab. Dariusz Zarzecki prof. US, radny Zdzisław Dąbrowski, przew. Młodzieżowej Rady Miasta Szymon Perowicz, młode małżeństwa, mieszkańcy Szczecina z pomysłami*.

SOBOTA 21 listopada

Sala Księżnej Anny Jagiellonki, Zamek Książąt Pomorskich

SYMPOZJUM**Sesja przedobiednia: „Bezinteresowne relacje”**

Prowadzenie: Beata Kropidłowska, Stowarzyszenie „Warto Być”, Police

Wprowadzenie do idei symposium: red. Katarzyna Jabłońska, „Więź” Warszawa, Arkadiusz Więcko, Fundacja Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (dawniej Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach)

1. Niezwykłe postawy bezinteresowności w dziejach narodu polskiego – prof. dr hab. Henryk Samsonowicz, historyk, Uniwersytet Warszawski
2. Moi rodzice: Maria i Andrzej Chałubińscy – Agnieszka Chałubińska-Gonerko, lekarka ze Szczecina, prawnuczka Tytusa Chałubińskiego
3. Gość w dom – Bóg w dom, czyli polska specjalność? – Timm Stuetz, artysta fotografik, Glinna k. Szczecina
4. Jeśli nie harcerstwo, to co w zamian? Aspekty wychowawcze aikido – dr inż. Krzysztof Gorący, chemik, pracownik naukowy Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego, pasjonat aikido, 4 dan
5. Bezinteresowność a muzyka – dr Piotr Klimek, kompozytor muzyki teatralnej, rozrywkowej i klasycznej, pracownik akademicki Uniwersytetu Szczecińskiego
6. Po co nam matematyka? – między bezinteresownością a użytecznością – prof. dr hab. Antoni Smoluk, matematyk, emerytowany pracownik naukowy Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu
7. Człowiek nie jest „po co” – bezinteresowność w ujęciu personalistycznym – dr Małgorzata Wałęjko, pedagog, teolog, pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego

Przerwa na kawę (obiad dla prelegentów w restauracji Zamkowa)

Panel przedobiedni: rozmowa z uczestnikami¹

Sesja poobiednia: „Pieniądze a etyka bezinteresowności” – prowadzenie:
dr Iwona Jazukiewicz, Szczecin

8. O darzącej naturze cnót – dr Iwona Jazukiewicz, pedagog, pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego
9. O kulturze dawania – ks. Roberto Saltini, Centrum Męskiej Gałęzi Ruchu Focolari w Polsce
10. Czy Polacy są hojni? – dwugłos: ks. Jan Kazieczko, proboszcz katedry św. Jakuba w Szczecinie, laureat szczecińskiego „Szczupaka 2007” oraz Andrzej Kirejszys, kwesor Fundacji Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (dawniej: Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach), Szczecin
11. Zmierzch urodzonych społeczników? – dwugłos: Anna Kowalewska, radna z dzielnicy Szczecin-Pomorzany², oraz Andrzej Konopelski, prezes klubu piłkarskiego z Barnimia
12. Jak wychowałam czternaścioro dzieci na przyzwoitych ludzi – Elżbieta Szumotalska, Dominikowo, nauczycielka muzyki, organistka w kościele
13. Uwolniłem się od własności – inż. Andrzej Miłkowski, przedsiębiorca ze Śląska
14. Co tak naprawdę jest moje? (1 Kor 4,7) – o. Krzysztof Pałys, klasztor oo. Dominikanów w Łodzi

Przerwa na kawę – panel poobiedni, rozmowa z uczestnikami
Sala Księcia Bogusława Zamek Księżąt Pomorskich

¹ Relacja z przebiegu debaty mieszkaniowej oraz z panelu dyskusyjnego z udziałem publiczności jest dostępna na stronie organizatora: www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl. Niestety, nie wszystkie wystąpienia udało się organizatorom zarejestrować.

² Wystąpienia p. Anny Kowalewskiej nie udało się organizatorom zarejestrować. Prelegentka zmarła niedługo po spotkaniu na Zamku. W tomie zawarliśmy wspomnienie o Niej.

KONCERT TOWARZYSZĄCY „Zaproście mnie do stołu” z cyklu „Zespół Piosenki Naiwnej i jego goście” z udziałem Elżbiety Wojnowskiej, szczecińskich twórców piosenki autorskiej: Wiesława Łągiewki, Oskara Niedźwieckiego, Marzeny Rafacz, Jacka Rudnickiego oraz zespołów Do Góry Dnem i O Niebo Lepiej
Organizator: Fundacja Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (dawniej: Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach), www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl
Współpraca: dr Iwona Jazukiewicz US, dr Małgorzata Wałęjko US, red. Monika Adamowska „Gazeta Wyborcza”, red. Grzegorz Filipowski TVP Szczecin, Stowarzyszenie „Warto Być” Police, Młodzieżowa Rada Miasta Szczecin, hostel Gryf, restauracja Zamkowa, Agencja Reklamowa OSKAR WEGNER, regionalny serwis informacyjny Infoludek.pl





Bezinteresowne relacje

*Małgorzata Wałejko**

CZŁOWIEK NIE JEST „PO CO”. **PERSONALISTYCZNE UJĘCIE BEZINTERESOWNOŚCI**

Gdzie bije źródło bezinteresowności? Innymi słowy, dlaczego ta postawa ma wartość? W moim wystąpieniu chciałabym postawić pytanie o najbardziej podstawowe uzasadnienie bezinteresownego podejścia do człowieka.

Okazuje się, że odpowiedź uzasadniająca – w fundamentalnym sensie – możemy odnaleźć w samym człowieku, w tym, **kim jest**, i w jego **godności**. I to naprawdę nie jest frazes, slogan, choć rzeczywiście słowo „godność” jest dziś nadużywane i banalizowane. Chciałabym spróbować oczyścić je z banału, ponieważ jestem przekonana, że właśnie godność człowieka jest przyczyną naszego dzisiejszego spotkania.

Czym zatem ona jest? Filozofia personalizmu określa ją jako moc i wartość osoby, na którą składa się kilka cech. Pierwszą z nich jest wolność, nasza wola, która ma odniesienie do wolności. Człowiek jest zdolny zaobserwować w sobie przeżycie „jestem wolny” nawet w obliczu opresji ze strony innych lub zniewalającej choroby. Wewnętrznie jest w mocy owo ograniczenie przezwyciężyć. Drugą cechą jest rozum odniesiony do wartości prawdy. Bez prawdy nasza wolność byłaby przecież chaotyczna,

* Małgorzata Wałejko – dr pedagogiki, teolog, pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Szczecińskiego, publicystka, autorka książek: *Listy w butelce. 3 lata z 33* oraz *Razem czy osobno?* (współautor Zbigniew Nosowski), prywatnie żona, mama, świecka dominikanka.

zdezorientowana, przypominająca monotony i zwykle bezcelowy ruch planktonu unoszonego przez wodę. Prawda nadaje wolności i sens, i cel. Trzecią z cech jest specyficzna w przypadku osoby cielesność – tutaj jest ona znakiem ducha. Ciałem okazujemy miłość i oddanie, ciałem wyrażamy najgłębsze Ja. Dotyk ciała jest dotykiem drugiego Ja.

Godność nabudowana jest na tych wspaniałych cechach, które wydają się nam tak oczywiste i powszednie, że zapominamy na co dzień o ich transcendentnym charakterze. Jest głęboką wartością ontyczną, czyli bytową, co oznacza, że wiąże się z samym aktem zaistnienia człowieka. To cecha metafizyczna i niezależna od świadomości, intelektu, zasług czy pozycji społecznej. Wszyscy ludzie posiadają zarówno godność, jak i wymienione cechy, które na nią się składają¹¹.

Prof. Wojciech Chudy pisze: „Godność osobową – taką samą w aspekcie »wielkości«, rangi oraz równie niezmienną na przestrzeni całego życia – mają zarówno święci, jak i zbrodniarze. Identyczną godnością metafizyczną obdarzona jest istota jeszcze nienarodzona, człowiek niepełnosprawny umysłowo (...), słynny profesor uniwersytetu i nieprzytomny pacjent kliniki, od miesięcy podłączony do aparatury podtrzymującej jego funkcje życiowe. Tej wartości osoby nikt nie jest w stanie naruszyć”; to jej najgłębsze aksjologiczne uposażenie²².

Nasuwa się jednak pytanie, co z osobami, u których cechy np. woli czy rozumu, które stanowić mają o ich szczególnej godności, są nieważnione? Umysłowa ułomność, zniewolenie chorobą, śpiączką, sytuacja zależkowego stanu rozwojowego? Czy człowiek od miesięcy przykuty do łóżka lub do aparatury podtrzymującej życie jest osobą równoprawną bytowo np. z wybitnym politykiem?³³

¹ Zob. W. Chudy, *Godność człowieka jako wartość ontyczno-wychowawcza*, w: *Ja-człowiek. Wzrastanie w godności, miłości i miłosierdziu*, red. M. Kalinowski, Kraków-Lublin 2004, s. 77–79.

² Tamże, s. 79.

³ Zob. tamże, s. 80.

Odpowiedź jest prosta: tak, jest równoprawny bytowo i niezmiennie nacechowany godnością. Rozum i wola, choć nieaktualizowane, są w nim nadal potencjalne, zakłócona jest jedynie i zaledwie **komunikacja** tego człowieka i tychże cech ze światem – przez chorobę bądź wczesny etap rozwojowy⁴⁴.

Zatem personalizm to taki sposób myślenia o osobie, który uczy chylić czoła przed jej godnością, przed cudem, jaki stanowi człowiek sam w sobie – każdy, tylko dlatego, że zaistniał, że jest.

I tu znajdujemy odpowiedź na pytanie, dlaczego tak cenna jest bezinteresowność. Pięknie sformułował ją Karol Wojtyła, filozof personalista: „Osoba jest takim dobrem, że właściwe i pełnowartościowe odniesienie do niej stanowi tylko miłość”⁴⁵. Innymi słowy, „osoba jest takim dobrem, z którym nie godzi się używanie, które nie może być traktowane jako przedmiot użycia i w tej formie jako środek do celu”⁴⁵. **Można więc powiedzieć, że gdy poznajemy, kim człowiek jest naprawdę, możemy go już tylko kochać – przyjmować bezinteresownie.**

Teoria, filozofia może odśłaniać nam wiele z prawdy, jednak zupełnie inaczej przemawia samo życie. Dlatego chciałabym przywołać doświadczenia osobistego przeżycia tej prawdy, dla mnie niezmiernie poruszające.

Najpierw przytoczę opowieść prof. Tadeusza Gadacza, wybitnego polskiego filozofa. W 2001 roku prowadził polemikę z prof. Jackiem Hołówką na temat problemu eutanazji. Napisał wówczas bardzo osobisty list do prof. Hołówki, w którym padło zdanie zapożyczone przeze mnie do tytułu niniejszego wystąpienia: „Człowiek nie jest »po co«”. Prof. Gadacz ujawnił swoje głębokie doświadczenie cudu, jakim jest sama obecność drugiego. Pisał: „Pozwól, że podzielę się z Tobą własnym doświadczeniem. Był piękny wrzesień 1997. Rok po śmierci synka urodziła się nam córeczka, Cecylka, której oczekiwaliśmy z miłością i utęsknieniem. Już następnego dnia orzeczono, że jest chora na bardzo rzadką chorobę ge-

⁴ Zob. tamże.

⁵ K. Wojtyła, *Miłość i odpowiedzialność*, Lublin 1986, s. 42.

netyczną. Podjęliśmy wszystkie możliwe kroki z nadzieją, że będzie żyć, choć ostrzegano nas, że choroba jest śmiertelna. Bardzo cierpiała, przez kilka miesięcy była znieczulana morfiną. Była zbyt słaba, żeby żyć, ale nie chciała też umrzeć. Każdego dnia stawiałem sobie pytanie, czy nie pomnażamy jej cierpienie, podejmując rozliczne starania. Zmarła w kilka miesięcy po urodzeniu.

Nie rozumiałem wówczas sensu tragicznej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się, nie rozumiem jej także i dzisiaj. Jednak perspektywa czasu odsłoniła mi jedną głęboką prawdę: Cecylka żyła dla nas. Mnie podarowała ojcostwo, a Kasi macierzyństwo. Zrozumiałem, **jak wielkim darem może być obecność bliskiej, kochanej osoby, każdy dzień i każda chwila tej obecności, każdy uścisk palca, każde dotknięcie**. Dziś to doświadczenie jest siłą mojego życia”.

Prof. Gadacz zakończył swój list do prof. Hołówki, zwolennika eutanazji, przejmującą deklaracją: „Piszę jedynie po to, abyś wiedział, że także dla mnie jesteś kimś bardzo ważnym. Jeśli będziesz musiał kiedyś podjąć decyzję [o eutanazji], wiedz, że w kręgu wielu Twoich bliskich, dla których Twoja obecność jest darem, jestem także ja. Może mimo wszystko będziemy mogli jeszcze porozmawiać o filozofii, a może tylko pobyc z sobą. Wierzę, że to naprawdę ważne”⁶.

Chciałabym przywołać jeszcze jedną wypowiedź, odsłaniającą przyczynę, źródło bezinteresowności, jakim jest samo istnienie, cud obecności drugiego człowieka, obecności, dla której warto pomagać, kochać – gdy innych przesłanek brak. Prof. Janet Smith z Detroit tak skomentowała fakt eutanazji dokonanej na Terri Schiavo: „Niektórzy mówią, że osoby w stanie wegetatywnym »nic nie mogą robić«. Ale one **mogą BYĆ i to proste BYCIE jest w istocie czymś**; osoby w takim stanie lub w głębokiej demencji nie wydają się być świadome czy zdolne nawet do chwalenia Boga. Jednak nie wiemy, co dzieje się w ich wnętrzu. Wiemy natomiast, że służą nam darem dla nas zbawiennym – mogą być obiektem

⁶ T. Gadacz, *List do Jacka Hołówki*, „Znak” 2001, nr 7.

naszej miłości, mogą przyjmować naszą miłość. I choć nie wiemy, jaki cud nasza miłość może w nich czynić, możemy mieć pewność, że ona dobro czyni w nas.

Przecież noworodki też „nic nie mogą robić”, a są tak kochane i pieszczone – owszem, mamy nadzieję, że urosną i odwzajemnią miłość. Ale czyż nie kochamy ich „**BO SA**”?

Kochamy kwiaty i zwierzęta, które też »nic nie mogą robić«. Podlewy i nawozimy róże, ale nie daliśmy wody i jedzenia Terri⁷⁷”.

I trzeci przykład: znajome małżeństwo dowiedziało się na początkowym etapie ciąży o poważnej chorobie swojego dziecka, która bez wątpliwości nie pozwoli na jego życie poza organizmem matki – podczas gdy pozwala żyć przez okres wewnątrzłonowy. Badania potwierdziły straszną prawdę i lekarze naciskali na przerwaniu tej ciąży, skoro dziecko i tak skazane jest na śmierć. „**Po co** je trzymać przy życiu?” – dopytywali. Zdecydowana odpowiedź rodziców wprawiła ich w zdumienie. „Nie zrobimy tego. Teraz, przez 9 miesięcy mamy czas, aby je kochać. **Jeszcze teraz i tylko teraz**”. Dziecko odeszło w kilka godzin po porodzie.

Bezinteresowna miłość, pozbawiona zasług i przesłanek, powodowana samą tylko obecnością człowieka, który zawsze jest niepowtarzalną tajemnicą duchowego życia, jest wedle personalizmu jedyną właściwą reakcją na człowieczeństwo drugiego.

⁷ J.E. Smith, *We feed roses, don't we? Further thoughts on passing of Terri Schiavo*, „Mosaic. A magazine for friends of Sacred Heart Major Seminary”, jesień 2005.

*Agnieszka Chałubińska-Gonerko**

MOI RODZICE: MARIA I STEFAN CHAŁUBIŃSCY

Wydaje mi się, że jako ludzie możemy jedynie dążyć do bezinteresowności. Nigdy nie będzie to *status quo*, lecz pewna droga i postawa w czasie tej drogi. Przyjmowanie bezinteresownej postawy to nieustający trud zmagania się z samym sobą i z codziennością.

Antoine de Saint-Exupéry pisał: „Miłość prawdziwa zaczyna się wtedy, gdy niczego w zamian nie oczekujesz”. Mówimy więc o miłości najgłębiej pojętej, nie o uczuciach, lecz o akcie woli, która ostatecznie kształtuje rzeczywistość.

Proszono mnie, abym podzieliła się refleksjami dotyczącymi życia moich rodziców. Będę mówiła o ludziach, którzy poza wielką pasją sensownego życia mieli także swoje słabe strony i porażki. Jednak, jak mi się wydaje, najistotniejsze w ich życiu było to, że walczyli o to, co dla nich ważne. Jednocześnie stale zmagali się ze swoją słabością, próbowali wciąż zaczynać od nowa, podejmując codzienne wydarzenia jako zadanie.

Rodzice moi, Maria i Stefan Chałubińscy, nie byli łatwym małżeństwem. Obydwoje indywidualiści, różniący się wiekiem (15 lat), środowiskiem rodzinnym – to wszystko nie ułatwiało im wzajemnego porozumienia. Ojciec – idealista, matka – praktyk. Tata miał nienormowany

* Agnieszka Chałubińska-Gonerko – szczecińska lekarka, prawnuczka Tytusa Chałubińskiego, odkrywcy Zakopanego, mężatka, matka dwójki dzieci, członek Polskiego Stowarzyszenia Lekarzy Katolickich.

czas pracy jako przewodnik tatrzański, na mamę spadała większość codziennych obowiązków. Wspólne wakacje też nie były możliwe. Różnili się zapatrywaniami. Tata był bardziej krytyczny, radykalny, mama zaś łagodniejsza, wyrozumiała. Poza wzajemnym uczuciem i szacunkiem połączyła ich miłość do gór i praktykowana wiara w Boga, a w konsekwencji tego wspólna modlitwa – czy to codzienna, czy też wynikająca z określonej sytuacji, gdy dowiedzieli się o czyimś nieszczęściu, bólu, potrzebie wsparcia lub też radości, za którą pragnęli wspólnie dziękować. Przeżyli ponad czterdzieści lat w małżeństwie.

Mama, Maria z domu Berger, córka nauczycielki łaciny i greki oraz wiedeńczyka, profesora Uniwersytetu Poznańskiego, wyrastała w Poznaniu w dostatnim domu, kształcona wszechstronnie. W czasie wojny z powodu choroby ojca w wieku lat szesnastu musiała utrzymywać pracą biurową całą rodzinę. Po wyzwoleniu podjęła studia na wydziale germanistyki, geologii i geografii – została absolwentką Uniwersytetu Poznańskiego. Jej pasję stanowiły góry: wędrowki, wspinaczka, głębokie przeżycia w majestacie piękna stworzenia. I tak w czasie kursu wspinaczkowego spotkała ojca, który był wówczas instruktorem. Po bliższym poznaniu, dostrzegając wspólne ideały i dążenia, pobrali się w roku 1953. Mieli dwójkę dzieci: moją siostrę Kingę, która jest profesorem medycyny w Wiedniu, i mnie, Agnieszkę (także lekarkę).

Wychowywane byliśmy w przekonaniu, że niezależnie od tego, co nam było dane, mamy dzielić się dobrem z innymi. Im więcej kto otrzymał – podkreślał wielokrotnie ojciec – tym więcej jest zobowiązany. Pozwolę sobie na mały przykład z pamiętnika mamy: „Dziś list biskupów. Piszą o laicyzacji, czyli planowym usuwaniu Boga z całego życia. Myślę, że moje apostołstwo może właśnie polegać na wprowadzaniu Boga w najdrobniejsze szczegóły mego życia. Robię to od lat, ale ostatnio jeszcze intensywniej. Właściwie mogę chyba powiedzieć, że tkwię w Bogu albo raczej On tkwi mocno w moim życiu codziennym, w każdym szczególe”.

Żyliśmy bardzo skromnie, a jednak mama odmawiała płatnych korepetycji językowych, by ten czas spędzać z nami – dziećmi. W czasie

zabawy, wycieczek, wspólnych rozmów przekazywała swoje najgłębsze przekonania. W atmosferze radości, otaczającego piękna natury, mogła wskazywać na Tego, który nas obdarował. Miałyśmy możliwość poznawania Boga jako wspaniałego towarzysza życia. Podobny wpływ mieli rodzice na moje własne dzieci, którymi się ofiarnie zajmowali.

Pamiętam, jak mając około dziesięciu lat odważyłam się podejść do jakiejś kobiety dźwigającej coś ciężkiego, by zaoferować swoją pomoc. Wiedziałam, że mamę to ucieszy. Sama wielokrotnie widziałam ją w podobnych sytuacjach. Pracowała ona zawodowo jako nauczycielka w sanatorium dziecięcym w szkole podstawowej i liceum. Ze względu na charakter pracy – uczenie dzieci chorych i kalekich – ukończyła zaocznie pedagogikę specjalną. Kochała swoją pracę. Była pedagogiem wymagającym, ale też wychowawcą i przyjacielem. Chciała zainteresować przedmiotem, nauczyć go. Poświęcała dużo czasu po lekcjach na tłumaczenie słabszym uczniom trudniejszych tematów. Starła się być sprawiedliwa i bezstronna. Cytat z pamiętnika mamy: „U mnie nie ściąga naprawdę nikt. Odzwyczałam. Dzieci wiedzą, że gdy »obleją«, będą pisać drugi i trzeci raz, aż do skutku, że z całą życzliwością »zmuszę« je do opanowania tego materiału, że nie jestem złośliwa. I że tu chodzi o **uczciwość**, na której musi opierać się życie”. Dalej mama pisze: „Szósty czerwca. Klasyfikacja klas siódmych i ósmych: zostawiłam jednego tępaka w klasie, ale po namyśle i po modlitwie do Ducha Świętego zgodziłam się go jeszcze przepytać i... przepuścić ze względu na jego rodziców – staruszków. Upie-rałam się natomiast przy dostatecznej ocenie uczennicy bardzo protego-wanej, co miano mi wybitnie za złe”.

Kontakt z uczniami był indywidualny. Mama te relacje traktowała jako dar i do dziś niektórzy z jej wychowanków są naszymi przyjaciółmi. Niejednokrotnie starała się urozmaicić ich pełne cierpienia życie. Opowiadano mi, jak pragnęła umożliwić sparaliżowanym uczniom, aby doświadczyli piękna gór. Tych sama dźwigała, aby ich zabrać kolejką na Kasprowy Wierch. Wielu uczniów po zakończeniu szkoły utrzymywało z nią korespondencję, zwracając się i prosząc o radę w życiowych de-

cyzjach. Bywało, że wspierała swoich wychowanków materialnie czy też czasowo, opiekując się ich dziećmi. Zaprzyjaźniona była z jedną ze swoich uczennic, niewiele młodszą – naszą „przyłataną” ciocią, poruszającą się na wózku inwalidzkim. Zabieraliśmy ją na wakacje, choć nie byliśmy zmotoryzowani, co wymagało z naszej strony dużego wysiłku fizycznego i zwiększonych wydatków.

Dla mnie te kontakty i włączanie się w pomoc słabszym były czymś niemal oczywistym, dla mojej młodszej siostry, która jako dziecko w poszukiwaniu siły i estetyki była skrępowana inwalidztwem, było to trudniejsze. Dziś jest głęboko przekonana o istocie tego rodzaju zaangażowania i sama je praktykuje.

Matka umiała dostrzegać rozliczne potrzeby innych ludzi. Pomagała cicho, w miarę możliwości. Pamiętam słoik, do którego przez lata wrzucała dziesięć procent swoich niewielkich zarobków z przeznaczeniem na dobry cel, rezygnując tym samym z wielu swoich potrzeb. Odkładanie na dzielenie się spowodowało też spór pomiędzy moją siostrą a mamą. Kinga, pracując już w Austrii, przesyłała lub przywoziła do Polski w czasach niedoborów stanu wojennego różne drobnostki – między innymi słodycze – których mama by sobie sama nigdy nie kupiła. Czekolady wędrowały na strych, a przy okazji były rozdawane kolejnym osobom, które nie mogłyby sobie na nie pozwolić. Kinga, pragnąc mamę rozpieścić, podpisywała te słodycze, a czasem łamała po to, by nie mogły być dalej rozdawane. Kiedy mama odwiedzała mnie w Szczecinie, nie chciała, abym kupowała jej kuszetkę na zakopiański pociąg. Wołała, spędzając podróż na siedząco, zaoszczędzić pieniądze i przeznaczyć je dla potrzebujących.

Przypominam sobie odwiedziny mamy u pewnej staruszki, matki jednej z jej koleżanek. Były to regularne wizyty, połączone z noszeniem bielizny do prania. Mama otaczała serdecznością chorą kobietę, starając się dla niej o przytulny kąć. Podobnie korespondencja odgrywała u mamy bardzo ważną rolę. Wsłuchana w adresata, autentycznie interesowała się jego problemami, dzieliła się doświadczeniem i wspierała. Dziś, piętnaście lat po jej śmierci, nadal wymieniamy myśli z jej serdecznymi przyjaciółmi.

W czasach komunizmu wielokrotnie przenosiła przez granicę nielegalne książki religijne dla słowackich seminarzystów. Z pamiętnika mamy: „Zanoszę pełen ksiązek plecak do Jana. Stefan uważa to za ryzyko. Ja też. Ale są sprawy, które ktoś musi zrobić, choćby groziło to utratą tego, co tak wysoko cenię, wolności wyjazdów w świat”.

Rodzice mieszkali w małym domku w Zakopanem, który jako jedyny w rodzinnej posiadłości Tytusa Chałubińskiego – służąc onegdaj jako przybudówka dla służby – ocalał z wojennej pożogi w 1945 roku. Mimo bardzo ograniczonego metrażu przebywała u nas przez wiele lat chora babcia. Sama nie miałam nigdy własnego pokoju. Rodzice otwarci byli na odwiedzających ludzi. Wystarczyło, że ktoś ze znajomych potrzebował wypocząć w serdecznej atmosferze lub marzył o spędzeniu czasu w górach, a nie było go stać na wynajęcie pokoju – zostawał zaproszony. Nie było to łatwe na co dzień. Ja także podsuwałam rodzicom znajomych ze studiów, nie doceniając, ile wysiłku, wydatków i rezygnacji z domowej intymności z tym się wiąże. Oni jednak ze względu na miłość do mnie nie odmawiali. Z pamiętnika mamy: „Już od wielu dni mieszka u nas B.M., zajmuje mój pokój. Cieszę się, że mogę jej pomóc gościnnie, serdecznością, której ona jest tak spragniona. Ale bardzo męczy mnie brak własnego kąta”. I dalej: „Zjawiła się trójka M., która nie ma gdzie zanocować. Straszliwie nie chce mi się powiększać tłoku – taka czuję się zmęczona. Ściągamy ze strychu materace, urządzamy im pokój (mają śpiwory). Jak to dobrze, gdy Boża łaska pomaga przewyciężyć własny egoizm”. W notatkach mamy z lat 70. znalazłam też wpisy, pokazujące przykładowe dane: „...jednego roku 370 osobonoclegów, kolejnego – 544”.

Psy, jakie mieliśmy w domu, pochodziły zawsze ze schronisk dla bezdomnych zwierząt, a swoją wdzięczność okazywały wiernością.

Rodzice kochali góry. Razem wprowadzali nas, a potem moje dzieci w Tatry. Mama była nie tylko nauczycielką, ale podobnie jak ojciec miała zawód przewodnika tatrzańskiego. Zginęła w Tatrach, w których głęboko odczuwała Bożą obecność i miłość.

Po jej pogrzebie w „Wierchach” ukazał się artykuł siostry o naszej mamie (zredagowany przez Wiesława Wójcika), który kończył się słowami: „Cechowała ją ogromna dobroć i wrażliwość. Toteż w ostatniej drodze obok najbliższych towarzyszyli jej licznie zgromadzeni nie tylko koledzy przewodnicy i młodzież, ale również osoby biedne i chore, samotne, którym przez całe lata niosła z pełnym oddaniem pomoc i współczucie”.

Z pamiętnika mamy: „Dzień Wszystkich Świętych, a więc nasze święto, bo przecież dążymy do świętości. Pamiętam, jeszcze podczas wojny w dniu moich dwudziestych urodzin napisałam w pamiętniku: „Chcę być święta, chcę się do ludzi uśmiechać”. Ile z tego zrealizowałam? Uśmiech – chyba tak. Dwa dni temu zaczął mnie mój dawny uczeń: – Co pani jest, taka pani dziś inna? – Dlaczego? – spytałam. – Bo pani się dziś nie uśmiecha. To był prosty chłopak i powiedział to szczerze. Dla mnie stanowiło to ogromny komplement.

A więc uśmiech realizuję, ale świętość?...”

Ojciec mój, Stefan, jeden z czworga dzieci Ludwika – chemika, syna doktora Tytusa Chałubińskiego i Antoniny z Kamińskich. Wychowywany w skromnych warunkach międzywojennego kryzysu ekonomicznego, po skończeniu gimnazjum rozpoczął studia matematyczne, których nie ukończył z powodu pogarszającej się wady wzroku. Prawie całe jego życie związane było z Zakopanem i Tatrami. W 1945 roku został ratownikiem ochotnikiem GOPR-u, uczestnicząc w wielu wyprawach ratunkowych. Trzy lata później zaczął pracować w Tatrach jako zawodowy przewodnik. Wciąż doskonaląc swoje umiejętności, został przewodnikiem I stopnia oraz instruktorem narciarstwa. Pasjonował się botaniką. Znał znakomicie florę Tatr, zyskując również uznanie u oprowadzanych po górach naukowców. Obecnie w Instytucie Botaniki PAN-u w Krakowie opracowywany jest jego zielnik. Będąc przewodnikiem, wprowadzał ludzi w góry, a raczej, jak mawiał: „W oazę ciszy i piękna, w świątynię Boga”. Uczył podziwu dla majestatu przyrody. Wielu turystów przez długie lata wspominało wycieczki prowadzone przez tatę. Niektórzy jego podopieczni stali się naszymi przyjaciółmi.

Małgosia Wąsowska tak wspomina swojego ojca: „Kiedy staliśmy już na szczycie lub przełęczy, objaśniał roztaczającą się wokół panoramę, nazywając owe kolosy, stawy i doliny. Z matematyczną precyzją podawał ich wysokości, powierzchnie, głębokości i długości. Byłam oczarowana, a jednocześnie obawiałam się, że nie spamiętam tego wszystkiego. Wówczas ten wspaniały przewodnik – mędrzec pocieszał mnie, że Pan Bóg nie wymaga znajomości nazewnictwa tatrzańskiego! Po czym dodawał, że najistotniejsze jest to, by odczuwać tchnienie Wszelchbytu”.

W setną rocznicę urodzin Stefana Chałubińskiego w tym roku otrzymaliśmy w maju list od syna jego przyjaciela, Jacka Ciechanowskiego. Oto fragment: „Pamiętam z dzieciństwa wrześniowe wyjazdy ojca w Tatry, które były jakimś uświęconym rytuałem w rodzinie. Nie zawsze wędrował z waszym ojcem, ale zawsze znajdowali sposób, by się spotkać. To nie była taka znajomość, żeby przyjemnie usiąść »przy wódeczce«. Obaj darzyli się jakimś nadzwyczajnym, wzajemnym szacunkiem. Rozmawiali bardzo serio o pryncypiach, o Bogu, o rzeczach ostatecznych. Dla mnie, dzieciaka, była to całkiem czarna magia. Kiedy ojciec zabrał mnie w Tatry pierwszy raz, miałem osiem lat. Pamiętam, że najbardziej uroczystym momentem wyprawy była wizyta w waszym domu. To było niemal jak wtajemniczenie. Wiele razy miałem przyjemność i zaszczyt spotykać się w późniejszych latach z waszym ojcem. Wiem z rozmów z nim, że także dla niego przyjaźń z moim ojcem była ważna. Widział z kolei w moim ojcu zalety, których ja sam nie umiałem dostrzec, a które – słyszane z ust kogoś ważnego – napawały mnie dumą”.

Mój ojciec traktował Tatry jako dobro ogólnoludzkie, będące własnością zarówno pokoleń przeszłych, obecnych, jak i przyszłych. Wielokrotnie występował publicznie przeciwko pogwałceniom prawa chroniącego tatrzańską przyrodę przed zakusami tych, którzy starali się skomercjalizować Tatry na własny użytek. Bardzo krytycznie odnosił się też do funkcjonowania kolejki na Kasprowy Wierch. Przewożąc masy turystów, dopuszcza się – jego zdaniem – do postępującego niszczenia tych łatwo dostępnych terenów. Uważał, że to zbrodnia i przesądzenie losu Tatr.

Miał już około osiemdziesięciu lat, kiedy na Kasprowym urządzono spotkanie przewodników czy ochroniarzy przyrody. Ojciec, udając się na to spotkanie, nie wjechał kolejką, ale wszedł i zszedł pieszo. Ochrona przyrody zawsze leżała mu na sercu. Pamiętam z dzieciństwa jak tatiś – bo tak do niego mówiłyśmy – pokazywał nam rośliny czy to w ogrodzie, czy w górach, wymieniając ich nazwy: łacińską i polską. Odkrywał przed nami, a potem przed moimi dziećmi, wspaniały świat i dar przyrody. Mimo skromnych warunków materialnych hojnie zaopatrywał domową bibliotekę w książki o tematyce przyrodniczej, filozoficznej i związanej z wychowaniem. W 1983 roku został członkiem-współzałożycielem Towarzystwa Ochrony Tatr, dla którego opracowywał statut. Piętnaście lat później znalazł się w elitarnym gronie polskich intelektualistów, którzy protestowali przeciwko organizacji zimowej olimpiady w Zakopanem.

Oto fragment prasowego wywiadu z tatą: „Nie wystarczają popularne hasła o ochronie przyrody. Trzeba być człowiekiem wierzącym, nie jakoś tam wierzącym, ale wierzącym w transcendentną duchowość. Że to właśnie my jesteśmy odpowiedzialni za życie”.

Miał opinię człowieka prawego, szukającego prawdy. Uważano też, że jest trudnym, niemodnym moralistą, który stawia uczciwość wobec siebie i własnych ideałów ponad wszystko, nie dbając o wygodę życia, zaniedbując swoje życiowe interesy. Ojciec odziedziczył po dziadku Tytusie 1,5 ha lasu, cennego zakopiańskiego starodrzewia. Nie uważał się jednak za właściciela, lecz za dzierżawcę dóbr, które powierzone zostały mu dla pomnożenia dobra ogólnoludzkiego.

W wywiadzie dla „Dzikiego życia” wspomina: „Mój ojciec Ludwik nie sprzedał ani jednego metra lasu, a byliśmy w fatalnej sytuacji materialnej. Proponowano mi, żebym sprzedał ziemię na działki budowlane, a wówczas stałbym się milionerem. Iluż moich kolegów – przewodników pukało się w czoło mówiąc mi, że i tak tego nie uratuję”. Tymczasem teren ten został opracowany przyrodniczo w pracy magisterskiej Tomasza Boruckiego i po wieloletnich staraniach taty, rok przed jego śmiercią – za zgodą wojewody małopolskiego – utworzony został tu Pomnik Przyrody

o nazwie „Las Chałubińskich” – podobno pierwszy w powojennej Polsce, pozostający prywatną własnością obszar leśny o charakterze rezerwowym, chroniony prawnie na wniosek właścicieli.

Bezkompromisowość ojca nie była wygodna dla niego i otoczenia. To, że nie robił zakupów w niedzielę, było dla niego oczywiste. Nie chciał też korzystać z żadnych produktów kupowanych kiedykolwiek w sklepach, które pracowały w niedzielę. W swoich notatkach zapisał: „Kontemplacja – dojrzały etap modlitwy, pokorne trwanie w miłości, przyjaźni z Panem w oparciu o słowo Boże. Pełnowartościowy czyn musi być owocem kontemplacji”.

Miał umysł wciąż otwarty, ciekawy świata, systematyzujący wiedzę na gruncie wykształcenia matematyczno-logicznego. Z notatek szkolnych ojca: „Jasny mi świeci cel przed oczyma, dzięki Bogu: zdobyć w gimnazjum rzetelną pracę maksimum wiedzy i wykształcenia. Z drugiej strony wykształcić charakter”. Gorąco pragnął dzielić się z ludźmi swoją wiedzą, doświadczeniem i temu poświęcał sporo czasu. Już w gimnazjum zanotował: „Często też mamy możliwość zastosować swoje wiadomości z ławy szkolnej w rozmowie lub też służyć nimi mniej oświeconym, którym los nie pozwolił skorzystać ze skarbnicy wiedzy”.

Żywo wspominam, jak w ostatnich latach ojciec, chodząc już z trudem o lasce, prawie niewidomy, przynosił w plecaku do wspólnoty – był we wspólnocie Odnowy w Duchu Świętym – książki, które sam sprowadzał, uznając je za warte rozpowszechniania. Pod koniec życia – a zmarł, mając 92 lata – coraz słabszy, schorowany, oddawał się w dużej mierze modlitwie. Pytającym, jak się czuje odpowiadał: „Tak, jak się Panu Bogu podoba”. Miał świadomość sensu cierpienia, nie narzekał. Krótco przed śmiercią zanotował: „Cisza i skupienie, by odnajdywać pełnię swego ja: swoją osobowość, odrębność od świata rzeczy, świata zewnętrznego życia. Czy dobrze szukamy Boga?”.

Mówiłam na początku, że bezinteresowność jest dla mnie pewnym dążeniem, zmaganiem w podejmowaniu wyzwań codzienności, odpowiedzią na otrzymane dary. Wspomnienia o swoich rodzicach chciałabym

zakończyć przeczytaniem listu, jaki mama napisała do swojej ciężko chorej przyjaciółki: „Krychno moja kochana, chciałabym w tych tak ciężkich dla Ciebie chwilach upewnić cię, że pamiętam o Tobie i wspieram modlitwą. Wszystko, co Tobie tu napiszę, jest Ci dobrze znane i praktykowane w ciągu Twojego prawdziwie chrześcijańskiego życia. Pragnę jednak, aby moje słowa były dowodem siostrzanej pamięci i wsparcia. Kiedy przypominę sobie te niezliczone czyny miłosierdzia bliźniego, które stale praktykowałeś, jestem o Ciebie spokojna. Powiedziano bowiem: »Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią«. Także i w tej ostatniej, może najtrudniejszej chwili. Równocześnie chwila ta stanowi ukoronowanie naszego życia. Od lat modłę się za siebie i za swoich bliskich, aby ten moment spotkania był pełen pokoju i radości powodowanej ujrzeniem kogoś najdroższego, najbliższego sercu, bez umiaru kochającego. Na jego wezwanie odpowiedzią może być tylko bezgraniczna ufność i świadomość, że obejmują nas miłujące ręce Pana. Wyobrażam sobie, jak bardzo teraz może być Ci trudno, ciężko. Pamiętasz, jest taki zwrot w psalmie: »Miłuję Cię, Panie, mocy moja«. Albo u św. Pawła: »Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia«. Życzę więc odwagi we współcierpieniu z Panem. Życzę również pogody ducha, która staje się świadectwem chrześcijańskiego przeżycia ostatniego okresu. Popatrz na napis na kartce: »Wiele dajesz, ale ile otrzymujesz?«. Warto dla błogosławionej szczęśliwości przetrzymać i ofiarować Panu tę trudną codzienność, pamiętając o słowach: »Ochotnego dawcę Bóg miłuje«. Nie wiem, czy zobaczymy się na tym świecie, ale liczę na nasze spotkanie w niebie, w jasności, miłości i szczęściu. A więc: *Sursum corda! Magnificat!* – do zobaczenia!”

*Piotr Klimek**

BEZINTERESOWNOŚĆ W MUZYCE. RZECZ O WARTOŚCI DARU

Poruszając temat bezinteresowności w świecie muzyki, pragnąłbym mówić o radości dzielenia się swoim talentem, satysfakcji płynącej z możliwości współodczuwania emocji zawartej w muzyce, dreszczu niepewności i ekscytacji wynikającym z unikatowego charakteru chwili, w której twoja muzyka rozbrzmiewa po raz pierwszy. Nie można pominąć magicznego momentu, w którym skutek działania muzyki (kompozycji czy wykonania) na twarzach słuchaczy pojawia się łza wzruszenia czy też przeżycie starogreckiego *catharsis*. Równie wzniosły bywa uśmiech dziecka w szpitalnej sali, oderwanego od bolesnej rzeczywistości kilkoma taktami. Inną, choć równie przejmującą radość może wywołać w sercu twórcy uwznioślająca energia rozentuzjasmowanego tłumu, skandującego jednym głosem tekst piosenki (wystarczy zaśpiewać pierwszą frazę, a pieśń płynie sama z tysiąca gardeł, choć powstawała rok temu w zaciszu pracowni, w najczarniejszej chwili życia artysty). Nie sposób pominąć przyjemności wspólnego muzykowania, odkrywania nowych rytmów i melodycznych fraz, nieskrępowanej improwizacji, która przekłada się na radość odbiorców i wraca do artystów na scenie w postaci tańca, śpiewu i owacji.

* Piotr Klimek – absolwent Królewskiego Konserwatorium Muzycznego w Hadze, autor muzyki do kilkudziesięciu spektakli teatralnych dla dzieci, twórcza muzyki rozrywkowej i klasycznej, w tym czasie pracownik akademicki Uniwersytetu Szczecińskiego.

Wszystko to prawda, każda z wymienionych wyżej radości jest udziałem praktykującego muzyka, przywilejem jego grupy zawodowej, niemożliwym do odebrania przez żadną reformę finansową ani społeczną. Uprawianie muzyki obejmuje wszystkie te radości jedną po drugiej, a czasami kilka z nich na raz. Dlatego w muzyce nigdy nie jest się do końca bezinteresownym, bowiem pakiet gratyfikacji w tej dziedzinie sztuki wykracza zdecydowanie poza wymiar finansowy. Ten rodzaj radoszej ekscytacji znany jest wszystkim, którzy zakupili ukochanej osobie niespodziewany, wspaniały (czasem bardzo kosztowny) prezent pod choinkę, a teraz oczekują momentu jego rozpakowania. Emocja towarzysząca tej chwili potrafi całkowicie wygonić z głowy myśl, że pod tą samą choinką leżą prezenty także i dla nich. Znamy te emocje. Radość obdarowywania potrafi być o niebo silniejsza niż ta płynąca z otrzymywania dóbr, a są wśród nas nawet i tacy, którzy bez reszty oddając się drugim, mają ogromny problem z przyjmowaniem darów, odczuwając wówczas skrępowanie i poczucie niezręczności. Dlatego będę upierał się przy założeniu, że niekomercyjne tworzenie i wykonywanie muzyki oznacza dla twórcy i wykonawcy wiele korzyści pozamaterialnych, nieporównywalnie ważniejszych od dyskontowanych w banku.

A jednak, zgadzając się z faktami opisanymi powyżej, aby w pełni opisać sytuację, w jakiej funkcjonują muzycy w Polsce, czuję się w obowiązku skonfrontować Państwa z obserwacjami dotyczącymi ciemnej strony muzycznej gratyfikacji.

Każdy z nas – od samego początku profesjonalnej edukacji muzycznej, poprzez pierwsze samodzielne kroki artystyczne, aż po głębokie wody zawodowej kariery – zderza się z nieodmiennie z postawą (nauczycieli, organizatorów koncertów, osób zamawiających nowe kompozycje, dyrektorów festiwalu, oper i filharmonii) zakładającą z góry, że to właśnie **oni** są ofiarnymi i niezwykłej możliwości wykonania nowego dzieła, wprowadzenia zespołu na scenę, wpisania na listę wykonawców festiwalu czy nawet – o ironio – zaproszeniem do „pouczenia sobie” w koncercie charytatywnym na czyjąś rzecz. **My** – muzycy – będąc beneficjentami tej oferty,

nie powinniśmy rzecz jasna nawet wspominać o jakiegokolwiek możliwości gratyfikacji, nasz zawód jest bowiem pasją, która (jak opisałem to na wstępie) dostarcza nam radości (czemu oczywiście nie sposób zaprzeczyć). Ta postawa – zaznaczam – nie jest zjawiskiem marginalnym, ale regułą, którą pamiętam, odkąd tylko rozpocząłem swoją zawodową karierę i która jest, niestety, udziałem kolejnych roczników młodych artystów.

Oto przykładowa wypowiedź: „Panie Piotrze, strzeli pan mi wstępniaczka do koncertu w środku sezonu. Jakies 20 minut, tylko żeby orkiestrze się łatwo grało i melodia taka wpadająca w ucho była. My to panu wykonamy, może nawet dwa razy!”. Spieszę wyjaśnić, że ułożenie dwudziestu minut muzyki na orkiestrę to co najmniej dwa miesiące codziennej, wytężonej pracy twórczej. Inna propozycja: „Zagrajcie chłopaki na koncercie podczas juwenaliów. Wicie, wpisemy was na plakat, będzie dużo ludzi, tylko musicie przywieźć swój sprzęt i pograć jakies pół godziny”. Tymczasem przygotowanie trzydziestominutowego repertuaru autorskiego to kilka tygodni wytężonej pracy twórczej i wielogodzinnych prób, a przywiezienie i instalacja własnego lub pożyczonego sprzętu nagłośnieniowego to niebagatelny dla grupy studentów wydatek rzędu kilkuset złotych. Jeszcze inne zaproszenie: „Naszej parafii przydałby się hymn związany z jej patronem. Taki w wersji na organy i wiernych, i żeby był też w wersji piosenki popularnej, dla scholi i grupy oazowej. No i żeby było nagranie w studio do puszczenia przed mszą i nauki wiernych”.

Gorzkie doświadczenie uczy nas dodatkowo, że tego typu realizacje – na które w końcu się godzimy pomimo wewnętrznego sprzeciwu co do formy ich wyartykułowania – są wystawione na brak poszanowania wprost proporcjonalny do ich bezinteresownego wykonania. Dyrektor filharmonii od zamówionego „wstępniaka” do koncertu po pół roku pracy wyrzucił mnie z gabinetu wraz z nową partyturą, argumentując swoją grubiańskość brakiem linii melodycznej w utworze i zmianą koncepcji repertuaru. Zespołowi, który zebrał pieniądze, przywiózł sprzęt i był gotowy do półgodzinnego koncertu odmówiono wstępu na scenę, bo gotowy był już inny – **opłacony!** – zespół, a hymn dla parafii w trzech wersjach

stylistycznych leży w szufladzie proboszcza, bo lokalny organista ocenił, że jest niewygodnie napisany na organy i ludzie tego nie zaśpiewają.

To oczywiście tylko przykłady, ale wybrane z setek tysięcy przytrafiających się nam, polskim muzykom, na co dzień, wynikających z powszechnego przekonania, że wszystko, na co składa się muzyka, przychodzi samo, a jedyną wartością dodaną jest jej rozpowszechnianie. Do tego stanu rzeczy dochodzą jeszcze nowe – nieuniknione skądinąd – trendy w ekonomii dóbr kultury. Nowa, wychowana przez internet generacja młodych odbiorców uważa w większości, że każde zdigitalizowane dzieło sztuki powinno być dostępne za darmo. Przyklaskuje im guru nowej ekonomii, Chris Anderson, wieszczący nadejście *freeekonomii*, czyli „ekonomii darmochoy”. Można mówić o paneuropejskiej partii piratów, coraz głośniej wzywającej do zapomnienia idei praw autorskich. To oczywiście nieunikniony znak naszych czasów. Te wszystkie elementy sprawiają, że atakowany ze wszystkich stron żądaniem bezinteresowności muzyk, uświadamiany co rusz o obowiązku darmowości swoich działań, zaczyna wykształcać naturalne odruchy obronne. Trudno mu się dziwić – spróbujmy analogiczną sytuację przenieść do środowiska stolarzy, których praca nagle postrzegana zostaje jako „przychodząca w naturalny sposób” i „owoc danego od Stwórcy talentu”, przez co zaczyna być ceniona z przyrzuceniem oka. Stoły przyjmowane byłyby jedynie w ramach uprzejmości do naszych salonów i pokoi gościnnych, a każdy ze stolarzy poczytywałby sobie za zaszczyt możliwość nieodpłatnego umieszczenia w naszej sypialni stolika nocnego własnej produkcji. Zabawne? Spróbujmy teraz to samo przenieść na grunt prac budowlanych albo pracowników gazowni...

Wróćmy do mojego bożonarodzeniowego porównania i wyobraźmy sobie, że oto nasza ukochana osoba, mająca zostać obdarowana wyjątkowym prezentem, teraz nakazuje nam go kupić na pół roku przed gwiazdką, po czym codziennie dopytuje się, czy już go nabyliśmy i gdzie jest schowany. To nie tylko zabijanie egoistycznej radości dawania, ale niezwykle efektywne generowanie skondensowanej niechęci względem narzuconego siłą aktu dobra – uprawianej na skalę kilku generacji młodych artystów.

Skutki takiego wielopokoleniowego prania mózgów są zatrważające. Na co dzień pracuję z dużą liczbą grup muzyków (średnia wieku to ok 25 lat), grających w różnych stylach i formacjach wykonawczych. Wybuchają oni szczerym śmiechem na samo wspomnienie hasła „koncert charytatywny”. Każdy z ich koncertów był charytatywny. Trudno byłoby bardziej zdezawuować ten termin. Wolą już mówić o „darmochach” i „pańszczyznach”, godząc się na nie w ramach obowiązków uczelnianych lub przynajmniej opłaconych wyjazdów. Starsi muzycy organizują się na forach internetowych lub portalach, takich jak szczeciński, posiadający znamienne nazwę www.sznujciemuzykow.pl. Bo oto idea bezinteresownego dzielenia się muzyką została zszargana do poziomu braku szacunku do tej grupy zawodowej. Pozwólcie Państwo, że zacytuję fragment wypowiedzi jednego z całkiem uznanych szczecińskich muzyków: „Swego czasu dzwoni do mnie telefon. Okazuje się, że szykuje się koncert charytatywny w Kołobrzegu i dzwoniący pyta, czy nie chciałbym zagrać z zespołem na tej imprezie. Odpowiadam, że jak najbardziej jesteśmy zainteresowani takim koncertem i z pełną premedytacją pytam: »Za ile?«. Na co spotykam się z wielkim zdziwieniem po drugiej stronie, więc tłumaczę, że mam już za sobą kilka koncertów i coś takiego jak impreza charytatywna w naszym kraju nie istnieje. Dzwoniąca osoba jest jeszcze bardziej zdziwiona, więc tłumaczę spokojnie dalej. Będzie scena, którą ktoś postawi i za nią skasuje, będzie nagłośnienie, za które ktoś skasuje, będzie akustyk, który przytnie swoje, będzie łało się piwo – też nie za darmo, nawet miła pani, która do mnie dzwoni, też robi to w ramach swojej pracy, za którą bierze wynagrodzenie itd., więc dlaczego my, muzycy, mamy grać za darmo i robić z siebie frajerów?!!! Na co pani opowiada mi bajkę o biednym chłopcu, na którego to właśnie będzie kasa zbierana. Mówię: »Ok, w takim razie ustalmy cenę za koncert i faktycznie pomóżmy temu dzieciakowi i przekazemy od razu po koncercie całą naszą gażę osobiście do rąk tego chłopca, który jest w potrzebie i nie będziemy chcieli nawet zwrotu kosztu dojazdu i transportu sprzętu«. Oczywiście tak się nie dało, bo agencja »charytatywna«, przez którą wszystko musiało przechodzić, ani grosza by na tym nie zarobiła. Na tym rozmowa się skończyła, a agencja

ruszyła dalej na poszukiwanie nieświadomych frajerów (nazwijmy to po imieniu) pod parasolem chorego dziecka. Mam nadzieję, że niniejsza historia uczuli nas wszystkich na tego typu manewry organizowane przez »ludzi dobrego serca«. Odosobniony przypadek, powiedzą Państwo? Nic bardziej mylnego. Zapraszam na wspomnianą przeze mnie stronę internetową.

Czy istnieje recepta na uleczenie młodego pokolenia muzyków ze zgorzknienia i przywrócenie mu wiary w wartość, etos i wyjątkowość działań charytatywnych? Czy jest nadzieja na renesans wartości bezinteresownych działań w świecie dźwięków? Z całą pewnością tak. Ale proces musi trwać proporcjonalnie do czasu, w jakim idea ta była szargana i nadużywana. Bezinteresowność musi odzyskać status **wyjątkowości**, aby mogła być postrzegana jako szczególna i warta uwagi. To zadanie na dziesięciolecie. Jak dotąd jej wymuszona wersja niszczy wiarę w ideały kolejnego pokolenia i dezawuuje szlachetność oryginału.

Co robić? Nie nadużywać bezinteresowności. I choć wydaje się to dziwne i przewrotne, płacić za muzykę wszędzie tam, gdzie charytatywność nie jest hasłem przewodnim. Piętnować nadużycia. Potraktować muzyków jako partnerów i współofiarodawców. Wówczas być może nowe pokolenie artystów odkryje na nowo radość płynącą z zagrania darmowego koncertu na szczytny cel – satysfakcję z bezinteresownego grania koncertu pastorałek na oddziale onkologicznym, przyjemność z nagrania płyty-cegiełki dla lokalnej parafii. Do tego czasu bardzo długa droga przed nami.

Radość dzielenia się swoim talentem, możliwość współodczuwania emocji zawartej w muzyce, dreszcz niepewności i ekscytacji, wynikający z unikatowego charakteru chwili, w którym twoja muzyka rozbrzmiewa po raz pierwszy, magia momentu, w którym skutek działania twojej muzyki na twarzach słuchaczy pojawia się łąca wzruszenia, przeżycie starogreckiego *catharsis*... Te dobra towarzyszyć nam będą zawsze. Nie uświadamiamy jednak muzykom na siłę, że mają tak wiele i dlatego tak wiele winni są bliźnim. Sęk w tym, aby w czasach „darmochy” umieć odkryć na nowo i uszanować wartość daru.

Wbrew pozorom nie zawsze jest to oczywiste.

*Timm Stuetz**

GOŚĆ W DOM – BÓG W DOM: POLSKA SPECJALNOŚĆ?

Przyjmując zaproszenie do udziału w sympozjum, zastanawiałem się, co tu robi Niemiec. Ale myślę, że nie jestem już typowym Niemcem, a Polakiem też jeszcze nie. Mogę powiedzieć z pewnej perspektywy, że Niemcy oceniają polską gościnność inaczej niż widzą ją Polacy. Kiedy rozmawiałem np. z ludźmi na wsi, w której mieszkam pod Szczecinem, czy ze swoimi przyjaciółmi, to często słyszałem słowa, że to „legenda”, że „przereklamowane”! Jeden starszy pan opowiedział mi, że w Poznaniu zaraz po zakończeniu wojny mówiło się: „Gość w dom, masło do kredensu”. Z pewnością wiele zależeć będzie od tego, w jakiej sytuacji się znajdziemy – w czasie pokoju lub wojny, czy jesteśmy bogaci albo biedni, czy przebywamy wśród przyjaciół, czy też obcych, czy mieszkamy w mieście albo na wsi.

Z moją żoną od wielu lat prowadzimy „polski” dom na wsi. Pewnego dnia przydarzyło się nam coś niezwykłego. Był ponury, deszczowy dzień. Mieliśmy w domu gości, a na zewnątrz lało i grzmiało. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Kiedy je otworzyłem, ujrzałem obcego człowieka, około trzydziestki. Był brudny i całkiem mokry od deszczu. Zapytał, czy jestem Niemcem i powiedział, że na wsi skierowano go do mojego domu, gdyż

* Timm Stuetz – artysta fotografik, urodzony w 1938 roku w Dreźnie, od ponad 20 lat mieszka w Glinnej pod Szczecinem, publicysta, tłumacz, autor licznych książek i wystaw.

tu mówi się po niemiecku. Człowiek ten był w podróży autostopem, a nie bardzo wiedział, jaką dalej wybrać drogę. Od słowa do słowa okazało się, że podróżuje z niemieckiego miasteczka blisko granicy. Spytałem, dokąd zmierza się udać i usłyszałem odpowiedź, że do Torunia. Zaprosiłem go do środka, choć miałem wiele wątpliwości. Spojrzałem na żonę, a ona na mnie, jakby chciała zapytać: „Co teraz zrobisz?”. Wahała się, czy wpuścić do domu człowieka z ulicy, przecież może nas okraść. Co na jego obecność powiedzą nasi goście? Zapytałem go wprost: „Czego pan potrzebuje?”. „Wziąć prysznic, przebrać się i pójść dalej” – odpowiedział. Zaprowadziłem go do łazienki, przebrał się i wrócił do kuchni. Żona nałała mu talerz gorącej zupy, zrobiła kawę i ukroiła kawałek ciasta. To wszystko zjadł z apetytem, był po prostu głodny. Wszystkim nam spadł kamień z serca. Ot, po prostu normalny człowiek.

Ryzyko w naszych czasach zawsze istnieje. Często biję się z myślami, czy powinienem coś zrobić. W tamtym przypadku okazało się, że ten człowiek był w kłopotliwej życiowo sytuacji. Szukał na nowo drogi do samego siebie. Miał wielkie problemy z własną rodziną, gdyż rozstał się z żoną i jedynym dzieckiem. Nie wiedział, co ze sobą począć. Na koniec powiedział mi: „Muszę odnaleźć siebie. W Rumunii mój dziadek ma grób. Chciałbym tam dotrzeć!”. Przekazałem mu mały słowniczek wyrazów polskich, które mogłyby przydać mu się w drodze. Po dwóch godzinach opuścił nasz dom. Jeszcze parę razy potem otrzymywałem od niego kartkę pocztową z wiadomościami z drogi. Oznajmiał w jednej z nich, że odnalazł siebie.

To doświadczenie pokazało mi, co znaczy gościnność, jak może okazać się ważna dla naszego gościa. Można powiedzieć, że w tym momencie polski dom, w którym mieszkam od dwudziestu paru lat, zdał egzamin z gościnności, ale nie obyło się bez wewnętrznej walki z własnymi lękami.

Gościnność nieodwołalnie kojarzy się też ze świętami, i to nie tylko w naszych czasach i w tym miejscu kuli ziemskiej. Wszystkie religie świata mają swoje tradycje świętowania. W poszczególnych kulturach różnią się obyczaje, poprzez które ona się wyraża, na przykład w północnych

Niemczech, gdy gość przestąpi próg domu, początkowo wydaje się ona trochę chłodna. W Saksonii czy w Bawarii jest już bardziej podobnie jak w Polsce – od progu domu zaczyna się celebrowanie powitania, całowanie, pada koronne pytanie: „Co słyszą?”. Potem cichną pierwsze emocje, a goście zaczynają się czuć jak u siebie.

Jednego roku w latach 80. wybraliśmy się wraz z żoną w podróż po Europie, by poznać bliżej kraje zachodnie. Jechaliśmy przez Niemcy, Francję, Szwajcarię, Hiszpanię aż do Portugalii, zatrzymując się po drodze na campingach. W ostatnim z wymienionych krajów czuliśmy się jak u siebie. Na campingu wszyscy wokół zachowywali się bardzo przyjaźnie, a przecież byli obcymi sobie ludźmi. Zaraz na stole pojawiała się butelka wina i jakieś przekąski, a dzieci biegały wokół. Zaskoczeni byliśmy podobieństwem w goszczeniu przez Portugalczyków i Polaków. Myślę, że największa różnica jest – jak chyba wszędzie – między bogatymi a biednymi. Kiedy trafimy na uboższych ludzi, wydaje się być bardziej swojsko.

Ważne, by człowiek wraz z otwarciem drzwi otworzył swoje serce. Mówimy tu na zamku dużo o bezinteresowności. Czy jeśli jestem bardzo zainteresowany poznaniem obcych ludzi, to jest to też bezinteresowność?

Bierzemy udział w życiu innych ludzi, którzy tym samym stają się dla nas jakby prezentem! To jest tajemnica gościnności.

Dziś w młodym pokoleniu Europejczyków przyjęte niegdyś normy gościnności utraciły trochę ze swojego dotychczasowego znaczenia. Dlatego cieszę się, że tu w Szczecinie – niejako wbrew wszystkiemu – odbywa się spotkanie w duchu „za darmo nie na darmo”.

*Antoni Smoluk**

**PO CO NAM MATEMATYKA?
MIĘDZY BEZINTERESOWNOŚCIĄ
A UŻYTECZNOŚCIĄ****

Czym jest nauka?

Wierzę, że świat jest logiczny, celowy i rządzony przez zasady ogólne ujmowane w postaci praw nauki. Chciałbym jednakże zauważyć, że reguły logiczne gwarantujące niezawodne wnioski dotyczą obiektów idealnych.

Nauka jest jedna i powszechna, jest relacją między ideą a materią. Nie ma nauki o niczym – wiedza stanowi ogląd i opis przyrody. Współczesna nauka oparta jest na trzech zasadach: aksjomacie zbioru nieskończonego, numerycznego opisu stanów natury oraz zasadzie równowagi. Każdy byt jest w równowadze dynamicznej. Bez równowagi nie ma istnienia, albowiem równowaga jest cechą charakterystyczną przyrody. Nauka ma kościec matematyczny – tak sądził Józef Gołuchowski, wybitny, choć zapomniany

* Antoni Smoluk – prof. dr hab. w Zakładzie Matematyki Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, od 2006 r. na emeryturze. Jego zainteresowania naukowe kształtują się wokół zastosowań matematyki w ekonomii. Jest inicjatorem i redaktorem ogólnopolskich czasopism „Ekonomia Matematyczna” i „Dydaktyka Matematyki”. Dewiza życiowa: *Timor Domini initium sapientiae*.

** Wystąpienie przygotowane w oparciu o list profesora Antoniego Smoluka nadesłany do uczestników sympozjum – redakcja Arkadiusz Więcko.

polski filozof. Wywodził on wszystkie nauki z tęsknoty do Boga. Myśl ta nie obca była Pitagorejczykom. Uprawianie nauki w szkole pitagorejskiej było równoznaczne z poświęceniem się służbie Bożej. Nauka dla pitagorejczyków była modlitwą, obcowaniem z Istotą Najwyższą, tajemnicą udzieloną wybranym. Językiem nauki był dla nich język geometrii i arytmetyki. Ich szczytowym osiągnięciem było odkrycie brył foremnych, zwanych dziś popularnie platońskimi. Współczesne podejście uczonych do nauki cechuje na ogół dystans do duchowego wymiaru poznawanej wiedzy.

Mówimy (żywiąc przekonanie, że tak właśnie jest) że przedmiotem nauki są abstrakty – obiekty istniejące w głowie uczonego, a ich realne odpowiedniki są jedynie „niedoskonałymi” tworamii mocno odbiegającymi od idealnych modeli. Tak rozumiana niedoskonałość przedmiotów jest jednakże ich największym pięknem: rosa na płatkach róży, trzęsący się liść osiki, krople deszczu na gałązce, koń w biegu i dziewczyna w tańcu. Niedoskonałość stworzenia jest najdziwniejszym cudem natury i – zgodnie z zasadą Leibniza – doskonałością.

Czym jest, a czym nie jest matematyka?

Istnieje język matematyczny i specyficzna notacja, którymi posługują się m.in. uczniowie w szkole, ale nie to jest istotą matematyki. Język i oznaczenia nie konstytuują jeszcze samej matematyki – podobnie jak nuty, choć stanowią próbę zapisu muzyki, nie decydują jednak o jej ostatecznym kształcie. Matematyka nie jest także zbiorem definicji i twierdzeń. Są one istotnie obecne, ale służą raczej jako „podpórki” matematycznej wiedzy. Matematyka to raczej sposób ujęcia zagadnienia. Jej istotą jest treść, która się kryje pod oznaczeniami. Oczywiście, dobrze dobrana symbolika i nazewnictwo ułatwiają opanowanie przedmiotu – to nie ulega wątpliwości. Ale nie można jej sprowadzać do roli narzędzia użytecznego w chemii, fizyce, astronomii czy geografii albo traktować jako sprawnej „maszyny” do rachowania, bo to jest błędne pojmowanie tego, czym jest matematyka, czym jest nauka. Nie ma nauki bez matematyki. Nie jest to bezzasadny

postulat czy pobożne życzenie, lecz wskazanie na ich tożsamość. Wiedza naukowa niezależnie od miejsca, języka i sposobu wykładu zawsze może być przekazana jednoznacznie. Tę cechę ma tylko i wyłącznie matematyka.

Matematyzacja wiedzy pomaga w wykrywaniu nowych zjawisk i faktów. Matematyka jest metodą naukową, co nie oznacza, że nie można uprawiać nauki bez znajomości struktur matematycznych.

Matematyka to reguły i normy postępowania. Pewnie dlatego tak wielu matematyków występowało przeciw rządowi bez zasad i prawa. Zło i niesprawiedliwość niosą ze sobą sprzeczność. Istotą matematyki – a co za tym idzie, nauki – jest brak sprzeczności. Nauka jest piękna, bo jest prawdą, dobrem, sprawiedliwością, prawem.

Matematyka jest nauką o świecie fizycznym w abstrakcyjnej formie. Jeśli teoria nie ma odpowiedników w świecie materialnym, to jest pustym rozważaniem. Matematyka jest wiedzą o wszystkim. Ten uniwersalizm osiąga się przez abstrakcję. Matematyka to dedukcyjne wnioskowanie, ale oparte na faktach, których prawdziwość można sprawdzić.

Niewątpliwie matematyka jest poezją i to najwyższego lotu. Gdy dobrze zapowiadający się uczeń Davida Hilberta – wszechstronnie utalentowanego, wybitnego matematyka niemieckiego – porzucił matematykę i oddał się poezji, jego nauczyciel zauważył: „Widocznie miał za małą wyobraźnię, by pracować w matematyce”. Istotnie, uprawiać matematykę można tylko przy dużej poetyckiej wyobraźni, malarskiej fantazji i muzycznym odczuciu, nie licząc wielkiej pracowitości, systematyczności i pedanterii. Świat matematyki jest także światem sztuki. Nauka i sztuka są przejawami twórczej aktywności człowieka. W swych najgłębszych warstwach tworzą jedność. Jednoczy je wyobraźnia, dzieli sposób percepcji. Podstawami nauki są rozum i wiedza, a uczucie i intuicja rządzą sztuką. Nauki nie można jednak oddzielić od sztuki. Oprócz nauki cieszy nas wszelkie piękno. Naukę należy zrozumieć, by odczuć jej piękno. Piękno matematyczne ma swe źródło w abstrakcji i symetrii, ale można je także oddać np. rzeźbą czy obrazem.

Po co nam matematyka?

Oderwanie się od szczegółów upraszcza zadanie, oszczędza czas i pamięć. Na tym polega ekonomia myśli – uogólnienie. Myślimy konkretnie – oglądając model, mówimy abstrakcyjnie – uogólniając obserwacje. Matematyka wprowadza ład i porządek, pozwala na odgadnięcie nowych związków, polega na przewidywaniu nieznanych struktur. Bez matematyzacji nie ma nauki, nie ma modeli, nie ma teorii o znaczeniu praktycznym. W nauce tyle jest użytecznych teorii, ile jest matematyki. Każdy problem niesie swoją matematykę. Jednak wiedzy, której na obecnym etapie nie potrafimy zmatematyzować, nie można dyskredytować. Kryje ona w sobie właśnie zalążek nowej matematyki, którą trzeba dopiero stworzyć.

Nowa teoria pozostaje tak długo bez treści, dopóki jej symbolom nie nada się określonego znaczenia. Wtedy otrzymujemy jej model. Teoria jest tym bogatsza, im więcej ma modeli, im więcej istnieje nietrywialnych interpretacji. Doświadczenie przeradza się w teorię. Model to przykład ilustrujący fakt: teoria nie jest pusta, istnieją światy spełniające jej aksjomaty. Model nadaje treść oraz sens teorii i uwypukla jej walory praktyczne.

Czas postawić pytanie: jeśli prawie każdy człowiek myśli w praktycznym życiu, dlaczego tak niewielu czyni to na lekcjach matematyki w szkole? Być może przyczyna leży w złym sposobie jej nauczania? Amerykanie uczą głównie matematyki stosowanej na przykładach, my uczymy myślenia abstrakcyjnego. Nauczanie abstrakcyjne jest użyteczne wtedy, gdy wraz z nim podaje się interpretację ekonomiczną, biologiczną czy fizyczną. Nie przygotowujemy nauczycieli do podawania wiedzy matematycznej w taki właśnie sposób, cierpią zaś uczniowie, a skutki złej edukacji matematycznej ponosi całe społeczeństwo!

Nie ma przypadku bez człowieka

Każdy przedmiot występujący w przyrodzie, np. koło roweru, jest tylko namiastką okrągłego kształtu wyrażonego poprzez model. Jeżeli liść pewnego gatunku ma formę elipsy, to każdy konkretny liść będzie mniej lub bardziej zdeformowaną elipsą. Obiekty rzeczywiste są obciążone deformacją losową. Czy jest to deformacja losowa, czy cecha swoista? Może na takiej deformacji polega indywidualizm? Gdybyśmy byli identycznymi ideałami, świat stałby się bardzo nudny. Widocznie indywidualizacja jest celową i konieczną składową harmonii świata. Bez tego, co zwiemy przypadkiem, nie ma realnego świata; jest tylko świat platońskich idei. Przypadek jest więc konieczny. Celowość, harmonia, przypadek wynikają z zasady równowagi. Wszystko, co istnieje, jest konieczne. To, co nie jest konieczne, nie istnieje. A gdy zaistnieje? Staje się natychmiast konieczne. Każdy przypadek, który się zrealizuje, jest konieczny; wiemy jednak o tym dopiero po fakcie, co uniemożliwia nam gwarantowaną pewność sądów o przyszłości.

Człowiek, kiedy nie może czegoś poznać, sprowadza rzecz do zdarzeń losowych, do trafu. Nie ma przypadku bez człowieka! Lodowiec zsuwający się z gór jest zjawiskiem naturalnym, prawidłowością, koniecznością. Lodowiec schodzący do zamieszkałej doliny jest katastrofą, dopustem bożym, nieszczęśliwym wydarzeniem. Ten bunt ludzki uznałbym za jedyny czynnik generujący stany, które rozumiemy jako zjawiska losowe. Przypuszczalnie Ewa, realizując zakazaną możliwość, była sprawczynią pierwszego zdarzenia losowego. To człowiek widzi w świecie przypadek, którego – notabene – sam jest sprawcą przez swoje decyzje. „Czyżby jedynie przez ludzkie istnienie bezsens wdzierał się do skądinąd racjonalnej przyrody?” – stawia arcyciekawe pytanie profesor Michał Heller. Bez człowieka świat jest regularny i konieczny. Człowiek wnosi w ten naturalny ład niepokój, bunt i pragnienie czegoś nowego.

Matematycy rzucili wyzwanie przypadkowi

W przyrodzie nie ma czystego chaosu, rachunek prawdopodobieństwa ujmuje tylko naszą niewiedzę. Tym niemniej współcześnie karierę zrobiła stosunkowo młoda dziedzina matematyki, określana mianem probablistyki, a zajmująca się mierzaniem i prognozowaniem zjawisk losowych, nieprzewidywalnych. Gracze na giełdzie, uczestnicy zakładów bookmacherskich, synoptycy od pogody, ubezpieczyciele, uczestnicy życia gospodarczego, komentatorzy przyszłych wyborów – wszyscy chcą odkryć, jak będą wyglądały w przyszłości interesujące ich zagadnienia i chcą to wiedzieć już dzisiaj z jak największym podobieństwem do prawdy, czyli prawdopodobieństwem. Matematycy wyszli tym oczekiwaniom ludzkości naprzeciw, fundując narzędzia, modele pozwalające z określonym ryzykiem błędu wydawać sądy o przyszłości. Tak naprawdę wszystkie sądy o przyszłości obarczone są ludzką ułomnością, gdyż badaniem obejmuje się jakąś modelową sytuację, czyli odbiegającą od aktualnej rzeczywistości. Prognozuje się w oparciu o możliwe dane, które pochodzą z przeszłości czy też bada się np. jedynie próbę populacji – chcąc uniknąć choćby wysokich kosztów – uchodzącą za reprezentatywną z pominięciem jednakże całej zbiorowości.

O potrzebie bezinteresownego poznania

Wiedza intuicyjna i sztuka są poza nauką i przypuszczalnie są ważniejsze niż ona. Twórczości naukowej i artystycznej nie można nauczyć, ponieważ jest to pewien dar, który albo się ma, albo nie. Produkt twórczości naukowej, chociaż może być skutkiem intuicyjnego olśnienia, jest zawsze matematyką. Cechą matematyki i nauki jest dążenie do doskonałości. Bez perfekcji i ideału nie ma nauki. Należy ubolewać, że uprawianie nauki stało się dziś zawodem, a nie powołaniem. Zawód ten spospolitował się, stał się jedną z wielu dziedzin aktywności społecznej. Do jego uprawiania wystarczają przeciętne zdolności i zwykle nieprzeciętna ambicja. Pracę naukową, badawczą i twórczą zamienia się na szybką ścieżkę kariery.

Na tradycyjnym opłatku wrocławskiego środowiska akademickiego u metropolity wrocławskiego minister od nauki w ładnym przemówieniu życzył nauce polskiej swojego Małysza. Pan Adam Małysz skacze dobrze, pięknie i daleko, bo cieszy go perfekcja. Nie skacze dla zwycięstwa czy pieniędzy, robi to, by doskonalić swoje skoki. To czyni z niego mistrza. Ci, którzy kopią piłkę dla pieniędzy, kopią swoich rywali. Tak samo jest z nauką. Jest ona jak bogata panna, gotowa oddać swą rękę tylko temu, kto jej pragnie dla niej samej, a nie dla jej posagu! To jest właściwa miara, bo wynikająca z **bezinteresownej postawy** wobec poznawanej wiedzy: troska o wiedzę jako dobro powszechne z pominięciem własnych korzyści. **Twórczość naukowa jest poświęceniem siebie dla dobra innych na ołtarzu nauki. Nauka tak jak sztuka karmi się cierpieniem.**

Sprawiedliwy jest matematykiem. Czym bowiem jest sprawiedliwość? Bez prawdy, reguł, zasad i wiedzy nie ma sprawiedliwości. A matematyka te wszystkie przymioty posiada. Zło, niesprawiedliwość, fałsz są sprzeczne wewnątrz i nie opisują niczego. Czysta matematyka, choć jest nauką o niczym, stanowi teorię niesprzeczną, bo ma modele. A jest nauką o niczym, ponieważ jednocześnie jest nauką o wszystkim! Matematyk nie wie, o czym mówi. Nie wie dlatego, że sądy jego można różnie interpretować, że jego teoria ma wiele modeli, które odnoszą się do różnych stron rzeczywistości.

*Krzysztof Gorący**

JEŚLI NIE HARCERSTWO, TO CO W ZAMIAN? ASPEKTY WYCHOWAWCZE AIKIDO

Co przyciąga do harcerstwa?

Wystąpienie to nie jest w żadnym wypadku próbą zdyskredytowania harcerstwa czy też udowodnienia, że jest ono niepotrzebne. Sam byłem harcerzem i znam wielu ludzi szczerze oddanych tej idei i mocno w nią zaangażowanych. To próba pokazania, że są inne drogi niosące podobne idee i mogące być tak samo atrakcyjne.

Co przyciąga ludzi do harcerstwa? W mniej lub bardziej uświadomiony sposób idea, czyli udział w organizacji paramilitarnej, w której można służyć ojczyźnie. To pociąga za sobą nadanie życiu celu, podążanie za autorytetem, poddanie się dyscyplinie, chęć doskonalenia się, przynależność do grupy, odkrywanie przyjaźni, poddanie się osobnym obyczajom, poczucie, że robi się coś ważnego, pożytecznego i dobrego, przeżycie przygody, odkrycie ducha ofiarności, praca dla innych, poświęcenie się, kontakt z naturą, możliwość rozwoju zainteresowań (turystyka, fotogra-

* Krzysztof Gorący – dr inż. nauk technicznych, pracownik Instytutu Polimerów Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego, w młodości harcerz, nauczyciel praktykujący aikido, posiada stopień 4 dan, miłośnik kultury japońskiej, członek – wraz z żoną – wspólnoty neokatechumenalnej, ojciec czworga dzieci.

fia, żeglarstwo itp.), sprawdzanie siebie przez zdobywanie sprawności itd., a wszystko mocno oparte na tradycji.

Nad tym musi być bardzo mocno uwypuklony cel nadrzędny, musi chodzić o coś więcej. Dlaczego słucham rozkazów? Dlaczego mam się doskonalić? Dlaczego uczę się nowych rzeczy? Gdzie mnie prowadzi mój przełożony, mój autorytet? Co jest celem? W harcerstwie odpowiedź brzmi: pracuję dla ojczyzny, dla innych, żeby być lepszym człowiekiem. Ale czy idea harcerstwa się wyczerpała? I tak, i nie. Ojczyzna jest wolna, więc coraz mniejsze znaczenie ma wątek paramilitarny, z drugiej strony ludzie wciąż szukają tego, co proponuje harcerstwo – autorytetów, przynależności do grupy, poczucia sensu tego, co się robi, doskonalenia się, kontaktu z naturą, uczenia się jej itp.

Niestety, na świecie skauting zanika, a cel nadrzędny został rozmyty. Dorośli nie traktują harcerstwa poważnie, raczej jako tanią formę wypoczynku – a młodzież to widzi. Kontakt z naturą i przygoda została zabita przez przepisy sanepidu (czy widzieliście współczesne obozy harcerskie?) i rodziców zbyt troskanych o swoje dzieci, żeby się nie zmęczyły, nie zmokły, nie były frajerami. A przecież charaktery kształtuje się w realizacji jakichś zadań, w pokonywaniu trudności. Prawdziwe przyjaźnie nie powstają z gadania, tylko ze wspólnej pracy, przeżyć, przygód. W takich właśnie sytuacjach jest miejsce na bezinteresowność, hojność, wspaniałość – tymczasem współczesne harcerstwo daje coraz mniej okazji do takich przeżyć.

Z rozmów, jakie przeprowadziłem z instruktorami harcerstwa, przygotowując się do tego wystąpienia, wynika, że obecnie wszystko zależy od osoby drużynowego, od jego autorytetu, jak on poprowadzi swoich podopiecznych, jakie ich zainteresowania będzie rozwijał. Staje się on więc niejako mistrzem, ale, moim zdaniem, słabo wspieranym przez ideę.

Geneza aikido

Obecnie istnieją tysiące innych możliwości spędzania czasu i pracy nad sobą, które z harcerstwem konkurują. Jedną z nich są sztuki walki, a wśród nich aikido. Wywodzi się ono z Japonii. Jego techniki pomyślane są tak, aby nie powodować zranień przeciwnika, a jedynie uwolnić się od atakującego, poruszając jego ciałem.

Co przyciąga ludzi do sztuk walki? Na początku na pewno umiejętności walki. Znakomita większość początkujących przyznaje, że właśnie tego przyszła się nauczyć. Pociąga również egzotyka, odmienna, ale jednak bliska naszej tradycja rycerskości, przynależność do grupy, osobne zwyczaje (w tym specyficzna etykieta), dyscyplina, podążanie za autorytetem, nadanie życiu celu, sprawdzanie siebie przez coraz trudniejsze zadania. W miarę upływu czasu ćwiczący odkrywają, że tak naprawdę nie chodzi o to, żeby nauczyć się szybko przewracać ludzi. Jak często bywamy napadani? Czy warto poświęcać kilka dni w tygodniu na ćwiczenie umiejętności, które nigdy się nie przydadzą? Tak naprawdę chodzi o doskonalenie się fizyczne, umysłowe i duchowe – jest to droga.

Czy sobie to uświadamiamy, czy nie, za każdym działaniem człowieka stoi jakaś filozofia. Myśl twórcy aikido, Morihei Ueshiby, została zawarta w nazwie tej sztuki walki, która właściwie składa się z trzech słów *ai* – ‘harmonia’, *do* – ‘droga’ i *ki*. *Ki* jest japońskim słowem, trudnym do przełożenia na pojęcia kultury zachodniej. Oznacza mniej więcej tyle, co umysł, duch, serce, ale również coś, co nie jest do końca wyjaśnione. W sztukach walki i wschodniej medycynie *ki* rozumiane jest jako subtelna forma energii życiowej wypełniającej cały wszechświat, a więc aikido to droga do harmonii z *ki*, ze wszechświatem. Obecnie filozofia aikido w dużym skrócie brzmi następująco: „Nie walcz, twórz harmonię, stwarzaj takie sytuacje, aby atak nie mógł nastąpić, fizyka życia jest inna niż fizyka materii, od mojego nastawienia do drugiego człowieka zależy, co się stanie, jak on będzie reagował”.

Od początku ideą aikido było rozwiązywanie sytuacji konfliktu bez walki. Nie powinno być ono sprowadzane tylko do samoobrony, gdyż

daje możliwość nowego spojrzenia na konflikt – jest drogą tworzenia takich sytuacji, w których nie można zaatakować (a wówczas samoobrona jest niepotrzebna). Aikido nie szuka skuteczności (jak sport), nie uczy, jak szybko przewracać ludzi, ale dąży do harmonii i, co zadziwiające, wykazuje, że jest ona skuteczna. Ponieważ tak naprawdę fizyczna umiejętność walki rzadko jest używana przez przeciętnego człowieka, celem okazuje się przenoszenie tej filozofii poza matę, poza miejsce ćwiczeń, do życia codziennego.

Nauka relacji

Nauka bezinteresowności, hojności, wspaniałomyślności zaczyna się już na pierwszym treningu – w aikido od samego początku ćwiczy się z partnerem, nie z kukłami czy deskami. To znaczy, że od samego początku nie mniej ważna niż sama technika staje się relacja między ludźmi. Co więcej, partner, z którym ćwiczymy, powinien zachowywać się naturalnie, nie stawiać tylko oporu, nie zachowywać się jak przedmiot. Ponieważ ćwiczy się z drugą osobą, nie można wykonywać technik jak z manekinem, stosować wyłącznie praw mechaniki, aby je wykonać. Każda żyjąca istota inaczej reaguje, łapie, inaczej się porusza. Prawa mechaniki dobrze objaśniają i działają w sferze materii nieożywionej, inne natomiast zasady rządzą w sferze wszystkiego, co żyje. Czas i przestrzeń, siła i masa odnoszą się tylko do materii, ale nie mają zastosowania w stosunku do umysłu. Ćwiczenie technik bez respektowania relacji międzyludzkich może sprawić, że ćwiczący będzie zachowywał się jak broń lub jak robot. Podświadomie przyjmuje się wówczas, że trzeba użyć technik walki tak, jak używa się broni palnej, aby wygrać wojnę. Jeśli używa się materii (broni) przeciwko życiu ludzkiemu, wówczas materia (broń) determinuje istnienie ludzkie. To prowadzi do destrukcji humanitaryzmu i życia ludzkiego. Sposób praktykowania aikido zachowuje więc humanitaryzm jako podstawę relacji między ludźmi.

Obaj ćwiczący ofiarowują coś z siebie i obaj nie mogą ćwiczyć osobno. Od samego początku (oczywiście najpierw w sposób nie do końca uświadomiony) ofiarowują siebie na wielu poziomach – własne ciało, umiejętności, wiedzę, czas, pieniądze. Stąd m.in. wynika etykieta, np. ukłon przed ćwiczeniem i po nim – dziękujemy sobie wzajemnie za możliwość praktykowania. Na marginesie należy wspomnieć, że etykieta nigdy nie powinna być wymuszona, ale wypływać z wnętrza człowieka, z jego potrzeby okazania szacunku i wdzięczności drugiemu, który ofiarował mi coś, co pozwoliło mi się rozwijać.

W aikido niemożliwe jest ćwiczenie technik z materiałem jako partnerem. Od samego początku ćwiczy się parami i każdy natychmiast styka się z trudnościami, jakie występują w relacjach międzyludzkich, ucząc się, jak je harmonijnie rozwiązywać. Techniki aikido nie opracowano, aby stosować je przeciwko materii. Są one częścią relacji międzyludzkich w prawdziwym życiu.

Okazją do hojności jest zasada obowiązująca od pierwszego treningu – dziel się z innymi tym, czego się nauczyłeś. Ćwiczący uczą się nawzajem różnych technik – zarówno werbalnie, jak i przez odpowiednie reakcje swojego ciała, przy czym ta druga forma nauczania jest o wiele bardziej istotna. Ważna jest tu rola starszych uczniów, którzy wiedzą i umieją więcej, jednak w żadnym wypadku nie powinno to być okazją do wywyższania się. Ponieważ przeszli oni już kilka stopni nauczania, wiedzą, jak można pomóc początkującym, ale muszą odpowiednio stopniować swoje werbalne i niewerbalne wyjaśnienia. Każdy ćwiczący znajduje się więc permanentnie w sytuacji ucznia i nauczyciela – w zależności od tego, z kim ćwiczy, z osobą mniej czy bardziej od niego doświadczoną. Jest to swoista lekcja bezinteresownej hojności, bo nie mając z tego żadnych korzyści, dzieli się on wiedzą i doświadczeniem lub przyjmuje ją od innych za darmo. Jest to równocześnie często lekcja pokory, bo nierzadko ktoś, kto pozornie ma mniej doświadczenia, czasem nawet przez swoje nieświadome reakcje potrafi nam wskazać nasze błędy.

Szczególna rola nauczyciela

Tu pojawia się szczególna rola nauczyciela. Dla jego określenia w aikido i innych sztukach walki wywodzących się z Japonii używa się japońskiego słowa *sensei*. To słowo jest niestety bardzo często nadużywane. Jego pochodzenie związane jest z nauką buddyzmu zen. Mówi ona, że jeśli ktoś rozumie życie, czuje się jak nowo narodzony. *Sen* – znaczy „przed”, *sei* – „rodzić się”, a więc *sensei* dosłownie to osoba, która urodziła się wcześniej (przedtem). Chodzi przy tym o narodziny duchowe, a nie fizyczne – słowo *sensei* oznacza kogoś, kto narodził się duchowo przed innymi. Jeśli pozostać przy oryginalnym znaczeniu, to tylko ktoś, kto rozumie życie, powinien być w ten sposób nazywany, wobec tego od nauczycieli powinno się szczególnie wymagać.

Tu chciałbym zacytować Chucka Norrisa, który w swojej książce *Sekret wewnętrznej mocy* moim zdaniem najcelniej oddał istotę zadań, jakie stoją przed nauczycielem zwanym *sensei*: „Naucz [on] nie tylko słowami, lecz całą swoją osobowością i postawą – zarówno fizyczną, jak i zajmowaną wobec uczniów. Wszystkim, co robi, stanowi dla nich przykład. (...) Uczeń przychodzi do *dojo*, żeby stać się takim jak nauczyciel, żeby osiągnąć nie tylko techniczną biegłość, lecz także przejąć pewne cechy jego postawy i charakteru – podobnie jak syn wyrasta na podobieństwo ojca”¹¹. I w innym miejscu: „Nauczyciel ucieleśnia wszystko, co uczeń ma nadzieję osiągnąć”²².

Nauczyciel sztuk walki nie podaje wiedzy, nie przekazuje informacji i danych, ale coś o wiele głębszego. Informacje i dane można oddzielić od osoby je przekazującej, od osobowości przekazującego tak, że po pewnym czasie możemy nie pamiętać, kto je nam przekazał. W sztukach walki to, czego uczy nauczyciel, jest z nim nierozzerwalnie związane. Mistrz jest samą sztuką i to w sposób bardzo namacalny.

¹ Ch. Norris, *Sekret wewnętrznej mocy*, Poznań 1998, s. 83.

² Tamże.

Sensei przekazuje uczniom wyłącznie to, czego sam się nauczył i odwołuje się do swojego doświadczenia. Pomaga uczniom przejść drogę, którą kiedyś sam przeszedł. Czasem uczniowie dziwią się, skąd nauczyciel wie, co sprawia im problemy, czego nie rozumieją, a czasem wręcz domyśla się, nad czym się zastanawiają. On tymczasem to wie, bo sam miał takie trudności i uważał kiedyś podobnie jak oni. *Sensei* musi więc posiadać niezwykłą kombinację cech osobowościowych i talentów. Wymieńmy tu tylko pewien szczególny rodzaj inteligencji, który pozwoli mu przekazać prawdziwy cel ćwiczeń bez zniechęcania początkujących, przekazywać podejście do życia, zachęcić do doskonalenia się. Całym sobą, całym swoim życiem ma pokazywać, że to, co mówi, jest prawdą. Szczególnie w aikido nie można mówić o tym, aby nie walczyć, lecz tworzyć harmonię, jeśli samemu nie podąża się tą drogą. Nadto nauczyciel powinien pokazywać coraz nowsze koncepcje wyjaśniające techniki, ich powiązanie z filozofią aikido oraz nowe aspekty, żeby uczniowie widzieli z różnych stron to, co ćwiczą i mogli podążać swoją drogą. Musi więc mieć talent pedagogiczny, wiedzę fizjologiczną, wiedzę o sportach, o sztukach walki itp. Dzięki temu może udowodniać, że sztuka działa.

Jak widać, *sensei* z niezwykłą hojnością powinien dawać siebie swoim uczniom. Tu niczego nie da się udawać – uczy się całym sobą, przekazując całą wiedzę i sztukę. Jeśli uczeń trafia na takiego nauczyciela, rodzi się relacja mistrz – uczeń. W dzisiejszych czasach powstawanie takich relacji wydaje się nierealne, ale jednak tak się dzieje, choć oczywiście nie jest to takie oddanie wobec mistrza, jak w czasach powstawania sztuk walki na Wschodzie. Jest to możliwe, bo ludzie ciągle jeszcze poszukują autorytetów, osób, które potrafią jasno określać zasady i życiowe cele. Wielu młodych ludzi odczuwa potrzebę spotkania kogoś, kto autentycznie zasługuje na szacunek, szuka ideałów, które mogą być stałą wartością w ich życiu.

Widać to bardzo wyraźnie, kiedy prowadzi się grupy dziecięce. Nauczyciel sztuk walki jest przez dzieci tak podziwiany, że niewiele osób w tym momencie ich życia jest ważniejszych od niego. Do dziś pamiętam, jak bardzo przestraszyłem się odpowiedzialności, kiedy zdałem sobie

sprawę z tego, jak bardzo jestem ważny dla dzieci, które ćwiczyły w mojej grupie. Zrozumiałem, że każde moje słowo, zachowanie, pogląd będą miały konsekwencje w ich życiu.

Jak trafić na dobrego nauczyciela, mistrza, *sensei*? Myślę, że rację ma tu wschodnie przysłowie: „Jeśli uczeń jest gotów, nauczyciel się znajdzie”. Nie potrafię podać innej recepty na znalezienie swojego nauczyciela sztuk walki. Ale ponieważ nie ma mistrza bez ucznia, to i mistrzowie szukają uczniów. Jest więc zawsze duża szansa na znalezienie odpowiedniego nauczyciela.

Etapy rozwoju

Ciekawa jest droga, dzięki której ludzie stają się *sensei*. Oczywiście, każdy mistrz ma swojego mistrza, każdy uczył się od kogoś. Hojność, z jaką nas obdarowywał nasz mistrz, pozwala nam budować dalej na tym, co otrzymaliśmy. Po nauce u mistrza, a często jeszcze w jej trakcie, wielu zaczyna uczyć innych samodzielnie i zauważa dwie rzeczy: ucząc innych, sam jestem przez nich obdarowywany, uczę się wiele od nich i dzięki temu doskonalam się w sztuce i jako człowiek. Ponadto jeśli chcę być **prawdziwym nauczycielem** sztuk walki, muszę pracować nad sobą, pogłębiać swoją wiedzę i umiejętności, ale również zmieniać się jako człowiek. Podkreślam słowo „prawdziwym”, żeby odróżnić ludzi, którzy uczą sztuk walki tylko dla pieniędzy.

Można zapytać, po co podejmować trud uczenia innych. Odpowiedź jest prosta – ponieważ po osiągnięciu pewnego poziomu umiejętności u prawie każdego ucznia pojawia się pragnienie nauczania, przekazywania sztuki innym zupełnie bezinteresownie. Poza tym, jak już wspomniałem, ucząc innych ma się poczucie wzrostu, wzbogacenia wewnętrznego. Oczywiście, jak w każdej sztuce, najpierw trzeba pracować nad sobą, doskonaląc się, by w końcu dawać z siebie to, do czego się doszło.

Z moich obserwacji wynika, że w praktyce występują dwa przełomowe momenty. Pierwszy pojawia się po około trzech latach treningu:

wtedy uczeń czuje, że skończył się trud poznawania podstaw, że porusza się inaczej, inaczej widzi atakującego, przestaje zastanawiać się, jak go przewrócić, a zaczyna traktować go wspaniałomyślnie, jak kogoś, kto atakuje, bo zbłądził i dlatego nie ma powodu, aby zrobić mu krzywdę, mimo że ma się nad nim przewagę. Takie podejście zmienia znacznie sposób poruszania się, uczeń przestaje się spieszyć z techniką, nabiera pewności co do swoich umiejętności i wie, że zdąży wykonać odpowiedni ruch. Drugi moment następuje po około siedmiu, ośmiu latach treningu, po zdaniu egzaminu na 1 dan. To jest moment, w którym można sobie powiedzieć: „Już nie jestem początkujący, mogę już zacząć rozwijać moją sztukę. „Moja” – ponieważ, jak już wspominałem, każdy człowiek jest inny, porusza się i reaguje inaczej. Wynika stąd, że każdy uprawia swoje aikido, nie ma jednego standardowego sposobu wykonywania technik, każdy odkrywa techniki dla siebie. Tym samym staje się twórcą, który bazując na wyuczonych wcześniej elementach może zacząć improwizować, tworzyć. Warto wspomnieć, że nie trzeba być niezwykle uzdolnionym ruchowo, żeby dojść do takiego poziomu, nie da się jednak go przyspieszyć, nawet jeśli ćwiczy się systematycznie kilka razy w tygodniu. Wspomniane dwa etapy trwają trzy i siedem lat. To dowód na to, że aikido nie polega tylko na ćwiczeniach fizycznych ciała, ale jest drogą zmian w stosunku do ludzi i świata.

Tworzenie więzi

Kolejną sposobnością do okazania hojności są egzaminy, szczególnie te na wysokie stopnie mistrzowskie dan. Do takiego egzaminu potrzeba na ogół czterech atakujących (*uke*), którzy odpowiednio atakując, pozwalają zdającemu egzamin zademonstrować poznane techniki. Każdy atak jest inny, więc tu nie da się niczego zamarkować, oszukać. Ponieważ techniki są trudne i wymagają najwyższego skupienia, również atakujący muszą wspiąć się na wyżyny swoich umiejętności. Oznacza to, że ofiarowują wszystko, co potrafią, swoje zdolności i umiejętności po to, żeby egzamin

kolegi wypadł jak najlepiej. Dlaczego się tak starają? Nie ma żadnego przepisu określającego, kto może brać udział w egzaminie jako atakujący, wszystko odbywa się na zasadzie umowy między przyjaciółmi. Atakujący bezinteresownie, nie mając nadziei na jakąkolwiek gratyfikację, oddają się całkowicie do dyspozycji zdającego egzamin. Szacunek dla zdającego egzamin wymaga, żeby dać z siebie wszystko.

Na tym przykładzie widać też, że między ćwiczącymi tworzą się więzy przyjaźni. Dzieje się to najpierw na poziomie własnego *dojo* (klubu), w którym wspólnie się ćwiczy. Nie trzeba wyjaśniać, że szybko nawiązuje się więzy z ludźmi, którzy mają wspólny cel, którzy wspólnie z nami wlewają pot na macie i pomagają nam w rozwoju. Te więzy to nie tylko przyjaźń, ale i wzajemny szacunek. Co więcej, przy tego rodzaju wspólnej aktywności nie da się nikogo oszukać. Współćwiczący natychmiast wyczuwają kogoś, kto ćwiczy nieszczerze, nie chce się męczyć i nastawiony jest na wyzyskiwanie umiejętności kolegów tylko jako atakujących, sam natomiast nie ma zamiaru pomóc innym w ćwiczeniach lub co gorsza przy ćwiczeniach chce udowodnić swoją wyższość, narażając innych na kontuzje. Wokół takich ludzi natychmiast tworzy się pustka – nikt nie chce z nimi ćwiczyć, nikt nie prosi ich o wyjaśnienia. Jest to bardzo mocny i wyraźny sygnał dla takiego człowieka.

W aikido wszystko dzieje się w wolności – jeśli chcesz ćwiczyć, ćwicz. Chcesz się uczyć? Podążaj za wskazówkami nauczyciela. Jeśli nie chcesz się rozwijać, nikt nie może cię do tego zmusić. Tak też jest z sygnałem dla ćwiczącego nieszczerze. Jeśli sam nie wyciąga wniosków z tego, co się dzieje, nie zmusza się go do tego. Starsi uczniowie i nauczyciel reagują natychmiast jedynie wtedy, gdy taki człowiek zaczyna stwarzać niebezpieczeństwo dla innych ćwiczących. W innym wypadku pozwala mu się podążać jego drogą, mając świadomość, że wszystko, co dzieje się na macie, jest procesem i nigdy nie ma natychmiastowych skutków.

Kiedy już zaczyna się bywać na seminariach szkoleniowych, poznaje się ćwiczących z innych miast i krajów. Tu również nawiązuje się więzy i kontakty. Wszyscy zauważają, że nic tak nie łączy ludzi jak wspólne dą-

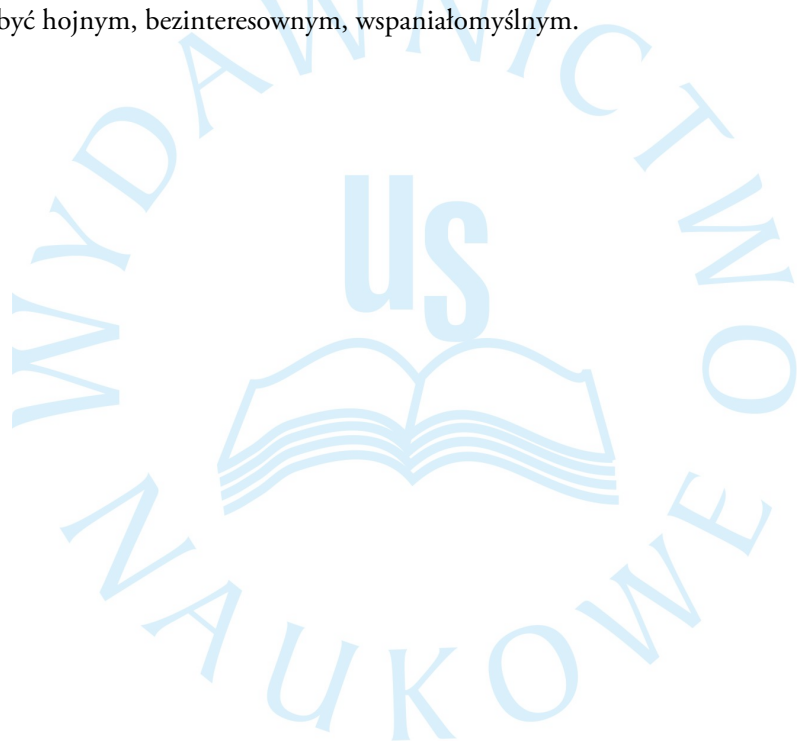
żenia i że aikido jest pewną mową ciała, która pozwala po wspólnych ćwiczeniach poznać ludzi i ich charakter, nawet jeśli mówią niezrozumiałym dla nas językiem. Mam wielu znajomych z innych krajów, których widuję raz do roku, czasem nawet nie mogę przypomnieć sobie ich imion, ale pamiętam ich ruch, sposób wykonywania technik – dla mnie to wystarczająca informacja. Dzięki temu tworzy się wspólnota, której nikt nie organizuje. Nie ma tu żadnych pisanych reguł ani kodeksów. Każdy ma wewnętrzne wycucie etykiety i wie, co uchodzi, a czego nie wypada. Mam w swoim notesie wiele adresów i telefonów do ludzi w całej Europie, do których mogę w każdej chwili zwrócić się z prośbą o nocleg czy pomoc, i wiem, że bez zbędnych pytań zrobią dla mnie wszystko, co będą mogli.

Podsumowanie

Kończąc to krótkie wprowadzenie do hojności w aikido i metody wychowawczej tej sztuki walki, chciałbym podkreślić, że zawsze celem tego, czego uczymy na macie, jest przeniesienie tego na życie codzienne. Jeśli uczę szacunku dla wszystkich, nawet tych, którzy mnie atakują, to również w życiu codziennym będę okazywał szacunek innym. Jeśli uczę się w jakiejś sprawie ofiarowywać własne ciało, umiejętności, wiedzę, czas, pieniądze, to zapewne i w innych dziedzinach mojego życia będzie to dla mnie łatwe. Jeśli przypominam, że aikido nie walczy, nie wymusza, ale uczy, jak prowadzić atakującego, to łatwo dojdę do wniosku, że jeśli chcę, żeby moja żona była lepsza, to wymuszanie nic nie da (podobnie jak w technice z silniejszym ode mnie atakującym). Jeśli będę lepszym mężem, to automatycznie ona będzie lepszą żoną. Gdy chcę wymuszać, to znaczy, że mój egoizm przeważa. Na pewnym seminarium mój *sensei* pokazywał techniki masażu (bo sztuki walki zawierają też techniki pozostawiania w dobrym zdrowiu) polegające na ucisku pewnych miejsc na ciele partnera. W pewnym momencie padło pytanie, jak mocno naciskać. Wtedy odpowiedział: „Ani nie za mocno, ani nie za słabo, musisz wyczuć,

co działa dobroczynnie na partnera. A jedyną drogą, aby to wyczuć, jest wykonywanie masażu z miłością”.

I w końcu dochodzimy do wniosku, że trzeba robić to, co czyni świat lepszym, co przynosi w nim harmonii. Życie dobrze to nie znaczy robić to, co mi się podoba i co jest dla mnie dobre, ale to, co jest dobre dla świata, to, co tworzy harmonię. Bez miłości nie można tworzyć harmonii, być hojnym, bezinteresownym, wspaniałomyślnym.



*Henryk Samsonowicz**

NIEZWYKŁE POSTAWY BEZINTERESOWNOŚCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

Kiedy rozmyślałem nad tematem zaproponowanym mi przez organizatorów zamkowego sympozjum, poczułem się trochę nieswój. Pojawiła się we mnie wątpliwość: **czy istnieją działania bezinteresowne?** Czy istnieją działania, których realizacja – w samym zamysle działającego – ma nie przynosić żadnych korzyści osobistych? Proszę mi wybaczyć na tej sesji, że zacznę od stwierdzenia: nie wydaje mi się, żeby to było możliwe. Zawsze w działaniu są przewidziane jakieś korzyści – w historii się to potwierdza. Tyle że cel, dla którego się podejmuje działania, korzyści, które bierze się przy tym pod uwagę, **mogą być czasami ukierunkowane na wartości wyższe.** Na przykład może to być dążenie do prawdy, szczęścia, ale również do uzyskania satysfakcji płynącej z działań na rzecz innych.

Czy można w naszej tysiącletniej historii dostrzec przypadki, które wskazywałyby na to, że tego rodzaju działania miały miejsce? Innymi słowy: czy istniała w naszej historii bezinteresowność, rozumiana jako działanie w imię wyższych wartości, w imię walki o prawdę, dobro, radość bez oglądania się na własne korzyści?

* Henryk Samsonowicz – prof. dr hab., emerytowany pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, mediewista, autor kilkuset publikacji naukowych, zaangażowany w działalność „Solidarności”, minister edukacji w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Zacznę od sztandarowych postaci, które istniały i funkcjonowały. Czy pierwszy patron Królestwa Polskiego, święty Wojciech, kiedy przybywał na nasze ziemie, by głosić prawdę w środowisku teoretycznie ochrzczonym (może 5 procent mieszkańców naszego kraju wiedziało wówczas, czym jest chrześcijaństwo), myślał o własnych korzyściach? Wydaje mi się, że pragnął głosić to, co uznawał za prawdę. Choć był z pochodzenia Czechem, Polacy w uznaniu jego zasług przyjęli go za swego.

Weźmy inny przykład z historii naszego narodu: naszego rodaka, biskupa krakowskiego Stanisława. Współcześnie tak naprawdę niewiele wiemy o przyczynach jego konfliktu z królem Bolesławem Śmiałym, nie znamy przebiegu tych wydarzeń, ale wiemy, co ludzie chcieli, żeby niosła ze sobą działalność biskupa. Według legendy zapisanej sto lat po jego śmierci, biskup Stanisław wszedł w konflikt z królem, aby uchronić polskie kobiety od prześladowań, na jakie były narażone. Innymi słowy: biskup nie działał w swoim interesie, ale w przeświadczeniu, że każdemu człowiekowi przynależy prawo do poszanowania jego godności, udzielenia ochrony potrzebującym. W ocenie tamtych wydarzeń pojawia się niejednoznaczność. Czy to było świadectwo wystąpienia przeciwko władcy w imię bezinteresownej ochrony ludzi upokarzanych, zabijanych, karanych, niszczonej? Czy była to tylko potrzeba ludu odwoływania się do kogoś, kto tego rodzaju idee powinien realizować?

Mamy w naszej historii przykłady bezinteresownej postawy nie tylko z kręgu kościelnego, co jest oczywiste. To ludzie, którzy stali się własnością, weszli w świadomość zbiorową naszego społeczeństwa, narodu, dlatego że potrzebowaliśmy pewnych wzorców bezinteresowności.

O kasztelanie krakowskim – pod koniec życia hetmanie – Stefanie Czarneckim, tym, który jest wzmiankowany w naszym hymnie narodowym, mówi się, że działał dla dobra Rzeczypospolitej. Jak było naprawdę, nie będziemy w to wchodzić. Nie jestem tu po to, żeby rozprawiać się z mitami. Znane powiedzenie mu przypisywane – „Jam nie z soli ani z roli, tylko z tego, co mnie boli” – wskazywałoby na to, że albo on rzeczywiście był o tym przekonany, albo ludzie chcieli, aby ich pozytywny

bohater tak uważał, bo jest zobowiązany do stanięcia w obronie interesów narodu w obliczu najazdu szwedzkiego. Nie rozsądzając, gdzie leży prawda, nie ulega wątpliwości, że mitologizowanie rzeczywistych postaci historycznych stanowi nasz wspólny wymóg, aby pamięć o naszej przeszłości rysowała się jaśniej.

Znają państwo zapewne opowieść z życia Tadeusza Kościuszki, który miał się podobno zatrzymywać przy każdym napotkanym żebraku. Można by tę historię spuentować włoską sentencją: „Jeśli to nawet nie jest prawda, to ładnie to wygląda”. Rzeczywiście! Jak by nie patrzeć, była to narodowa sprawa bezinteresownego wspomagania biednych.

Na pewno bezinteresownie działał inny człowiek, wspomniany w naszym hymnie, Henryk Dąbrowski, który za życia nie doczekał ani specjalnych nagród, ani majątku. Kiedy proponowano mu służbę na wysokich stanowiskach w armii pruskiej czy austriackiej – odmówił. Wolał pójść na tułaczkę do Włoch, żeby pod wodzą niejakiego Bonaparte organizować polską armię.

Mamy takie przykłady z całkiem niedawnych dziejów. Są zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy człowieka, który przyczynił się do odbudowy państwa polskiego – mowa o Józefie Piłsudskim. Choć można mu wytykać różne grzechy i wady, trzeba przyznać, że to, co robił, nie było podyktowane oglądaniem się na własne korzyści. Kiedy zrezygnował demokratycznie ze stanowiska Naczelnika Państwa, przeniósł się do bardzo skromnego domu w Sulejówku pod Warszawą. Zdarzało się, że pod koniec miesiąca nie starczało na posiłek dla jego nie tak znowu licznej rodziny. Nie działał w interesie własnym, ale dla idei, której poświęcił swoje zdrowie i życie.

Jego wielki przeciwnik, Roman Dmowski – człowiek, który głosił odmienne idee – zmarł w majątku Niklewiczów pod Łomżą, pozostając na łaskawym chlebie, mimo że to właśnie jemu zawdzięczamy między innymi oparcie granic Polski o Pomorze i funkcjonowanie idei odrodzonej Polski na Kongresie Wersalskim.

Przykłady bezinteresownej postawy można by mnożyć, przechodząc do czasów bardziej nam współczesnych. Nie dla korzyści materialnych wygłaszał swoje kazania ksiądz Jerzy Popiełuszko, nie dla korzyści materialnych strajkowali robotnicy tu w Szczecinie, Gdańsku, Gdyni czy później w innych miastach Polski. Ale to są już działania zespołowe. Chciałbym przy tej okazji zwrócić uwagę na pewne zbiorowe cechy naszego społeczeństwa, które przynoszą niekiedy zupełnie zaskakujące rezultaty.

Jak powszechnie wiadomo, w czasie, kiedy byliśmy pozbawieni własnego państwa i nie mieliśmy swojej tożsamości obywatelskiej, staliśmy się **heroldami walki za waszą i naszą wolność**. Za waszą wolność! Co nam z tego przyszło, że nasi rodacy walczyli o niepodległość Belgów, rozmaitych ziem włoskich, niemieckich, południowostowiańskich, węgierskich? To była działalność bezinteresowna. Jeśli możemy wspominać z dumą Józefa Bema, Ludwika Mierosławskiego i wielu innych, to właśnie między innymi dlatego, że realizowali oni hasło, które nie tyle naszej wspólnocie narodowej, co innym wspólnotom przynosiło wymierne korzyści.

Tutaj chciałbym odwołać się do pewnego fenomenu, który jest rzeczywiście chyba jedyny – proszę nie traktować mnie jako megalomana – w skali globu ziemskiego. Oto kraj przez wiele dziesiątków lat istniejący bez swojego państwa, prawa, szkolnictwa, armii czy sądownictwa – czyli Polska w latach niewoli. **Polska podzielona, poćwiartowana na rozmaite kawałki, nie tylko na trzy zabory** – w rzeczywistości było tych kręgów znacznie więcej – **dokonała rzeczy zupełnie zdumiewającej!** Potrafiła przyciągać do swojej kultury, polonizować mieszkańców prawie wszystkich krajów europejskich. Nie wierzą państwo? Proszę się rozejrzeć po polskich patriotach: czy to będzie Kronenberg czy Getekling, Hauke (bohater powstania stycziowego) czy Sorelowie (cała dynastia wielkich uczonych krakowskich). Proszę nie traktować tego jako odwołania się do dnia dzisiejszego: ilu mamy Millerów, ilu Vogtów, ilu mamy ludzi, którzy spolonizowali się, walcząc o naszą niepodległość? Choćby przykład Alberta Winklera, który ponosząc zasługi dla polskiej kultury, zmienił swoje nazwisko na Wojciech Kętrzyński, przyjmując równocześnie polską

świadomość. A ilu było rozmaitych przybyszów z Rosji: Szeremietiewów, Popowów, Grekowów, którzy u nas działali? Związane z tym były różne dowcipy. Kiedyś pewien generał po 1918 roku żalił się: „Przyszły straszne czasy dla naszej ojczyzny, którą rozebrali na trzy części – jedną wzięli Austriacy, drugą Niemcy, a trzecią część... my!”. Ale to był polski generał, on walczył dla nas. To nie byli tylko Austriacy, Niemcy czy Rosjanie. Myśmy potrafili polonizować rozmaitych Anglików – jak rodzinę Taylorów, Szkotów – Fergussonów, Francuzów – de Courtenay, Włochów – rodziny Blikle czy Semadeni. To jest ten fenomen, że kraj stanowiący peryferię gospodarczą, peryferię zamożności był w stanie przyciągnąć do siebie ludzi z całej Europy. Dlaczego? Ano dlatego, że potrafiliśmy wytworzyć w ówczesnej Europie realny model współistnienia w oparciu o hasło: „Za wolność waszą i naszą”, co zresztą świadczy o tym, że ludziom w każdej epoce potrzeba czegoś więcej niż tylko pieniędzy, majątków ziemskich – nie samym chlebem żyje człowiek. Trudno ograniczać się w przykładach tylko do wieku dziewiętnastego.

Moi rówieśnicy, koledzy, którzy w wieku kilkunastu lat szli do powstania warszawskiego, nie byli ludźmi zabiegającymi o dobra majątkowe, zaszczyty generalskie czy marszałkowskie. Proszę mi wierzyć – oni szli po to, żeby walczyć o wolność, równość czy godność „naszą i waszą”.

Nie będę tu wspominał o tym, co realizowali Polacy z tak zwanej opozycji demokratycznej, którzy wiele miesięcy i lat spędzali w więzieniach niedawnych czasów. Tak się akurat składa, że niejeden z nich przewinął się przez instytucję, w której pracuję od wielu lat. Studentami Uniwersytetu Warszawskiego byli Jacek Kuroń, Adam Michnik, Witold Modzelewski. Niezależnie od tego, co sądzimy o formach ich działania, czy podzielamy w pełni ich poglądy, jestem przekonany, że stanowią piękny przykład niezłomności, bezinteresowności, kiedy siedzieli w więzieniu, a wszystkim się wydawało, że mur berliński nie upadnie przez najbliższe sto lat. Realizowali wówczas postulaty walki o wyższe wartości.

Na koniec, żeby odnieść się do ostatniego referatu, którego miałem przyjemność wysłuchać [chodzi o konferencję nadesłaną przez profesora

Antoniego Smoluka *Po co nam matematyka? – między bezinteresownością, a użytecznością* – przyp. red.], chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Całkowicie zgadzam się z moim przedmówcą: są rozmaite działania, które wymagają i zawsze wymagały bezinteresowności. Otóż my – naukowcy, kiedy uzyskujemy stopień doktora, składamy następujące przyrzeczenie w języku łacińskim: „...będziemy działać nie dla ułomnej chwały, nie dla korzyści materialnych, lecz dla prawdy”. To jest ta wartość, dla której warto być bezinteresownym! A jednak – czy zawsze dotrzymujemy słowa? Ze wstydem przyznaję, że nie! Ale są ludzie, którzy dla poznania prawdy są gotowi na w pełni bezinteresowną działalność. Człowiek to byt dosyć szczególny, niejedyny na pewno. Koty są też ciekawe. Włazą tam, gdzie nie powinny, poznają nowe drogi. Ale one szukają tam wartości doczesnych. A człowiek chce po prostu wiedzieć, bezinteresownie poznawać prawdę.

Pieniądze a etyka bezinteresowności



*Iwona Jazukiewicz**

O DARZĄCEJ NATURZE CNÓT

Herakles dorastając, udał się na miejsce samotne, by dokonać wyboru dalszej drogi życiowej. Na rozdrożu spotkał dwie kobiety. Obie były urokliwe, a jednak zdecydowanie różniły się zachowaniem i wyglądem. Jedna była zuchwała i miała wyzywającą urodę. Druga, powściągliwa w zachowaniu, wyglądała pięknie i skromnie jednocześnie. Każda z nich doradzała młodzieńcowi drogę, na której stała.

Pierwsza przemówiła Kakia – kobieta o silnej budowie i butnym zachowaniu – następującymi słowami: „Widzę, Heraklesie, jak się wodzisz z myślami, którą drogę masz obrać w życiu. Jeżeli mnie weźmiesz za przyjaciółkę, poprowadzę cię drogą najprzyjemniejszą i najłatwiejszą, zakosztujesz wszelkich rozkoszy, a do końca życia nie doznasz żadnych przykrości. Przede wszystkim nie będziesz się martwił (...). Jedyłą twą troską będzie na to tylko zwracać całą uwagę, w jakim jedzeniu i picciu mógłbyś znaleźć największą przyjemność (...). Nie bój się, nie dopuszczę do tego, abyś je musiał zdobywać za cenę trudów i męki, zarówno duszy, jak i ciała. Bądź pewny, że co tylko inni wypracują, ty z tego będziesz korzystał, będziesz miał wszyst-

* Iwona Jazukiewicz – doktor habilitowany nauk społecznych w zakresie pedagogiki; pracownik dydaktyczno-naukowy Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego. Zainteresowania badawcze: pedeutologia, teoria wychowania, metodologia nauk społecznych, moralne oraz psychospołeczne aspekty wychowania.

ko, z czego mógłbyś ciągnąć korzyści. Ja bowiem swoim miłośnikom daję możliwość czerpania ze wszystkiego rozkoszy”¹.

Propozycja Kakii jest drogą łatwą i przyjemną, pozbawioną własnego trudu, a pełną zmysłowej rozkoszy. Alternatywa Arete, kobiety o wzniosłej i delikatnej urodzie, była następująca: „Ja także, Heraklesie, przychodzę do ciebie (...). Jeśli pójdziesz drogą, która prowadzi do mnie, na pewno w pracy i trudzie dokonasz pięknych i chwalebnych czynów i jeszcze bardziej mnie wsławisz, tak że dzięki twoim dobrym uczynkom okażą się jeszcze wspanialsza. Nie będę cię zwodzić obietnicami rozkoszy, ale zgodnie z prawdą przedstawię ci rzeczywistość, tak jak ją urządzili bogowie. Wiedz zatem, że żadnej rzeczy, które są piękne i dobre, nie użyczają bogowie ludziom za darmo – bez pracy i starań (...). Jeśli chcesz mieć poważanie w jakimś kraju, musisz być pożyteczny dla niego, (...) jeśli chcesz, aby ziemia rodziła obfite plony dla ciebie, musisz ją uprawiać, (...) jeśli wreszcie chcesz mieć silne i zdrowe ciało, musisz je przyzwyczajać do uległości względem rozumu i ćwiczyć w trudach i znoju”².

W zasadzie obie kobiety – Kakia i Arete – proponują Heraklesowi ten sam cel: szczęśliwe życie. Różnica dotyczy sposobu dochodzenia do niego. Kakia przekonuje, że szczęście polega na beztroskim korzystaniu z tego, co łatwe, przyjemne i korzystne. Odpowiada ona Arete następująco: „Widzisz, Heraklesie, jak daleką i trudną drogę do radości ukazuje ci ta niewiasta? Ja jednak zaprowadzę cię łatwą i krótką drogą do szczęścia”³.

Arete nie wyklucza korzyści: szacunek społeczeństwa, obfitość plonów ziemi, zdrowie i siła fizyczna są piękne i dobre, ale zdobywać je należy wytrwale, własną pracą, a nie beztrosko licząc na czyjś trud. Jej odpowiedź jest następująca: „O, nieszczęsna istoto! Jakie właściwie masz dobro? Jaką możesz znać prawdziwą przyjemność, jeśli nic nie chcesz uczynić, aby ją zdobyć? Nie potrafisz nawet poczekać na pragnienie przyjemności, ale

¹ Cyt. za: G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, t. 1, Lublin 2000, s. 273.

² Tamże, s. 274.

³ Tamże, s. 275.

zanim się jeszcze obudzi, już się wszystkim w pełni nasycasz, bo zanim poczujesz głód, już się najadłaś, zanim pragnienie, już się napiłaś (...). Nigdy nie widziałaś swojego pięknego uczynku. I kto by dał wiarę twym słowom? Kto by ci pomógł w potrzebie? Kto rozumny miałby odwagę należeć do twego szalejącego grona? Twoi miłośnicy mają w młodości słabe i wycieńczone ciała, w późniejszym zaś wieku zgaszone dusze i otępiały umysły. W próżniactwie, w wykwincie, w tłustym dobrobycie upływa im młodość, w nędzy i zaniedbaniu dożywają starości; muszą się wstydzić, kiedy pomyślą o tym, co dawniej czynili, i ciężarem przygniata ich to, co czynią obecnie (...). Jeśli więc, Heraklesie, (...) niezłomnie wytrwasz w takich trudach, zdobędziesz w nagrodę doskonałą pod każdym względem szczęśliwość⁴.

Skierowanie mitu jest uniwersalne. Herakles to osoba na moralnym rozdrożu, która dokonuje wewnętrznego rozstrzygnięcia o sposobie dochodzenia do szczęścia. Towarzyszką każdego może być zarówno Kakia, jak i Arete. Wybór należy do człowieka. Słowo *arete* oznacza w języku polskim cnotę, a dosłownie „tę, której imienia nie wymawia się”⁵. Nie wymawia się imienia wtedy, gdy:

1. nie zna się go,
2. zna, ale nie ceni,
3. zna, ceni, ale nie używa (nie praktykuje) się w swoim życiu.

W dosłownym znaczeniu treść pojęcia cnoty można więc odnieść do życia współczesnego człowieka: czy wymawia on imię Arete, czyli cnoty? Jak często? Czy wie, czym jest cnota? Czy ją praktykuje? Milczenie jest zapominaniem, a to z kolei – formą niszczenia. Jeśli człowiek współczesny zapomni o cnocie, to zniszczy bycie obejmujące dobro, ponieważ cnota współwystępuje z moralnym dobrem.

Tegoroczny Szczeciński Zalew Myśli jest wołaniem o rehabilitację cnót, bo choć szczególnie zaprasza do refleksji nad bezinteresownością,

⁴ Tamże, s. 275–276.

⁵ A.M. Kempniński, *Encyklopedia mitologii ludów indoeuropejskich*, Warszawa 2001, s. 42.

hojnością i wspaniałomyślnością, to jest tak, że praktykowanie jednych cnót sprzyja kształtowaniu innych, czyniąc to kształtowanie łatwiejszym, lecz nie automatycznym. Co łączy wszystkie cnoty? Czynią to między innymi następujące własności:

1. Cnota nie może być rozpatrywana bez tego, kto ją posiada. Jest doświadczana przez człowieka i w człowieku. Jest więc jego sprawnością.
2. Sprawność ta dotyczy rozumu i woli człowieka:
 - sprawność rozumu wyraża się w tym, że człowiek potrafi rozpoznać prawdę i dobro (wie, co jest prawdziwe lub fałszywe oraz dobre lub złe);
 - sprawność woli wyraża się w tym, że człowiek dobrowolnie i chętnie wykonuje dobry czyn (czym innym jest wiedzieć, a nawet zgadzać się z tym, że należy ustąpić miejsca osobie starszej, a czym innym uczynić to w konkretnej sytuacji).
3. Cnota ma swoją wartość moralną, to znaczy, że nie każda sprawność jest cnotą: nie nazywamy cnotą sprawnego biegania czy liczenia ani tym bardziej sprawniej kradzieży samochodu. Cnotami są wyłącznie te sprawności, które są ukierunkowane na realizację celu moralnie godziwego. Sprawności użyte do niegodziwego celu zostają wykluczone z zakresu tego pojęcia. Cnota wyraża więc prawość człowieka oraz jego działania, współwystępuje z moralnym dobrem.
4. Cnota jest sprawnością nabytą. Stać na nią każdego: nie jest wrodzona, nie zależy od majątności ani statusu społecznego. Jest dostępna wszystkim, ale powszechność ta nie oznacza, że wszyscy ją posiadają. Dostępuje jej ten, kto podejmie pracę nad sobą i wytrwale w tym trudzie dąży do doskonałości. Cnota wymaga pracy i wysiłku włożonego w nabywanie sprawności. Można ją potraktować jako „zadanie, które rozciąga się na całe życie”⁶.

⁶ M. Mróz, *Mądrość cnót – drogą odzyskania „smaku życia”*, w: *Mądrość życia*, red. M. Mróz, Toruń 2003, s. 25.

5. Nabywalność cnoty oznacza możliwość jej kształtowania, ale również prawdopodobieństwo utraty. Cnota niepraktykowana zanika (przypomnę: zapominanie jest formą niszczenia). Niemożliwością jest natomiast pozbawienie człowieka cnoty przez drugą osobę.
6. Cnoty posiadają swoje przeciwieństwo zwane wadami. Tak kształtowanie cnoty, jak i niwelowanie wad wymaga czasu na ćwiczenie się w czynieniu dobra. Człowiek kształtujący w sobie cnoty, a pomniejszający posiadane wady, zwiększa zakres czynionego w życiu dobra, a wyrzeka się czynienia zła. Ze względu na swoją istotę cnota nazywana jest „pięknem ludzkiego bycia”.

Piękno zachwyca swym urokiem, a jednak cnota nie jest tylko ozdobą człowieka, który ją posiada. Klejnoty są piękne, lecz jedynie zdobią i to wyłącznie ich właściciela. Są znakiem zewnętrznego bogactwa, ale niekoniecznie dobroci osoby. Cnota jest **wewnętrznym** bogactwem człowieka, wypracowanym trudem nieustannej pracy nad sobą.

Warto się zastanowić, czy własny rozwój jest tym, na co człowieka maksymalnie stać. Czy jest on najważniejszym i największym staraniem, jakie człowiek jest w stanie podjąć? Czy wolno człowiekowi na tym zadaniu poprzestać? Oczywiście, może tak uczynić, bo jest istotą wolną i może wybierać, ale jest też istotą rozumną i dobrze, żeby wiedział, pomiędzy czym może wybierać. W zakresie własnego rozwoju możliwość jest trojaka:

1. Nie podejmować trudu pracy nad sobą

Rozwojowi nadano status powszechnego prawa, stwierdzając o człowieku, że musi się rozwijać, aby istnieć⁷. Brak starań o własny rozwój można więc umieścić poza normalnością. Świadoma bierność lub destrukcyjność w pełnej aktualizacji swoich możliwości rozwojowych jest patologią. Jest niezgodna z rozumną naturą człowieka i zasługuje na miano perwersji.

⁷ J. Tischner, *Jak żyć?*, Wrocław 2000, s. 71 .

2. Podejmowanie pracy nad sobą jako dążenie do własnej doskonałości. Pozwala ono ukształtować cechy osobowości rzadkie i trudne do zdobycia. W centrum starań i zabiegów jest własna osoba. Potrzebne jest też nieustanne kontrolowanie siebie i potwierdzanie kolejnych osiągnięć przed samym sobą oraz innymi osobami. Takie ukierunkowanie na siebie może współwystępować z poczuciem wyższości oraz rozwojem form egocentryzmu i egoizmu. Perfekcjonizm może też prowadzić do depresji albo obsesji, bo zupełna doskonałość nie jest człowiekowi dostępna ze względu na nieuchronność popełniania błędów, wynikających z ograniczeń właściwych ludzkiej egzystencji.

3. Podejmowanie pracy nad sobą jako przekraczanie indywidualizmu. Człowiek pozornie zapomina o sobie. Pozorność w tym przypadku nie oznacza braku starań o własny rozwój, lecz nienadawanie mu najwyższej wartości. Własna aktywność nie jest ukierunkowana na samego siebie, lecz zwrócona ku innym osobom. Wypracowane bogactwo wewnętrzne jest nie po to, by się nim wywyższać lub szukać pochwał, lecz by dzielić się nim z innymi. Własna doskonałość nie jest celem, lecz ma swój cel: czynienie dobra.

We współczesnym świecie zdobywania i gromadzenia taki człowiek decyduje się na rozdawanie, czyli nieustanne **obdarzanie** innych tym, co wypracował w drodze własnego rozwoju. Cnota jest **wypracowanym bogactwem osobowym**. Darzenie wymaga osobowego bogactwa, by mieć czym obdarowywać. Darząca natura cnoty czyni ją darem dla drugiego człowieka, ofiarowanym **bezinteresownie** ze swojego osobowego bogactwa. Jest sposobem bycia, który subtelnie zachwyca i angażuje. Zachwyca, bo wskazuje pełnię człowieczego bycia; bycie całkowite. Angażuje, ponieważ wymaga pracy nad sobą. Cnota wyklucza bycie ograniczone indywidualizmem (zapatrzeniem w siebie) oraz wadami (np. pychą czynionego dobra).

Nawiązując do tematu sympozjum, można stwierdzić, że cnota jest obdarowywaniem **za darmo** (bezinteresownie), ale **nie na darmo**. Zy-

skują obie strony: obdarowywany oraz ten, który obdarowuje. Dla obdarowanego bezinteresowna troska drugiej osoby jest przecież przejawem miłości, bez której – jak bez powietrza i chleba – niemożliwy jest prawidłowy rozwój: niekochane dziecko zapada na chorobę sierocą; niekochany dorosły traci nadzieję i sens życia. Wzrasta też obdarowujący według sprawdzonej reguły życiowej: **im mocniej koncentrujesz się na sobie, tym bardziej oddalasz się od pełni bycia; im więcej udzielasz siebie, tym bardziej stajesz się człowiekiem.**

Doświadczenie bycia całkowitego wymaga przekroczenia siebie i zaangażowania siebie w służbę człowieczeństwu drugiej osoby. Angażując się i obdarzając, człowiek oddaje siły i czas, co w języku psychologii jest nazywane „spalaniem się”, czyli utratą, maleniem. W wymiarze egzystencjalnym człowiek nie traci, lecz wzbogaca to, co istotne – człowieczeństwo. Czy potrzeba większego uzasadnienia sensu i znaczenia cnoty w życiu codziennym?

Powraca więc pytanie: czy człowiek współczesny wymawia imię Arete? Na ile praktykuje ją na co dzień? Milczenie dotyczące cnoty jest zapominaniem o niej...

Serdeczne podziękowania należą się głównemu organizatorowi panu Arkadiuszowi Więcko za zaproszenie nas do refleksji nad tak istotnym wymiarem naszego życia. I zupełnie nie dziwi mnie tegoroczny pomysł, bo Arek jest na co dzień wspaniałym przykładem **bezinteresownego** bycia wobec drugiego człowieka.

*Roberto Saltini**

O KULTURZE DAWANIA

Człowiek rodzi się, aby być szczęśliwym. Pragnienie szczęścia jest tak głęboko wpisane w jego naturę, że szuka wszystkich możliwych dróg, aby osiągnąć ten cel. Okazuje się jednak, że droga do szczęścia lub nieszczęścia jest tylko jedna. Osiągnięcie szczęścia lub doświadczenie nieszczęścia zależy tylko od kierunku, w którym się po niej poruszamy.

Spróbujmy wyobrazić sobie drogę do szczęścia jako półprostą, która rozpoczyna się od naszego ja i przebiega w kierunku do innych. Na tej półprostej każdy z nas znajduje się w pewnym punkcie i może poruszać się w kierunku własnego ja lub w kierunku do innych. Kiedy postępujemy w pierwszym z wymienionych, idąc za sugestiami naszego egoizmu, doświadczamy wygody. Na tej drodze możemy zaspokoić przeróżne nasze potrzeby, nie doświadczamy jednak pełnego szczęścia, bo idąc w tym kierunku, nie przygotowujemy szczęścia dla innych. Człowiek jest istotą społeczną i znajduje swoje szczęście tylko wtedy, kiedy widzi, że czyni szczęśliwymi drugie osoby.

Człowiek nosi w sobie tęsknotę za nieskończonością. Droga w kierunku siebie ma swój przystanek końcowy – jesteśmy nim my sami, zamykamy się więc w klatce własnego ja. Wydaje się ona rozbłyskać złotem,

* Roberto Saltini – ksiądz katolicki, ur. we Florencji, od młodości członek wspólnoty Focolari. Z wykształcenia lekarz medycyny, przez wiele lat posługiwał jako anesteziolog w szpitalu św. Elżbiety w Lipsku na terenie dawnego NRD, a w latach stanu wojennego w szpitalu w Trzebnicy pod Wrocławiem. W jesieni życia wyświęcony na kapłana. Opiekun duchowy polskiej gałęzi międzynarodowego Ruchu Focolari.

ale z czasem okazuje się być przede wszystkim klatką, i to bardzo ciasną. Zamknięcie się w sobie może z czasem prowadzić do samotności, a ta jest dla człowieka najgorszym towarzystwem. Wtedy jest on już bardzo bliski nieszczęścia.

Kiedy natomiast próbujemy poruszać się w drugim kierunku – do innych – doświadczamy otwarcia, podarowania się, bezinteresowności. To kierunek otwarty na nieskończoność. Jest on trudniejszy, wymaga niezadko dużego poświęcenia, ale prowadzi do rozwoju relacji zaufania i do budowania wspólnoty. Wtedy człowiek, istota społeczna, jest szczęśliwy, ponieważ doświadcza, że inni też są szczęśliwi.

Panująca aktualnie liberalna koncepcja życia reklamuje pierwszy kierunek, lansuje indywidualizm oraz tezę, że człowiek jest tym bardziej szczęśliwy, im więcej posiada, im więcej może konsumować. Ten sposób myślenia jest obecny w strategii realizowanej przez wielkie koncerny, zainteresowane sprzedażą swoich coraz to nowszych produktów. Przedstawiciele handlu i biznesu reklamują swoje wyroby jako środki konieczne, aby być szczęśliwym: „Kup nowy samochód, ostatni model komputera i komórki, odnawiaj wyposażenie domu, wtedy będziesz szczęśliwy”.

Kultura posiadania rodzi konsumizm i wydaje się być konieczna, aby go podtrzymać. Czy droga „więcej mieć” może być drogą do szczęścia? Można by dać pozytywną odpowiedź pod jednym warunkiem: jeśli człowiek chce mieć więcej po to, aby więcej dawać. Posiadanie może być drogą do szczęścia, jeśli człowiek porusza się na niej nie w kierunku do siebie, lecz ku innym, jeśli chce więcej mieć, aby mógł więcej pomagać.

Jako chrześcijanin nie mogę nie dawać świadectwa o tym, co jest treścią mojej wiary oraz moim życiowym doświadczeniem. Cała wiara chrześcijańska potwierdza jako słuszny kierunek ku innym. Wierzymy, że Bóg jest Miłością i stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Człowiek więc jest istotą stworzoną nie po to, aby żyć w pojedynkę, lecz aby być darem dla drugiego człowieka i budować z nim wspólnotę. Bycie darem oznacza otwieranie się na potrzeby bliźniego, szanowanie go w jego godności, kulturze, tradycji. Dawanie prowadzi do pomnożenia

dóbr, bo kiedy otwieramy nasze dłonie, Bóg otwiera Swoje. Jezus obiecał: „Dawajcie, a będzie wam dane” (Łk 6,38). Człowiek realizuje się wtedy, kiedy daje. Myślę, że każdy z nas doświadczył, że czuje się bardziej sobą wtedy, kiedy daje, niż wtedy, kiedy otrzymuje.

To, o czym mówiłem do tej pory, nie jest dla mnie teorią, lecz kwintesencją mojego doświadczenia. Pochodzę z Florencji we Włoszech. Jako student medycyny spotkałem ludzi, którzy starali się żyć według Ewangelii. Byli to świeccy, pracujący w miejscach publicznych lub uczący się na uczelniach, jak ja. Należeli do Ruchu Focolari. Byli radośni. Dla mnie było to wówczas coś nowego, bo do tego czasu spotykałem sporo chrześcijan dobrych, ale nie zawsze radosnych. Tymczasem oni brali na serio stronę Ewangelii dotyczącą Sądu Ostatecznego. Jezus powie nam wówczas: „Byłem głodny, a dałeś Mi jeść; byłem chory, a odwiedziłeś Mnie; byłem smutny i pocieszyłeś Mnie”. A na pytanie: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym, chorym, smutnym?” odpowie: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (por. Mt 25,35-40). Okazuje się więc, że Bóg identyfikuje się z każdym. Kiedy spotykamy człowieka, spotykamy Boga. Stąd wezwanie, aby w swoich środowiskach być darem dla każdej napotkanej osoby. To odkrycie zmieniło moje życie. Zostałem lekarzem. Był początek lat sześćdziesiątych. W Berlinie stał świeży jeszcze mur, zbudowany przez reżim komunistyczny, aby oddzielić Niemcy Wschodnie od Zachodnich oraz kraje znajdujące się pod jego panowaniem, między innymi Polskę, od reszty świata. W tych krajach, jak wiadomo, Kościół był mniej lub bardziej prześladowany.

Chiara Lubich, założycielka Ruchu Focolari, chciała pomóc Kościołowi. Trwał Sobór Watykański II, w którym uczestniczyli również biskupi z Niemiec Wschodnich, to znaczy z NRD. W tym państwie Kościół miał swoje szpitale, ale groziło im zamknięcie, bo wielu lekarzy uciekało na Zachód. Biskupi prosili o pomoc. Wtedy Chiara zwróciła się do lekarzy, członków Ruchu Focolari, aby przeprowadzili się do NRD. Czułem, że to Bóg prosi mnie o taki szalony krok, wymagał bowiem oddania wszyst-

kiego: pozostawienia rodziców, pięknego domu i pięknego miasta, perspektyw kariery zawodowej i zarobienia sporych pieniędzy, porzucenia wolnego kraju, by zamknąć się za żelazną kurtyną pod groźbą więzienia, bo wszystkie ruchy były w NRD nielegalne. Miłość do Jezusa w chorych przebywających w tych szpitalach, którzy mogli pozostać bez opieki, pomogła mi jednak pójść za tym wezwaniem.

Zarówno rodzice, jak i ja bardzo boleśnie przeżyliśmy rozstanie. Okazało się jednak, że Bóg miał Swój plan miłości względem nich. W czasie, kiedy pojechałem do NRD, budowano koło Florencji międzynarodowy Ośrodek Formacyjny Ruchu Focolari, który przyjął studentów z różnych kontynentów. Niektórzy z nich zamieszkali w domu moich rodziców, w pokoju, w którym się wcześniej uczyłem. Traktowali oni moich rodziców jak swoich, kochali ich bardziej niż ja. Tak oto moi rodzice doświadczyli prawdziwości obietnicy Jezusa: oddali Bogu jednego syna, a otrzymali wielu. Kto daje, otrzymuje stokroć.

W NRD nastąpiły lata ciężkiej pracy. Szpital św. Elżbiety w Lipsku liczył 450 łóżek. We dwóch musieliśmy zabezpieczyć stały dyżur anestezyjologiczny. Często pracowaliśmy dzień i noc. Za łaską Bożą z czasem zbudowaliśmy nowoczesny Ośrodek Anestezji i Intensywnej Terapii oraz w ukryciu rozwijaliśmy Ruch Focolari zarówno w NRD, jak (z czasem) w krajach sąsiednich: w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech i na Litwie. Po szesnastu latach życia w NRD, pod koniec 1979 roku, Pan Bóg zaprosił mnie, bym uczynił kolejny krok na drodze dawania: do pozostawienia już rozwiniętej wspólnoty Ruchu w NRD i przeprowadzenia się do Polski, aby pomóc nowo rodzącej się wspólnocie. Droga do Polski była taka sama, jak droga do NRD: praca lekarza anestezyjologa. Pracowałem w Trzebnicy koło Wrocławia, w szpitalu, w którym wykonywano operacje mikrochirurgii i replantacji ręki. Jedna operacja trwała nawet 20 godzin. Nierzadko również tutaj pracowałem dzień i noc.

Niebawem zaczęła się rewolucja „Solidarności”. Trudno było o wszystko. Czas po pracy trzeba było często spędzać w kolejce po żywność lub po benzynę. Nieraz myślałem o Włoszech, gdzie życie byłoby dużo łatwiej-

sze. A jednak nawet wtedy, gdy na początku stanu wojennego zostałem wezwany na milicję i proponowano mi powrót do Włoch, powiedziałem, że przyjaciół nie opuszcza się w potrzebie i zostałem w Polsce do dziś. Cieszę się, że mogłem uczestniczyć w cierpieniach tego narodu. W tych latach doświadczyłem obfitości Bożej miłości, bo jeśli Bóg dużo wymaga, nigdy nie rozczarowuje, nigdy nie zostawia nas samych, kiedy prosimy Go o pomoc i opiekę. Ruch Focolari rozwija się również tutaj i daje swój wkład w to, aby Kościół stawał się jeszcze piękniejszy.

Dla dalszego rozwoju Ruchu Focolari w Polsce kilka lat temu Chiara Lubich widziała potrzebę obecności focolarina-kapłana w budującym się ośrodku formacyjnym Mariapoli Fiore pod Garwolinem. Niespodziewanie zaproponowała mi przyjęcie święceń kapłańskich. Bóg przygotowywał mnie do tego kroku przez czterdzieści lat służby człowiekowi w potrzebie. Przyjąłem święcenia nie jako wyróżnienie, lecz jako możliwość pełnienia służby w jeszcze szerszym wymiarze.

Patrząc wstecz na swoje życie, świadomy własnych niedociągnięć, z powodu których proszę Boga o miłosierdzie, dziękuję Mu za ogrom łask, za prowadzenie od indywidualizmu do życia we wspólnocie, od kultury posiadania do kultury dawania. Codziennie doświadczam, jak dając, otrzymuję. Oddając Bogu możliwość założenia własnej rodziny, zostawiając rodzinny dom, znalazłem w Ruchu Focolari, który obecny jest w 182 krajach, moją wielką rodzinę, braci, siostry i domy w Polsce i na całym świecie. A w sercu jest pokój i poczucie szczęścia.

*Krzysztof Pałys**

CO TAK NAPRAWDĘ JEST MOJE? (1 KOR 4,7)

Wstęp

Chciałbym ten wykład powiedzieć w prostych słowach, bo i sam jestem prostym człowiekiem. Na co dzień pracuję z ludźmi, wśród których zbyt skomplikowane wywody nie miałyby szans na zrozumienie. To nie będzie akademicki wykład, bardziej próba podzielenia się osobistymi przemyśleniami.

Mam niezасłużone szczęście być zakonnikiem, dominikaninem, więc nie sposób komentować św. Pawła, nie odnosząc się do wiary i duchowości. Rozumiem, że to jest sympozjum świeckie, ale akcenty wiary będą obecne.

„Co tak naprawdę jest moje?” – dać odpowiedź, mając do dyspozycji zaledwie dwadzieścia minut, to zadanie niebywale trudne, gdyż widzę, że im bardziej poznaję Pana Boga (choć oczywiście nadal jest On dla mnie fascynującą tajemnicą), tym bardziej mogę zgodzić się z Pawłem z Tarsu,

* Krzysztof Pałys – dominikanin, dr teologii, ukończył także resocjalizację i socjoterapię, pracował jako duszpasterz młodzieży, kapelan w onkologicznym szpitalu dziecięcym oraz w Fundacji Przeciwdziałania Uzależnieniom „Dominik”, od 2014 roku mieszka w Warszawie, gdzie pracuje jako duszpasterz powołań i rekolekcjonista, autor książki *Ludzie 8. dnia. Autostopem do Matki Teresy*, prowadzi blog *Światła miasta* (kpalys.blogspot.com).

który napisał: „Cóż masz, czego byś nie otrzymał? A jeśliś otrzymał, czemu się chelpisz, jakbyś nie otrzymał” (1 Kor 4,7).

Paweł, pisząc powyższe słowa, jest już osobą dojrzałą, której życie nie rozpieszczało. Jakiś czas wcześniej pod Damazkiem objawił się mu Bóg, któremu od dzieciństwa służył. Objawił mu się w Jezusie Chrystusie, jednak nie po to, by go nawrócić, lecz by go powołać. Nie można się dziwić, że upadł twarzą na ziemię (dosłownie i w przenośni), bo to było całkowite przewrócenie wszystkiego w jego życiu. Nie mamy szczegółowych danych o fizycznym wyglądzie Szawła. Tradycja – którą można uważać za wierną, bo pochodzi z Galicji, gdzie jego pamięć była szczególnie czczona – opisuje go w sposób mało pochlebny:

„Na niewielkim ciele o krzywych nogach łysa i zadzierzysta głowa o gęstych brwiach i wystającym nosie. Jego usposobienie było gwałtowne, namiętne, twarde, aż do fanatyzmu” (Jean Steinmann). Prawdopodobnie mógł być nudnym kaznodzieją. *Dzieje Apostolskie* (20,9) opisują historię, kiedy jeden ze słuchaczy, Eutyche, nie wytrzymał mowy i usnął, po czym spadł z trzeciego piętra. Jak dodaje autor *Dziejów* „upadł martwy na ziemię”. Nie było więc rady, trzeba go było wskrzeszać.

Szawel spotykał się z nieufnością ze strony samych chrześcijan (zaraz po spotkaniu Jezusa), później wszedł w konflikt z papieżem – św. Piotrem: „Zwróciłem uwagę Kefasowi, bo mu się należało” (por. Ga 2,11). Miał momenty w życiu, kiedy czuł się totalnie opuszczony (2 Tm 4,16). Był pięć razy bity po 39 razy, trzy razy sieczony różgami, raz kamienowany, był trzykrotnie rozbitkiem na morzu, więziony, chłostany, niejednokrotnie stawał w niebezpieczeństwie śmierci (por. 2 Kor 11,24-28). Sam wspomina o sobie, że miał jakiś „oścień”, rzecz, która go bardzo bolała i przez nią cierpiał (por. 2 Kor 12,7). I ten człowiek pisze, że tak naprawdę wszystko w życiu jest darem od Pana Boga.

„Co tak naprawdę jest moje?” – słowa Pawła wskazują na potrzebę wdzięczności za to, że Bóg jest w każdej chwili obecny i że wszystko, co nas spotyka, jest Jego darem. Takie myślenie obecne jest w chrześcijaństwie od pierwszych wieków. *Nauka dwunastu apostołów* (*Didache*), a tak-

że *List* przypisywany św. Barnabie mówią: „Są dwie drogi: droga życia i droga śmierci. Wszystko, co cię spotyka, przyjmuj jako dobre, wiedząc, że nic się nie dzieje bez Boga”. Opolski teolog, ks. Krzysztof Grzywocz, pisze: „Nie ma takiego momentu w naszym życiu, który by On opuścił. Jesliby Bóg jakąś chwilę opuścił, to by jej nie było. A jeśli Bóg jest obecny, to znaczy, że ta chwila ma sens. Człowiek robi rzeczy, które nie mają sensu, ale Bóg nie opuszcza także i tych chwil. Stąd wolno wierzyć, że to, co dokonuje się w smutku czy nawet w depresji, ma głęboki sens, ponieważ Bóg nie opuszcza ludzi tak mocno zranionych”.

Przytaczając słowa Pawła, *Didache* i Barnaby nie mam jednak na myśli pasywnej postawy, wyrażającej się w myśleniu, że nic ode mnie nie zależy – jak u mojego siostrzeńca Nikodema, który przyszedł kiedyś do domu, położył się na ziemi i stwierdził: „Wszystko teraz niech się samo za mnie robi”.

Wszystko, co mamy, jest darem od Boga. Pytanie, czy cierpienie i choroba także? Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to, nie popadając w jakąś zuchwałość. W obliczu cierpienia zawsze trzeba milczeć, nie wymądrzać się. Czeski filozof, teolog ks. Tomas Halik, tak podsumował swój stosunek do cierpienia: „Ludzki ból – nawet jeśli przyobleka się w zbroję wojującego ateizmu – chrześcijanin musi traktować poważnie i z szacunkiem, ponieważ jest to »ziemia święta«”. Umierający w 1968 r. kard. P. M. Joseph Veyillot powiedział: „Potrafimy po mistrzowsku formułować piękne frazesy o cierpieniu. I ja głosiłem o cierpieniu porywające kazania. Proszę jednak powiedzieć kapłanom, żeby lepiej milczeli, albowiem nie wiemy, co znaczy cierpieć. Kiedy to do mnie dotarło, mogłem już tylko płakać”.

Czasem i mnie chce się płakać, gdy odwiedzam dzieci w szpitalu onkologicznym. Niektórych rodziców choroba dziecka łączy, a innych od siebie oddala. I nigdy nie śmiałybym powiedzieć którejkolwiek z tych osób, że Bóg tak chciał. To by było nieludzkie! Wierzę, że On tego nie chciał! Wiem tylko, że Bóg chce dla każdego człowieka dobra i szczęścia i że zło nie pochodzi od Niego. Z każdej jednak sytuacji, nawet najtrud-

niejszej, On potrafi wydobyć dobro. Tylko w takim kontekście można mówić, że trudne doświadczenie jest darem – poznajemy to po owocach. Kiedy święta Teresa z Avila usłyszała, że ojciec Antonio di Gesu, znany z surowości graniczącej z okrucieństwem, został wybrany na prowincjała, rzekła: „Musi to być prawdą, ponieważ nikt tak doskonale jak on nie umie pomnażać męczenników”. Matka Teresa z Kalkuty trochę prowokacyjnie mawiała, że narzekanie jest brakiem wiary w to, że Bóg jest i działa w naszym życiu, że On opiekuje się nami. „Postawa wdzięczności daje człowiekowi wolność i umiejętność dostrzegania dobra nawet w najtrudniejszych momentach. I nie chodzi wcale o jakiś naiwny optymizm czy zaklinanie rzeczywistości w postaci pozytywnego myślenia. Nawet psychologia stwierdza, że w dążeniu do dojrzałości powinno przestać się myśleć o deficytach, lecz zacząć myśleć o zasobach (prof. Anna Brzezińska, psycholog z UAM).

Pracuję z młodymi ludźmi. Nie wiem, czy coraz bardziej tracimy młodzież, czy zyskujemy. Oni nie są zainteresowani tym, by dokładano im jeszcze więcej lęków i poczucia winy, nie obchodzą ich kolejne kazania i napomnienia. Szukają jednak nauki o miłości, o tym, jak mogą być szczęśliwi, jak mogą żyć, jak mogą przeżyć te wspaniałe chwile, o których mówią mistycy. Nauka dostrzegania cudów i dobra w codziennym życiu jest nauką mistyków. To także nauka ucząca dojrzałości, gdzie nawet trudności traktuje się jako dar, jako wyzwanie. Gdyby wszystko poszło gładko, to bym się czegoś o życiu nie dowiedział, czegoś bym nie przeżył. Karl Rahner mówił: „Chrześcijanin XXI wieku będzie albo mistykiem, albo nie będzie go wcale”.

Patrzenie na świat w kategoriach dobra w sensie Pawłowym

Ryszard Kapuściński pisał: „O Trzecim Świecie można opowiadać tak: »Najgroźniejsza była malaria mózgowa w Ugandzie. Spieszyłem się na uroczystość uzyskania niepodległości i ocknąłem się w szpitalu w Kampali. Dowiedziałem się później, jak było: dojechałem bezwiednie, prowadząc

swego landrovera po bezdrożach ponad tysiąc kilometrów, a jak dojechałem – to padłem. A kiedy mnie złapał oddział partyzancki, to tylko dlatego, że konwojent był pijany, nie zostałem rozstrzelany«. A ja wołę o Trzecim Świecie opowiadać inaczej. Kiedyś ledwie dowlokłem się do wioski gdzieś we wschodniej Afryce, a tam mnie położyli i następnego dnia zaprosili na kolację. Uroczyście dali mi jajko. Kurze jajko. Nie można było odmówić – trzeba było zjeść wszystko. Zjadłem więc, a oni szczęśliwi patrzyli na mnie. Tylko że cała wioska na to jedno jajko dla mnie polowała przez dwa dni – oni sami nic nie mieli... Bo gościnność w Afryce, podobnie jak w całym Trzecim Świecie, jest niezwykła”. Przede wszystkim trzeba być otwartym na innego człowieka. Chcieć go słuchać i rozmawiać z nim. Ewangelia pokazuje, że Bóg ukrywa się w drugim człowieku.

Tomasz Merton pisał, że odrzucenie może być darem. Często podkreślał, że mnich to ktoś niedostosowany, kto idzie w poprzek trendom tego świata, stawiającego na sukces, efektywność czy skuteczność. Staje się on więc kimś obcym, odrzuconym **po to, aby móc utożsamić się z tymi, których ten świat odrzucił**. Mnich jest człowiekiem bez znaczenia, który nie należy do żadnego układu, tylko celowo wycofuje się na margines społeczny po to, aby pogłębić swoje fundamentalne ludzkie doświadczenie. Odrzucenie według Mertona było dobre i mogło być dopuszczone przez Boga. „Doświadczenie nawet takie jak choroba jest oczyszczające i odnawiające, gdyż przypomina człowiekowi, żeby nie przywiązywał się zbyt mocno do ciasnej wizji tego, czym jest życie – wizji życia jako pilnego zadania, robienia czegoś, co się uważa za ważne (...). Choroba wszystkiemu temu podcina nogi. Nie byłem w stanie nic zrobić ani o niczym myśleć. Wieczorem jednak – nagie drzewa na tle metalicznego nieba wieczoru były niezwykle piękne...”.

Zakończenie

Pracuję w Szczecinie z młodymi ludźmi. Są wspaniali, mają nieprawdopodobny potencjał – są dla mnie darem i dziękuję za nich Bogu.

Wcześniej pracowałem ze studentami w Krakowskim duszpasterstwie „Beczka”. Myślę, że plagą XXI wieku nie będą choroby, wirusy grypy czy nawet nędza materialna, lecz coraz większa samotność pomiędzy ludźmi. Świat się skurczył, można w sekundę skontaktować się z Australią czy nawet Antarktydą, lecz ludzie wokół siebie coraz mocniej tracą sens otaczającego ich świata. Plaga osamotnienia, braku sensu. Nie ma chyba tygodnia, żebym nie spotkał się z przypadkami samookaleczeń, prób samobójczych, depresji, utraty sensu życia, patrzenia na świat nie z odwagą, lecz ze strachem, lękiem. Dziewczynę dopadła depresja już w piątej klasie podstawówki, rano nie ma siły wstać z łóżka. Dwa dni temu spotkałem chłopaka w wieku 13 lat z głęboką psychozą, boi się wychodzić z domu. Jeśli z naszego życia zostanie wyparty Duch Boży, który polega na wdzięczności za masę dobra, które nas w życiu spotyka, wdzięczności za ludzi, którzy są dla nas pomocą, wsparciem – czasem trudnym – to pojawia się duch melancholii.

Siostra Emmanuella, francuska zakonnica, zamiast udać się na emeryturę, wyjechała do Kairu, gdzie pracowała w najbiedniejszych dzielnicach z tzw. gałganiarzami. Miała ona powiedzenie: „Naprzód”, a nienawidziła słowa „Stop”. Kiedy zaproszono ją na scenę, wobec kilkunastotysięcznego audytorium konferansjer spytał ją: „Czego siostra chce?”. Wyprostowała się jak struna i odrzekła: „Rewolucji”.

Rewolucja w sensie Pawłowym polegałaby na tym, że wszystko, co nas spotyka, umielibyśmy przyjmować jako dar i potrafilibyśmy się tym dzielić. Jak pisze Paweł, cytując słowa przypisywane Jezusowi, które nie znalazły się w Ewangelii: „Więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu” (Dz 20,35). Z kolei Tomasz z Akwinu, mądry dominikanin, miał zasadę: „Dając innym, tak naprawdę uszczęśliwiamy samych siebie”. Wszystko, co dajemy innym, dajemy sobie samym.

*Andrzej Miłkowski**

UWOLNIŁEM SIĘ OD WŁASNOŚCI**

Jestem inżynierem budowlanym, małżonkiem, mam troje już dorosłych dzieci. Firmę założyłem w 1986 roku. Już w latach 70. poznałem Ruch Focolari, którego duchowość mnie zafascynowała. Włączyłem się do wspólnoty Ruchu, w której z czasem odkrywali swoje miejsce pozostali członkowie rodziny.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem się z ideą ekonomii komunii, ta propozycja nowego sposobu prowadzenia firmy spotkała mnie w trudnej ówczesnie sytuacji finansowej i zdawała się być szansą zarówno dla mnie jako formalnego właściciela firmy, jak i dla niej samej.

W jakich okolicznościach narodziła się idea ekonomii komunii?

Na początku lat 90. Chiara Lubich, niedawno zmarła założycielka katolickiego Ruchu Focolari, wybrała się w podróż do Brazylii w odwiedziny do tamtejszej wspólnoty Ruchu. W tym kraju napotkała uderzające dysproporcje. Fawele, czyli dzielnice nędzy, które zwiedziła, ostro kontrastowały z bogactwem innej części tamtejszych społeczności. Wtedy

* Andrzej Miłkowski – inżynier, członek Ruchu Focolari, prywatny przedsiębiorca mieszkający na Śląsku, właściciel Biura Projektowo-Konsultingowego Complex-Projekt, praktykujący ekonomię komunii.

**Tekst konferencji zamówiony przez organizatora, nadesłany i odczytany w trakcie sympozjum.

– bez wątpienia była to jakaś głębsza inspiracja – narodziła się idea ekonomii komunii. Na bazie tamtego doświadczenia zrodziła się myśl, że przedsiębiorcy prowadzący różnego rodzaju działalność powinni inaczej spojrzeć na sprawę podziału zysku swoich firm. Spontanicznie podzieliła się nią z miejscową wspólnotą focolarską, a ludzie od razu to podchwycili. Wykorzystując łączność satelitarną, nasza wspólnota rozsiana w świecie uczestniczy w comiesięcznym spotkaniu satelitarnym tzw. *collegamento* – tą drogą wszyscy równocześnie dowiedzieli się o tej idei. W następnych latach spontanicznego rozwoju zaczęła być przedmiotem studiów i pogłębianej stale praktyki.

Co stanowi jej sedno?

Właściciele firm, którzy podejmą decyzję, by prowadzić biznes zgodnie z zasadami ekonomii komunii, dzielą zyski na trzy części – nie muszą one być równe. W kwestii ich wielkości każdy właściciel jest w pełni suwerenny. Rozstrzygnięcie winno zapaść we własnym sumieniu: jaką część zysku powinno się przeznaczyć na dalszy rozwój firmy, jaką – na bezpośrednią pomoc ubogim i potrzebującym, a jaką – na rzecz formacji ludzi w duchu kultury dawania. Istota całej idei leży w tym, żeby ludzie byli odpowiednio uformowani, w głębokim tego słowa znaczeniu, tak aby swoimi wyborami wcielali w życie uniwersalny system wartości, który pozwala dbać o dobro wspólne. Dla człowieka wierzącego będą to wartości ewangeliczne, dla innych – wspólne wartości uniwersalne. Fundamentem życia zasadami ekonomii komunii jest – mimo świadomości, że jesteśmy ludźmi słabymi – konsekwentne zmaganie się ze swoją słabością i życie zgodne z wartościami. Dzięki oparciu na nich zarówno życia osobistego, jak i relacji ze współpracownikami, w firmie odczuwa się dobry klimat, tak istotny w pracy.

Jaka była moja droga do przyjęcia innych zasad prowadzenia biznesu?

Każda poważna decyzja zachodzi w sumieniu człowieka i podejmowana jest wobec Boga. Do jej podjęcia potrzebowiałem kilku lat. Przedsiębiorstwo prowadziłem od 1986 roku, idea ekonomii komunii powstała na początku lat 90., a moja przygoda z nią rozpoczęła się ok. 1996 roku. Poprzedziły ją prawie trzy lata dojrzewania. Musiałem przejść wewnętrzną weryfikację, bo czułem, że na przeszkodzie stoi moje przywiązanie do własności, od którego musiałem się uwolnić. Bez tego nie można inaczej spojrzeć na swoją firmę, która odtąd ma nowego „Właściciela z Góry”, a ja staję się jedynie zarządcą. To wolność od posiadania otwiera każdego człowieka, pozwala dostrzec możliwości dzielenia się, a nie tylko gromadzenia dla siebie. To uczucie wolności od posiadania nie jest dane raz na zawsze, ale ponieważ ma wymiar duchowy, wymaga też duchowej pielęgnacji.

W moim doświadczeniu fundamentem dbania o tę wolność są niewątpliwie uniwersalne wartości ewangeliczne, którymi na moją małą miarę staram się żyć na co dzień. Doświadczam każdego dnia, jak ważna jest wierność im w sposób jednoznaczny, przejrzysty i bez żadnych wyjątków. Ta konsekwentna postawa, mimo że realizuje się bez słów, sprawia, że nie spotykam się z dwuznacznymi propozycjami z jakiegokolwiek strony. Kluczem do działań na co dzień jest wierność zasadom i osobista modlitwa. Z perspektywy czasu zadaję sobie pytanie, jak to się dzieje, że nie mówiąc partnerom w biznesie o swoich wyborach i wartościach, jestem w tych ostatnich jakby „odczuwany” i akceptowany. Dochodzę do wniosku, że kluczową sprawą jest „być”, a nie „mówić”. Wtedy wiele samo się rozwiązuje.

Czy próba życia wartościami uniwersalnymi wewnątrz firmy, z władnymi, jest równie istotna?

Postawa „raczej być niż mówić” według wyznawanego systemu wartości jest podstawową wyznawaną przeze mnie zasadą i wymaga praktykowania jej w stosunku do każdego współpracownika niezależnie od stanowiska, jakie zajmuje. Każdy w firmie, będąc inną osobowością, oprócz uznania potrzebuje czasem spokojnie wypowiedzianego słowa prawdy, ona bowiem w dalszej konsekwencji oczyszcza i sprzyja rozwojowi. Jak każdy człowiek nie jestem ideałem. Przeżywam także chwile zdenerwowania i emocji. Ale wiem, że trzeba szybko wracać do równowagi. Często wystarczy proste słowo „przepraszam” oraz cenna cecha, jaką jest wybaczenie i niepowracanie do spraw raz wyjaśnionych. Doświadczyłem już tego niejednokrotnie, że wtedy to ewangeliczne zdanie: „a cała reszta będzie wam przydana” (por. Mt 6,33) realizuje się i corocznie doświadczam, że mam się czym dzielić.

Co ze sposobem postrzegania konkurencji? Czy także w tym przypadku ekonomia komunii oferuje odmienną perspektywę?

To ciekawe, jak pewne rzeczy w mojej firmie się zmieniły. Zajmujemy się bardzo specjalistyczną dziedziną – projektowaniem dróg i mostów. Od kilkunastu lat realizujemy projekty o najwyższej skali trudności, jakimi są autostrady. Dwa projekty są już w zaawansowanej fazie realizacji, a trzeci, największy, ruszy za parę miesięcy. W tym obszarze wszystko zaczęło się od inspiracji ewangelicznej i z zadziwieniem nieustannie doświadczam jej owoców. Patrzenie na konkurentów jako „zawodowego wroga” nie pasowało mi do idei życia zgodnego z wartościami uniwersalnymi, za które uważam te zawarte w Ewangelii. Trzeba było to spojrzenie zweryfikować. Już na początku moich doświadczeń z ekonomią komunii zacząłem – myśląc o możliwych formach współpracy – proponować konkurentom wspólny start w przetargach. To zaczęło się powoli udawać. Obecnie

współpracuję z innymi firmami z tej samej branży, występując w konsorcjach jako partner lub nawet jako lider. Nasze wzajemne postrzeganie siebie zasadniczo się zmieniło – powstały zręby zawodowej przyjaźni. Inni przedsiębiorcy z branży nie wiedzą o tym, jakie motywy mną kierują, bo nie jest istotne, żebym o tym mówił. Ważne jest praktyczne działanie, u podstaw którego leży ta duchowa inspiracja.

Czy zmienił się sposób patrzenia na samego siebie jako właściciela i szefa firmy?

Tutaj nastąpiły zmiany, które są dla mnie kluczowe. Już nie czuję się tak „po ludzku” właścicielem tej firmy, gdyż wierzę, że Ktoś z wysoka czuwa nad nią. Gdy duchowo uwolniłem się od własności, jest we mnie dużo więcej spokoju i pokoju, mniej napięć. Oczywiście, prowadząc firmę, nie da się ich całkowicie pozbyć, ale teraz mają one inny wymiar. Podejrzewam, że jeśli nie miałbym takiego podejścia do swojego przedsiębiorstwa, byłbym bardzo znerwicowany. Zdecydowanie poszerzają się teraz granice wolności wewnętrznej. Ma to niewątpliwie wpływ na trafność podejmowanych w miejscu pracy decyzji.

Zmieniło się spojrzenie na firmę. Człowiek wie, że trzeba wciąż ją doskonalić, gdyż teraz zobowiązuje go do tego coś więcej. Postępując w imię wspomnianych wartości, w naturalny sposób dąży się do doskonalenia relacji międzyludzkich. Myślę, że moi pracownicy odczuwają, że w naszej firmie jest inaczej, dobrze się tu czują. Nawet jeśli z jakichś powodów zmieniają pracę, zawsze podkreślają, że tu było im dobrze. Jednocześnie przynosi to ewidentne, wymierne korzyści – firma ciągle się rozwija, zwiększyliśmy liczbę pracowników (teraz pracuje u mnie 70 osób, a kilkanaście lat wstecz było nas ok. 15). Zawsze wygrywamy tyle przetargów, ile trzeba, tj. tyle, żeby ludzie mieli godną pracę i mogli podołać zobowiązaniom. To wszystko wynika i ma swoje oparcie w wielu zdaniach, które zapisano na kartach Ewangelii 2000 lat temu. To tam znalazłem słowa zachęty, aby wkładać swoje ciężary na barki Boga i to codziennie czynię.

To tam znajduję słowa: „Starajcie się najpierw o Królestwo Boże, a cała reszta będzie wam dodana” (por. Mt 6,33), więc staram się i otrzymuję. Albo: „przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11,28) – tak więc codziennie przychodzę i, ku mojemu zdziwieniu, doznaję pokrzepienia. Tam, na tych kartach, jest klucz i rada na każdą chwilę, w jakiej przychodzi nam żyć.

Podsumowując, przyjęcie zasad ekonomii komunii daje zysk zarówno osobisty (w tym zdrowotny), jak i czysto zawodowy.

Czy firma jest pozbawiona trudności?

Nie jesteśmy pozbawieni napięć i trudności. Nie odczuwam, aby ubyło pracy. Szczególnie w mojej dyscyplinie zawodowej projektowanie dróg i mostów jest w całej swojej złożoności wysoce skomplikowane i nie się ze sobą zawodową odpowiedzialność za potencjalne skutki katastrof budowlanych. To jest niewątpliwie źródłem napięć. Kolejne źródło problemów to trudne i często mało realne terminy dla naszych prac, których przyczyną są, znane zapewne Państwu, powody związane z rokiem 2012. Z tej odpowiedzialności nikt mnie ani mojej firmy nie zwolni. Ale w tej rzeczywistości nie jestem sam. Jestem z moim „Szefem z Góry”, który mi nieustannie towarzyszy i przypomina Swoje słowa, określające zasady postępowania i wartości. One wprowadzają niezbędny dystans do spraw, pokój wewnętrzny i wynikający stąd spokój zewnętrzny, który udziela się innym. Tę trudną, codzienną rzeczywistość natychmiast „posyłam Wysoko”, co sprawia, że pojawia się przestrzeń wolności niezbędna dla podjęcia właściwych decyzji czy odpowiedzi, dlatego odczuwam zupełnie inny wymiar napięcia i emocji, który sprawia, że zachowuję swoje zdrowie na nienajgorszym poziomie. Ekonomia komunii w moim przekonaniu i doświadczeniu to świetny sposób na zdrowie.

Na przełomie ubiegłego i obecnego roku przeżyłem wyjątkowo trudne doświadczenie, związane z zabezpieczeniem kursu waluty, w której otrzymujemy zapłatę za nasze projekty autostradowe. Bank, w który je-

steśmy od kilkunastu lat, zasugerował nam całkowicie chybioną, jak się później okazało, propozycję, która skutkowałą comiesięcznymi poważnymi stratami finansowymi. Nie ustrzegłem się więc poważnego błędu, w którym mój bank ewidentnie mi „dopomógł”. Przez kilka miesięcy żyłem z uczuciem zaciskającej się pętli i z całkiem realną utratą płynności finansowej, co groziło najpoważniejszymi konsekwencjami. W tym trudnym okresie życie moje, zarządu firmy i moich bliskich było poddane wyjątkowej próbie. Po kilku miesiącach rozmów zarząd banku sam wyszedł z propozycją ugody na warunkach, które realnie pozwalały wyjść z poważnego kryzysu. Przeszedłem wówczas bardzo poważny kryzys zdrowotny – na to przynajmniej wskazywały natychmiast przeprowadzone badania rezonansem magnetycznym. Jednak powtórzone za kilka dni tej diagnozy nie potwierdziły. Objawy zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, nie pozostawiając śladu. Tak trudnego doświadczenia nie miałem w swojej ponaddwudziestoletniej działalności, doświadczyłem, więc niezwykłej pomocy z wysoka. Dla mnie, mojej małżonki i przyjaciół było to niezwykle mocne i nadzwyczajne dotknięcie miłosiernej miłości Boga. Dodam, że modlitwa do Jana Pawła II jest stale obecna w naszej rodzinie, a decyzja o ugodzie bankowej zapadła w dniu 2 kwietnia tego roku.

Jakie cele społeczne finansowane są z zysków firm działających według ekonomii komunii i jak praktycznie są one realizowane?

W Centrum Ruchu Focolari w Rzymie nad tą ideą pracują ludzie, którzy zajmują się organizacją i konkretną pomocą, tworząc projekty dla ludzi potrzebujących wsparcia w różnych regionach świata. Sami przedsiębiorcy nie mają w tym praktycznym działaniu swojego udziału – do nich należy rozwijanie firm oraz coroczne przekazywanie części zysku, którą szacują w swoim sumieniu. Cały system jest bardzo przejrzysty. Środki trafiają do Centrum Ekonomii Komunii, które się z nich rokrocznie szczegółowo rozlicza: ile wpłynęło, na co zostały przeznaczone itd. Oddając te pieniądze, wiemy, że zostaną wykorzystane dla osób szcze-

gólnie potrzebujących w różnych częściach świata. Realizowane są za nie zarówno działania doraźne (np. w przypadku pomocy ofiarom tsunami), jak i programy, które mają na celu pomóc poszkodowanym stanąć na własnych nogach. Nie chodzi przy tym o żadne rozdawnictwo, gdyż byłoby to niewychowawcze, ale np. zapewnianie dostępu do kształcenia czy działania mające na celu tworzenie nowych miejsc pracy. System wsparcia jest roztropny i cały czas się rozwija. Raz w roku spotykamy się w Rzymie, gdzie dyskutujemy o problemach, które rodzą się w związku z nową ekonomią, a przedsiębiorcy działający w różnych branżach dzielą się swoimi praktycznymi doświadczeniami. Ponadto kilku ekspertów o światowej sławie zaangażowało się w teoretyczne rozwijanie tej dziedziny ekonomii, że wspomnę tylko uznany autorytet, jakim jest profesor Stefano Zamagni z Uniwersytetu w Mediolanie.

Czy wiele osób udało się przekonać do tych ideałów?

W skali świata rozwój ekonomii komunii był początkowo bardzo spontaniczny i dość szybki, teraz trochę wolniejszy, ale zarazem jakby pewniejszy, dokonuje się z większą rozwagą. Na początku ludzie byli do tej idei bardzo zapaleni, rozpoczynali nowe przedsięwzięcia, jednak okazywało się, że brakuje im doświadczenia. Obecnie ekonomia komunii bazuje przede wszystkim na już istniejących przedsiębiorstwach, choć powstają i nowe, które chcą działać w tym duchu – są to zarówno spółdzielnie, jak i prywatne firmy. W krajach Ameryki Południowej przedsiębiorstwa powstają także w myśl zasady: „Mamy niewiele, ale jest nas wielu” i tworzą fundusz, żeby na bazie jego kapitału rozpocząć działalność i pracować zgodnie z ideałami Ruchu. A są one szersze niż tylko dzielenie się pieniędzmi – chodzi o myśl, że zysk nie jest celem samym w sobie, że należy dbać o jakość pracy oraz relacje między pracownikami.

Czy idea ekonomii komunii może przyciągnąć osoby, które nie mają silnej identyfikacji religijnej, lecz ich moralne intuicje są zgodne z wartościami Ruchu?

To, co mnie kiedyś silnie przyciągnęło do Ruchu, to jego szczególny charyzmat. Jest on realizowany na drodze współpracy i dialogu nie tylko wśród ludzi podzielających wartości chrześcijańskie, ale także z ludźmi innych wyznań, osiągając niespotykany gdzie indziej wymiar ekumeniczny. Idea jednoczenia się z drugim człowiekiem niezależnie od jego poglądów tak dalece się rozwinęła, że słowo „jedność” (dewiza Ruchu brzmi: *Aby wszyscy stanowili jedno*) zaczęło zobowiązywać także do prób poszukiwania tego, co wspólne z ludźmi niewierzącymi. Istnieje w Ruchu cała gałąź skupiająca takie osoby – nieposiadające łaski wiary, ale żyjące wartościami, z którymi się utożsamiają: sprawiedliwością, pokojem, braterstwem czy zwykłą uczciwością. Zawsze będą oni mieli swoje miejsce w Ruchu.

Jestem przekonany, że w przedsiębiorstwach prowadzonych zgodnie z zasadami ekonomii komunii jest wielu ludzi, którzy niekoniecznie są wierzący, ale którym są bliskie wartości uniwersalne i ich realizacja w codzienności. Ruch Focolari, zachowując niezmiennie swoją tożsamość katolicką, zawsze był otwarty na ludzi innych wyznań czy religii, a także na niewierzących – po to, żeby poszukiwać tego, co nas łączy. Tak piękna idea musiała prędzej czy później znaleźć swój wyraz na gruncie pracy zawodowej i biznesu.

*Andrzej Konopelski**

ZMIERZCH URODZONYCH SPOŁECZNIKÓW

Moje początki

Zacząło się już w szkole podstawowej. Przynależność do zuchów, a potem harcerzy ciągle zmuszała do wykonywania jakichś zadań. Były to lata 70.: czyny społeczne w soboty w szkołach, czyny pierwszomajowe, czyny harcerskie i czyny już w organizacjach wiejskich, takich jak Związek Młodzieży Wiejskiej. W tych czasach – w szczególności na wsi – żeby coś zrobić, trzeba było samemu się zaangażować, wyjść z inicjatywą, zwołać ludzi, zaproponować im, co jest do zrobienia i prawie w każdym wypadku to się udawało. Oczywiście, byli również przeciwnicy naszych pomysłów. Ta grupa ludzi nie musi czuć się zagrożona. Oportuniści byli, są i będą! Kiedy wieś chciała wyremontować świetlicę, by dzieci miały się gdzie spotykać, ludzie się zebrali i zaproponowali władzom gminnym, że wykonają to w czynie społecznym, gmina natomiast zakupi niezbędne materiały budowlane. W taki sposób na wsiach remontowano świetlice, kawiarnie, szatnie itp. i dzieje się to również dziś.

* Andrzej Konopelski – z wykształcenia ekonomista, z zamiłowania działacz społeczny, od 25 lat związany z LKS „Świt” Barnimie, od 12 lat przełożony Parafialnego Zespołu Caritas w Barnimiu. Za swoją pracę społeczną i charytatywną był wielokrotnie odznaczany medalami.

Moja późniejsza działalność

W poważną działalność społeczną zaangażowałem się w 1984 roku. Mając 19 lat, po ukończeniu czteroletniego liceum ekonomicznego podjąłem pierwszą pracę. W tym samym roku powstał Ludowy Klub Sportowy „Świt” Barnimie. Jako członek zarządu udzielałem się przy budowie boiska. Miejscowi rolnicy dali sprzęt i przez kilka dni pracowało 5–6 ciągników – wrywano korzenie, karczowano krzaki, przygotowywano teren. Pracowali zawodnicy i kibice, na brak rąk do pracy nie można było narzekać. Po wykarczowaniu terenu zrobiliśmy zrzutkę na zakup ropy do spychacza marki „Białoruś”, który równał nam teren. I tak pracowaliśmy krok po kroku poprzez orkę, bronowanie, wałowanie, aż do ręcznego siania trawy. Gmina przyznała dotację na zakup sprzętu sportowego, transport i opłatę sędziego.

W 1989 roku zostałem wybrany na prezesa klubu piłkarskiego. Do dziś nie wiem, jak to się stało. Nie rozumiem, jak 23-latek – młodzieniec bez doświadczenia – mógł zostać wybrany na taką funkcję, ale stało się. Barnimie nie tylko jako klub sportowy, ale w ogóle jako wieś było miejscowością specyficzną. Zawsze można było nakłonić kogoś do wykonania jakichś prac społecznych, np. przy szkole, świetlicy, kościele, klubie. W trakcie mojej 25-letniej działalności społecznej, w tym 20 lat prezesury w klubie piłkarskim, udało nam się wykonać wiele prac i inwestycji. Z braku środków finansowych na działalność sportową sortowaliśmy 30 ton ziemniaków (pracowali zawodnicy i kibice). Za zarobione pieniądze PGR dawał nam osinobusa do przewozu zawodników na mecz. Parę lat później, kiedy znowu brakowało funduszy na sport, podpisaliśmy z urzędem gminy umowę na pomalowanie dziesięciu przystanków autobusowych znajdujących się na terenie gminy. Wśród zawodników mieliśmy trzech malarzy, do każdej ekipy dorzuciliśmy po dwóch pomocników i kierowcę z transportem i kolejny raz społecznicy się sprawdzili. Wykonali swoją pracę, nie pobierając za nią zapłaty, a my zgodnie z umową otrzymaliśmy pieniądze na działalność klubu. O tym, że w tych latach nasz klub działał prężnie, niech świadczy fakt, że w ramach współzawod-

nictwa między klubami i organizacjami za 1989 i 1990 roku nasz klub zajął pierwsze miejsce w woj. gorzowskim (obecnie lubuskim), a w 1990 roku byliśmy 16. organizacją w Polsce.

Kiedy w 1995 roku nasza drużyna awansowała do klasy A, wymogiem PZPN było posiadanie szatni. Mieliśmy już projekt, zdobyliśmy pozwolenia na budowę, ale nie otrzymaliśmy dotacji, aby ją wykonać, więc rozpoczęliśmy działanie sposobem gospodarczym. Moj upór, nieustępliwość, a może też pragnienie spełnienia marzeń nie pozwoliły mi wycofać się i czekać na lepsze czasy. W pewnej instytucji burzono magazyn – z rozbiórki otrzymaliśmy 12 tysięcy cegieł. Działacze klubowi udali się do innych firm i instytucji w poszukiwaniu drewna na krokwie i więźbę dachową – udało się. Wzięliśmy się do roboty. Zawodnicy i kibice wyłali fundamenty, posadzki, w czynie społecznym wykonano również wiele prac wykończeniowych. A urząd gminy przez kolejne sześć lat przyznawał dotację na dokończenie inwestycji.

Z roku na rok liczba zapaleńców maleje. Przyczyną jest dziś pogoń za pieniądzem. Ludzi rozleniwia fakt, że w mieście można pozwolić sobie na wszystko: jest inwestycja, przetarg, firma wchodzi i buduje. Tymczasem ludzi mieszkających na wsi boli, że często to na ich barkach spoczywa powodzenie danej inwestycji. W naszym klubie jest kilku naprawdę prawdziwych społeczników, którzy potrafią dla niego pracować nawet w czasie urlopu wypoczynkowego. Nasi działacze wykonali 786 m ogrodzenia wokół boisk i 100 m barierek ochronnych. W ostatnim czasie z okazji 25-lecia klubu grupa zapaleńców podjęła się wykonania boiska bocznego i elewacji szatni.

Podsumowanie

Każdy człowiek ma jakąś pasję, hobby. Zapewne moja tak różnorodna działalność społeczna nie byłaby możliwa, gdyby nie ogromne wsparcie rodziny, która mnie nigdy nie zostawiła w potrzebie. Mam trochę czasu wolnego, mogę się spełniać, realizować, a piłka nożna to moja pasja.

Dlaczego to robię? Bo mi zaufano. Co mam w zamian? Uznanie, szacunek, radość z sukcesów drużyny, pochlebne artykuły w prasie lokalnej: „Głosie Szczecińskim”, „Kurierze Szczecińskim” i „Gazecie Lubuskiej”. Sam niestety nie mogę grać, ale służę drużynie od strony zaplecza. Jestem tylko człowiekiem, który organizuje prace, a ludzie zgromadzeni wokół sportu na wsi realizują je. W naszej społeczności wiejskiej są osoby, które udzielają się dla klubu, bo tu grają ich synowie. Ale są też tacy, którzy angażowali się w wiele prac przy urządzeniu świetlicy, kawiarni czy remoncie kościoła. Pracowali za „dziękuję”, „Bóg zapłać”. Za wysiłek, poświęcenie nagrodą bywa czasami dyplom uznania. Z perspektywy 25 lat jestem jednak przekonany, że ludzi oddanych sprawie, ludzi dobrej woli jest coraz mniej, dlatego myślę, że temat: „Zmierzch urodzonych społeczników” jest jak najbardziej trafiony.

Arkadiusz Więcko

ZMIERZCH SPOŁECZNIKÓW? WSPOMNIENIE O ANNIE KOWALEWSKIEJ*

Panią Anię kojarzyliśmy od lat z wakacyjnymi półkoloniami dla młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie, które rokrocznie przygotowywała na Wzgórzu Hetmańskim w budynku szkoły katolickiej przy ul. Orawskiej pod patronatem parafialnego oddziału Akcji Katolickiej i Caritasu. Szukając środków finansowych, kompletując kadre, odwiedzała przez okrągły rok różne parafie w Szczecinie, prowadząc agitację i zbiórki pieniężne. Docierały do nas także echa jej szerokiej działalności na polu krzewienia turystyki krajoznawczej i pielgrzymkowej. Była dla nas chodzącą encyklopedią wiedzy o Szczecinie. Nie miała łatwego życia osobistego. Jakby na pocieszenie słabi, potrzebujący byli jej najwierniejszymi przyjaciółmi.

Zdarzało mi się ją spotkać na rekolekcjach szczecińskich wspólnot „Wiara i Światło” czy mszach sprawowanych w tych wspólnotach – już nie jako społecznika, lecz osobę ładującą swoje „akumulatory” u boku ubogich, najsłabszych członków Kościoła. Lubiła ich towarzystwo.

* Swoją konferencję pani Anna Kowalewska wygłosiła na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie 21 listopada 2009 roku w ramach sympozjum „Za darmo nie na darmo” – niestety, organizatorom nie udało się zarejestrować tego wystąpienia. Niech to krótkie wspomnienie o Niej pozostanie formą uwiecznienia i zarazem podziękowania za jej ewangeliczny zapał! Anna Kowalewska zmarła w swoim domu 2 lutego 2010 roku.

Dopiero ostatniego lata, podczas jej autorskich półkolonii, mogłem zobaczyć z bliska, ilu ma wypróbowanych przyjaciół. Potrafiła dotrzeć do rodzin, które inni omijali dużym łukiem. Nie miała względu na osoby, wygody, tzw. dobre stosunki, gdy w grę wchodziła rodzina oczekująca wsparcia. Często były to matki czy nawet babcie, samotnie wychowujące głęboko upośledzone umysłowo dzieci.

Pamiętam ciągle poszerzaną przez panią Anię – ku irytacji zaangażowanych w jej dzieło wychowawców – listę uczestników półkolonii. Docierała tam, gdzie była potrzeba, bez kalkulacji. Nikomu nie potrafiła odmówić. W udzielaniu pomocy potrzebującym była zdeterminowana i skuteczna. Lubiła podejmować wyzwania. Zawsze stawiała po stronie serca, gotowa nawet z tego powodu ponosić konsekwencje formalno-prawnych uchybień. Człowiek i jego sprawa liczyły się dla niej najbardziej. To właśnie – moim zdaniem – wyróżnia „rasowego” społecznika.

Poznani przeze mnie na półkoloniach jej niepełnosprawni przyjaciele – Mariusz opiekujący się młodszym rodzeństwem, Robert mający na głowie schorowanego ojca i niezbyt zaradnego brata czy Piotrek wraz ze swoim licznym rodzeństwem – za panią Anią gotowi byli stanąć murem. Ona baczyła, by chłopcy ci mogli – poprzez wytyczone im pomocowe zadania – zapracować na materialną pomoc w postaci np. dodatkowych posiłków dla pozostawionych w domach członków swoich rodzin. To nie była jedynie skierowana w ich stronę pomoc materialna – ona była z nimi w zażyłych relacjach!

Nieraz zastanawiałem się, skąd u tej starszej i schorowanej kobiety tyle determinacji w działaniu na rzecz słabych, zachwytu nad pięknem naszego kraju i ludzi tu żyjących? Kiedy w listopadzie ubiegłego roku, zaproszona do poprowadzenia konferencji, pojawiła się na zamkowym sympozjum o bezinteresowności („Za darmo nie na darmo”), miała już lekarski wyrok śmierci. Miała podzielić się swoimi refleksjami na temat postępującego zaniku społecznikostwa, wszechobecności pytania: „za ile?”. Bez cienia lęku oznajmiła zebranym w Sali Księcia Bogusława, że

jest śmiertelnie chora na raka, co nie przeszkadza jej jednak trwać na posterunku, póki znajduje na to siły!

Odwiedzając panią Anię w jej domu dosłownie na łożu śmierci, zbudowany byłem ilością osób, które w tych trudnych dla niej chwilach udzielały jej wsparcia. Powiedziała mi wówczas, leżąc odwrócona na mniej dokuczliwym boku, że chyba zrezygnuje z etatowej opiekunki, bo po co ma płacić, kiedy tylu ludzi dobrej woli jest stale przy niej. U kresu swojego życia doświadczyła namacalnie, że czyny „za darmo” są „nie na darmo”, że ludzka bezinteresowność za życia rodzi wzajemność, wdzięczność, pragnienie kontynuacji! Były przy niej nawet takie osoby, których wcześniej dobrze nie znała.

Zapytana parę dni przed swoją śmiercią, skąd posiadała społecznikowską żyłkę, odpowiedziała bez namysłu: „To się przejmowało z rodzinnych przykładów. Mój dziadek był prawnikiem i systematycznie udzielał darmowych porad rodzinom ubogim. Ojciec zaś był inżynierem leśnictwa i w czasie wojny organizował akcje gaszenia wznieczanych przez Niemców pożarów lasów. Po wojnie opracował z potrzeby pasji zielnik Borów Tucholskich. Postawy najbliższych ukształtowały mój charakter”.

Będziemy pamiętać panią Anię jako niestrudzonego społecznika, przyjaciółkę osób ubogich, w sposób wyjątkowy miłującą ojczysty kraj.



W przerwie na kawę rozmawiają
od lewej: T. Stuetz, A. Więcko,
prof. dr hab. H. Samsonowicz



Dr K. Gorący i red. M. Adamowska,
„dobry duch” prasowy SZM



W kularach Sali Księcia Bogusława
w przerwie na kawę.



Redaktor „Więzi”, K. Jabłońska
w rozmowie z A. Chałubińską-Gonerko



Pierwsza sesja symposium II SZM,
od lewej: A. Chałubińska-Gonerko,
dr M. Wałejko, A. Więcko, T. Stuetz,
dr K. Gorący, dr P. Klimek, prof. dr hab.
H. Samsonowicz, B. Kropidłowska –
prowadząca



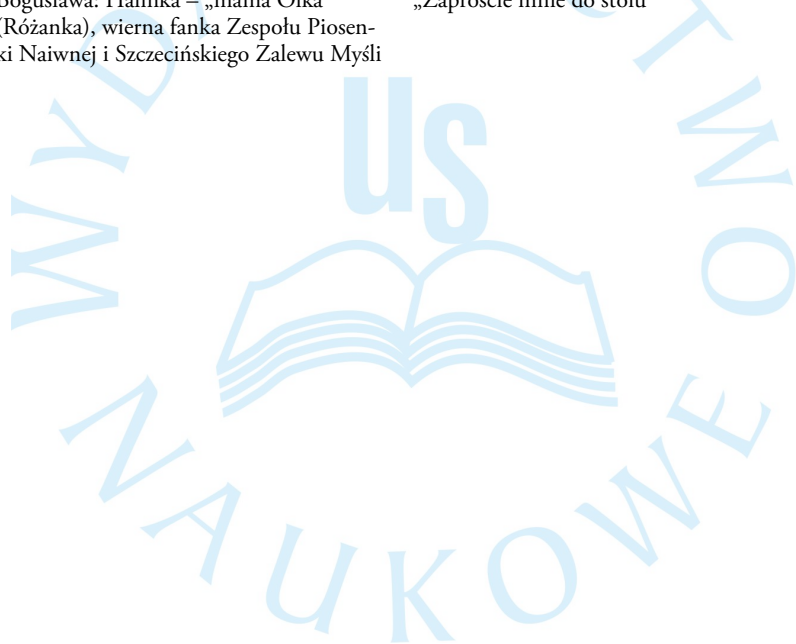
Prelegenci podejmowani obiadem przez
szefa restauracji Zamkowa



Przed koncertem w foyer Sali Księcia Bogusława: Halinka – „mama Olka” (Różanka), wierna fanka Zespołu Piosenki Naiwnej i Szczecińskiego Zalewu Myśli



Zespół Piosenki Naiwnej podczas koncertu „Zaproście mnie do stołu”



Rozdział 3

MAŁY KSIĄŻĘ

Ocalić dziecko w dorosłym



III Szczeciński Zalew Myśli

MAŁY KSIĄŻĘ Ocalić dziecko w dorosłym

26–28 listopada 2010 r., Zamek Książąt Pomorskich, Szczecin

Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu
A. Saint-Exupéry

Program

Piątek 26 listopada

Klasztor oo. Dominikanów, wstęp wolny

DEBATA OTWARTA¹ „Ile kosztuje wychowanie dziecka?” – z udziałem Stanisława Flejterskiego, profesora ekonomii i kierownika katedry finansów US oraz Olgierda Wojciechowicza, prezesa Stowarzyszenia Rodzin Katolickich w Szczecinie

¹ Relacja z przebiegu debaty, rozmowa z rodzicami dzieci utalentowanych, wystąpienie ks. R. Więckowskiego oraz panel dyskusyjny z udziałem publiczności są dostępne na stronie organizatora: www.fundacja-dom-rodziny.org.pl. Niestety, nie wszystkie konferencje udało się organizatorom zarejestrować.

Sala Anny Jagiellonki, Zamek Księżąt Pomorskich

SYMPOZJUM

Sesja przedobiednia: „Fenomen dziecka a dziecięctwo dorosłych”

Prowadzenie: dr Iwona Jazukiewicz, doktor pedagogiki, pracownik akademicki US

Otwarcie sympozjum – Arkadiusz Więcko, Fundacja Dom Rodzinny JAN-DRZEJÓWKA (dawniej: Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach)

1. „Jeśli nie staniecie się jako dzieci...” – Przed czym Jezus przestrzega nas, dorosłych? – dwugłos:
 - ks. Maciej Szmuc, dyrektor Caritas Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej
 - Małgorzata Wałęjko, doktor teologii, pracownik akademicki w Instytucie Pedagogiki US
2. Między dziecięctwem a zdziennieniem – Marcin Gajda, terapeuta, teolog, Bolechowo koło Goleniowa
3. Czego uczyć się od swoich dzieci? – Maria i Olgierd Wojciechowiczowie, rodzice trojga dzieci, Szczecin
4. Pytanie lepsze niż odpowiedź? Doniosłość dziecięcych pytań – Anna Bentyń, pedagog, Gniezno

Przerwa na kawę

Panel przedobiedni z udziałem publiczności

Sesja poobiednia: „Fenomen dziecka a dziecięctwo dorosłych”

Prowadzenie: dr Iwona Jazukiewicz

5. Dziecko obecne w akcie twórczym dorosłego artysty – dr Piotr Klimek, kompozytor, wykładowca na Akademii Sztuki w Szczecinie

6. Dziecko źródłem miłości, kiedy sił nam już brak – Katarzyna Ciesielska, matka dziecka z autyzmem, Szczecin
7. Uśmiechy dzieci niepełnosprawnych intelektualnie – artystów Pana Boga – Leszek Aleksander Moczulski, poeta, autor tekstów piosenek, m.in. Skaldów, Kraków
8. Dziecięce talenty – po czym poznać i jak wspierać? – rozmowa z rodzicami dzieci nieprzeciętnie utalentowanych muzycznie i matematycznie: Iwoną Kępistą i Dariuszem Pacionem, Szczecin
9. Stereotypy – choroba wieku dorosłego – ks. Robert Więckowski, doktoryzował się z filozofii w Stanach Zjednoczonych, rezydent w parafii Miłosierdzia Bożego w Szczecinie
10. Śladami Małego Księcia – najważniejsze jest niewidoczne dla oczu – Irena Ramik-Mażewska, doktor pedagogiki specjalnej, pracownik w Instytucie Pedagogiki US

Obiad dla prelegentów w restauracji Zamkowa

Panel poobiedni z udziałem publiczności: „Wokół konkursomanii i rywalizacji”

Imprezy towarzyszące:

WYSTAWA FOTOGRAFICZNA prac dziecięcych wykonanych przez grupę twórczą Quo Vadis pod opieką artystyczną Timma Stuetza – sala Anny Jagiellonki, Zamek Książąt Pomorskich

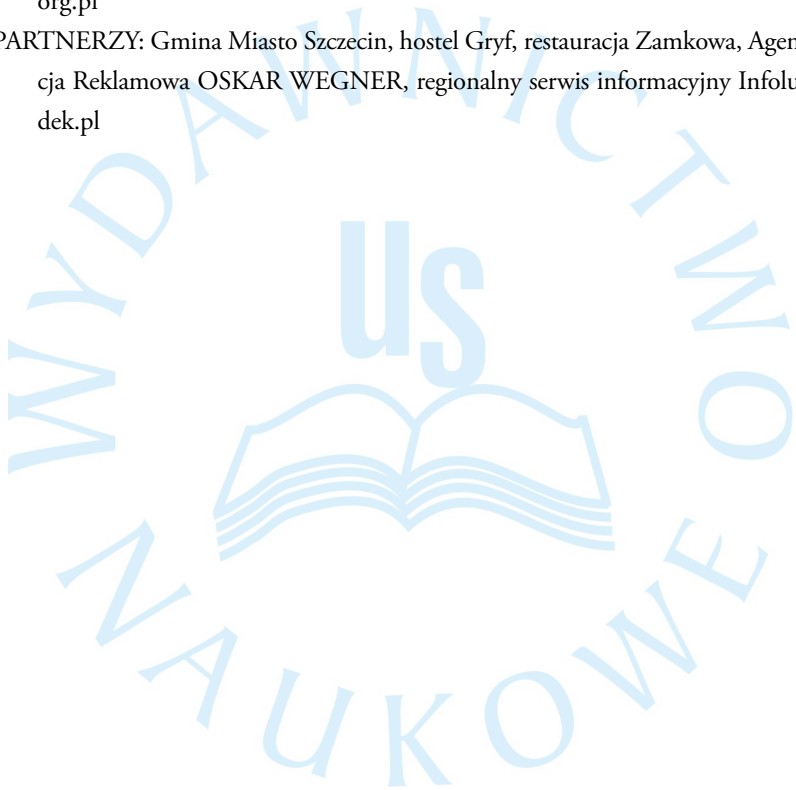
KONCERT *Pieśni Chwały* z cyklu „Zespół Piosenki Naiwnej i jego goście” z udziałem Julii i Marii Kępistych, Marcina Gajdy, chóru Deus Meus i przyjaciół ze Szczecina – kościół parafialny pw. Św. Krzyża w Szczecinie

SPEKTAKL TEATRALNY *Sobotnia Góra* (premiera) w reżyserii Ewy Żuk, przygotowany przez szczecińskie wspólnoty międzynarodowego ruchu „Wiara

i Światło” z udziałem aktorów niepełnosprawnych intelektualnie – sala widowiskowa ACK US (dawny Dom Marynarza)^{2**}

ORGANIZATOR: Fundacja Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (dawniej: Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach), www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl

PARTNERZY: Gmina Miasto Szczecin, hostel Gryf, restauracja Zamkowa, Agencja Reklamowa OSKAR WEGNER, regionalny serwis informacyjny Infoludek.pl



² Ten entuzjastycznie przyjęty spektakl powtórzono pół roku później na wynajętej scenie Teatru Polskiego w Szczecinie i zarejestrowano na płycie DVD *Spektakl „Sobotnia Góra” i recital piosenki naiwnej Grażyny Rosik* dzięki wsparciu finansowemu Urzędu Marszałkowskiego Woj. Zachodniopomorskiego i Gminy Miasta Szczecina.

Małgorzata Wałęjko

**„JEŚLI NIE STANIECIE SIĘ JAKO DZIECI,
NIE WEJDZIECIE DO KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO”.
PRZED CZYM JEZUS PRZESTRZEGA NAS,
DOROSŁYCH?***

Dobra Nowina dla słabych

Fragment, o którego skomentowanie zostaliśmy poproszeni z ks. Maciejem Szmućcem (Mt 18,3), jest Dobrą Nowiną dla wszystkich słabych. Przecież Chrystus, stawiając za wzór dziecko, miał niewątpliwie świadomość wielorakiej słabości tego wieku – zwłaszcza w ówczesnym Izraelu, gdzie nie cieszyło się ono godnością, prawami i szacunkiem. Nauczyciel nie mówi: „Jeśli się nie staniecie jak grzeczne dziecko, to najlepiej wychowane, ze złożonymi rączkami w kościele, niewinne”, ale po prostu: „jak dziecko”. Jakie? Które broi, bywa nieposłuszne, usiłuje przekraczać granice, niecierpliwie żąda wszystkiego natychmiast, u którego zwykle emocje górują nad rozumem, prowadząc do hysterii, które zachłannie chce dużo, jeśli nie wszystko i tylko dla siebie i które potrafi odpłacać złem za zło.

Pan Jezus musiał o tym wszystkim wiedzieć – zwłaszcza że w innych fragmentach Ewangelii przywołuje przykład „przymawiających”, krnąbr-

* Niniejszy tekst, pierwotnie wygłoszony na sympozjum III SZM (2010), po wprowadzeniu pewnych zmian został opublikowany jako felieton w książce autorstwa M. Wałęjko *Listy w butelce. 3 lata z 33* i zatytułowany *Do takich należy Królestwo*.

nych dzieci na rynku. Można więc śmiało wysnuć wniosek, że dziecko stawiane za przykład oznacza, że przynależna mu słabość nie jest dla Mistrza problemem, że On nie wyklucza i nie potępia słabych; słabość i skłonność do zła – atrybuty dzieciństwa – nie przeszkadzają w wejściu do Królestwa Niebieskiego.

To bardzo ciekawe. Nie słyszymy: „Jeśli się nie staniecie doskonali i wolni od zła...”, ale „Jeśli się nie staniecie jak dzieci”. Bóg dopuszcza słabość. Pozwala nam na słabość. Mamy prawo być słabi. Jest to więc zachęta do realizmu w myśleniu o sobie: do końca życia będzie w nas przecież ciemna strona, skłonność do zła. Zapewne coraz mniej, ale będzie. A po wtóre: słowa Chrystusa zachęcają do pogodnej akceptacji własnej słabości. Ona nie jest przeszkodą w wejściu do nieba. I w budowaniu społeczeństwa „głęboko ludzkiego”.

Świętość to pogodnie (i pokornie) przyjęta słabość

Refleksja nad istotą świętości pozwala dojść do wniosku, że utożsamianie świętości z doskonałością jest błędnym stereotypem. Doskonałość nie jest osiągalna. Świętością jest nie brak słabości, lecz sposób, w jaki na swoją słabość reagujemy. A możliwe są dwa – pierwszy jest zwykle właściwy osobom dorosłym, a drugi dzieciom.

Pierwszy sposób polega na zadręczaniu się swoim złem, upadkami i wadami. Nie umiemy ich sobie wybaczyć. Martwimy się, że dana wada wciąż powraca. Zaciskamy zęby, by ją wyeliminować, a porażka nas załamuje. Słabości zatem zniechęcają. Tego typu postawa skrywa pychę, czyli przekonanie i oczekiwanie, że jest się w stanie o własnych siłach wyzbyć słabości, stać się nieskazitelnym. Nie uznajemy się za człowieka nieodwracalnie słabego, ponieważ nie wierzymy, że Bóg mógłby nas takimi przyjąć.

Drugi sposób reagowania na swoją słabość, który możemy obserwować u maluchów, to nieprzejmowanie się nadmierne swoją słabością, nieobciążanie paralizującym poczuciem winy. Dziecko oswojone ze swoją

słabością nie boi się jej. Uznaje błąd, przeprosza i już. Skąd ta prostota? Z przeświadczenia, że ma nad sobą kogoś, kto zawsze przebaczy i pomoże, kogo miłość nie zależy od jego osiągnięć czy zachowania. Jednocześnie ma też świadomość, że jest zależne i niesamowystarczalne – że potrzebuje pomocy (nie ma z tym problemu!) i pozwala sobie pomóc. Jego bycie w hierarchii „na samym dole” nie oznacza bycia poniżonym, ale zaopiekowanym i bezpiecznym. Taka postawa to pokora. To prostoduszne uznanie, że „osobą, którą Bóg kocha czułością Ojca, nie jest osoba, którą chciałbym czy powinienem być. Jest to osoba, którą po prostu jestem” (Jacques Phillippe). Akceptacja swojej słabości nie oznacza bynajmniej chęci grzeszenia, lecz jedynie zachętę do tego, by nie być przytłoczonym swoimi słabościami i byciem grzesznym – bo w pewien sposób mamy prawo być ubogimi, czyli tymi, jacy jesteśmy naprawdę. A Bóg się nami nie gorszy. W Jego spojrzeniu jest zawsze zaproszenie do świętości, większego dobra i piękna, jednak to spojrzenie, jak pisze Phillippe, nie wzbudza nigdy lęku, że jeszcze tego nie osiągnęliśmy ani też presji, którą od czuwamy niekiedy pod spojrzeniem innych – że nie jesteśmy dość dobrzy.

Pan Jezus daje nam prawo do błędów. Można jednak się zaniepokoić, czy takie odkrycie nie spowoduje, że legniemy w lenistwie, nie będzie nam się chciało zmieniać, pracować nad sobą. Jest jednak wręcz przeciwnie! Czyż ktoś, kto zawiódł przyjaciela, zrobił mu świństwo, a usłyszy: „Nie musisz się zmieniać. Takiego właśnie cię kocham” – nie otrzyma naraz skrzydeł u ramion, by z całego serca na miłość odpowiedzieć miłością i poprawą?

Wspomniałam, że zaakceptowana w nas słabość jest drogą nie tylko do nieba, ale także do „społeczeństwa głęboko ludzkiego”, idei tak bliskiej organizatorowi spotkań na Zamku. Kto jest pogodzony z własną kruchą kondycją, oswojony ze swoją słabością, jest zawsze pełen wyrozumiałości i współczucia wobec innych słabych, nie ma w nim krztyny potępienia. Kto zaś swojej słabości nie toleruje, samodzielnie dąży do doskonałości, ten innych rozlicza bezwzględnie jak siebie, często niestety powołując się na autorytet Boga i Kościoła – z których miłosierdziem taka postawa nic wspólnego nie ma.

Zuchwałe branie

Następna cecha dziecięca, zresztą z poprzednimi powiązana, to bezpretensjonalna zdolność przyjmowania darmo. My, dorośli, bywamy skażeni kalkulowaniem typu „coś za coś”: na wszystko trzeba zapracować. Gdy coś cennego otrzymamy darmo, czujemy się nieswojo – niemal winni, jakbyśmy to ukradli. Momentalnie zagłuszamy te niewygodne odczucia przymusem odwdzięczenia się, wykazania się, zasłużenia, dowiedzenia, że jestem wart daru. Tymczasem maluchy czerpią, przyjmują – chciałoby się powiedzieć – bezczelnie. Przygotowując to wystąpienie akurat karmiłam piersią córeczkę: dziecko do pewnego momentu tylko bierze, nic (świadomie) nie dając – wysysa z mamy pokarm, żąda zabawy, obecności, czasu, spaceru i wie, że to wszystko jest dla niego. Tylko to, że jest, staje się wystarczającym tytułem do tego, że wszystko mu się należy. Poza tym ono... nie ma czym zapłacić.

W myśleniu religijnym utarło się, że to my musimy dawać dary Bogu – modlitwę, realizację przykazań i moralne życie. Wtedy będziemy święci, a Bóg będzie z nas zadowolony i będzie się do nas uśmiechał. Na ludzką miłość też chcemy zapracować i często każemy innym zapracować na naszą. Dzieci upośledzone, np. z zespołem Downa, są dzisiaj masowo usuwane w 12. tygodniu ciąży (gdy USG wykrywa już wady chromosomalne), ponieważ nie będą miały czym zapracować na naszą miłość – ani ładną buzią, ani inteligencją. Tymczasem Bóg kocha za nic, a słabych jeszcze tkliwiej. Wszakże jadał i świętował z grzesznikami, poszedł na obiad do złodzieja Zacheusza, zanim ten poczynił krok ku zmianie. A za wzór postawił nam pogardzane w Izraelu dziecko.

Być świętym i szczęśliwym oznacza zatem nie tyle dawać Bogu swoją doskonałość (tego nigdy nie zdołamy zrobić), ile łapczywie przyjąć miłość, która jest za darmo. Wkładać wysiłek w poznanie tej miłości – np. w Ewangelii, modlić się o to. Bezczelnie i zuchwałe wysysać z Boga pokarm. Ćwiczyć się w nierozpamiętywaniu własnych błędów. Przepraszam – i już. Bóg się cieszy, że nawet upadając jestem z Nim, a nie z tego,

że nie upadam. Zwłaszcza że można nie upadać, ale z Nim wcale nie być (jak faryzeusze).

Wtedy będziemy także darmo kochać innych – jak i sami poczujemy się kochani. Bóg zaspokoi nasz głód miłości do syta i nie będziemy już próbować żerować na innych.

Dziecięce bycie sobą

Naturalność jest kolejną cechą dzieciństwa, a wynika także ze świadomości i akceptacji własnej słabości. Nie udaję kogoś innego, nie kreuję swojego wizerunku. Jestem sobą, pokazuję słabość, nie ukrywam jej – ponieważ liczę na pomoc rodzica. Dorosły próbuje (musi) dać radę sam. Często udaje chłac, by inni go dobrze postrzegli. Merton pisze, że remedium na ten „element sztuczności” naszego dorosłego życia stanowi cisza i proste bycie w obliczu Boga. Cisza konfrontuje prawdę o mnie z fasadą. Dochodzę do czystego „bycia”, także „bycia sobą”.

Otwartość

Wspominałam już, że dziecko się łatwo nie zniechęca. Presja rozwoju zasilana siłą ciekawości każe wciąż postępować naprzód, mieć wciąż świeże spojrzenie. Ono pozwala się formować, ponieważ nie kosztuje w postrzeganiu świata, nie obudowuje się stereotypami i schematami. Nie ma uprzedzeń, ukrytych kryteriów, łatwości osądzania innych, ciasnych idei, bo „życie mnie już nauczyło”. Jest wolne od urazów, krzywd i niewiary w lepszy świat. Sądzę, że jest to zaproszeniem dla nas, by wciąż stać nas było na nowy wysiłek w pracy nad sobą, bez rozpaczki powodowanej przeszłością. Byśmy, bez nudy i rutyny, umieli być ciekawi świata, w którym wciąż czeka tyle do odkrycia.

Rezygnacja z kontroli

Dorosły żyje strachem o byt, o jutro, o karierę i sukces, zdrowie, majątek i bezpieczeństwo. Wiele energii traci na dreptanie wokół różnych dóbr, by nic nie stracić.

Dzieci są od tego wolne. One nie mają czego stracić, bo nic nie mają lub inaczej – nie czują, by coś miały. Pan Jezus zachęca nas w Ewangelii – i tutaj, mówiąc o dziecku, i w przypowieści o liliach na polu – byśmy porzucili usilne trzymanie sterów kontroli nad własnym życiem i troski o siebie. Nie chodzi tu o zarzucenie rozsądnego zapewnienia sobie tego, co do życia potrzebne, ale o niezamartwienie się, wolność od stresu, lęku i nadmiernego skupienia na sobie, zamiast na innych, przrzucenie trosk o dzisiaj i jutro na Boga.

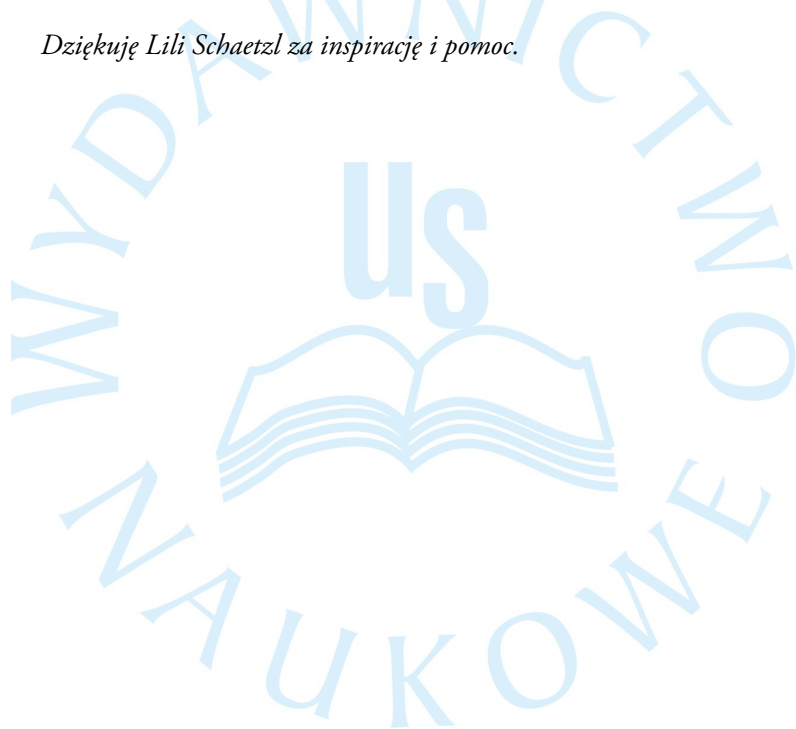
Dziecko nie próbuje kontrolować biegu wydarzeń i swego życia. Gdy rodzic mówi: „Chodź, idziemy” – chwytą dłoń i idzie. Bez pytań: „A czy to dobre dla mnie?”, „A czy nic mi się nie stanie?”, „A kiedy wrócimy?”. Po prostu idzie. Mamy więc jak dziecko przyjmować wydarzenia, jakie niesie strumień życia; z ufnością. Ono poddaje się wyborowi przedszkola, szkoły czy miejsca zamieszkania. Ufa, nawet gdy rodzinę spotykają dramaty. Myślę, że dla nas może być to lekcja zaufania Opatrzności, nawet gdy życie układa się inaczej niż myślimy, lekcja nietrzymania się kurczowo własnych pomysłów na życie, nieobrażania się, gdy dotyka nas trud.

Ufać bez granic – po co? Po pierwsze, by cieszyć się wolnością – radością i wewnętrzną swobodą. Słuchałam kiedyś w radio opowieści podróżnika, który zauważył, że dzieci w biednych dzielnicach Indii bawią się bardziej radośnie i bez troski niż mali Europejczycy. Ci ostatni przedwcześnie przejmują kontrolę nad swoim życiem i bytem. Reklama generuje im sztuczne potrzeby. Czują się nieszczęśliwi, gdy nie mają MP3 czy nowego modelu komórki. A dzieci w Indiach nie dbają nadmiernie o siebie – są nasycone drobiną chleba, obecnością mamy i możliwością zabawy. Po drugie: gdy nie będziemy angażować wszystkich naszych sił w obronę siebie, zachowamy wciąż przestrzeń w sercu na miłość bliźniego, bo nie będziemy skupieni na sobie, ale na innych.

* * *

O paradoksie – postawa dziecięctwa prowadzi nas ku dojrzałości, nie tylko ewangelicznej, ale także osobowościowej i psychologicznej. W kluczu duchowym wszystko sprowadza się do pokory i pychy. Dziecko nie ma w sobie skłonności do pychy, która jest korzeniem wszelkiego grzechu.

Dziękuję Lili Schaetzel za inspirację i pomoc.



*Maciej Szmuc**

**„JEŚLI NIE STANIECIE SIĘ JAKO DZIECI,
NIE WEJDZIECIE DO KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO”.
PRZED CZYM JEZUS PRZESTRZEGA NAS,
DOROSŁYCH?**

Pewnie wolelibyśmy usłyszeć, do czego Jezus nas wzywa, niż dowiedzieć się, na czym polegają kierowane do nas z Jego strony przestrogi. Skoro jednak temat zachowania postawy dziecka przez dorosłą osobę został w ten sposób ujęty przez organizatora sympozjum, nie pozostaje mi nic innego, jak się do tego odnieść. Słowa Jezusa: „Jeśli się nie staniecie (nie odmienicie) jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego” (Mt 18,3) spotykamy w Biblii – o dziwo – tylko jeden raz. Owszem, we wszystkich Ewangeliach pojawiają się słowa Jezusa: „...do takich należy Królestwo Niebieskie”. Zwraca On tu uwagę na potrzebę przemiany, nawrócenia. Daje temu wyraz choćby w zawartym w Ewangeliach sformułowaniu: „Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię”. W odniesieniu do kwestii nawrócenia bardzo często na kartach Pisma Świętego pojawia się rzeczownik *metanoia* lub czasownik *metanoa*, które oznaczają zmianę myślenia. Możemy postawić znak równości pomiędzy sformułowaniami: „zmiana myślenia” a „stać się jak dziecko”. Postawa dziecięcej ufności, darmowego przyjmowania miłości łączy się z jednoczesnym odrzuceniem

* Maciej Szmuc – ksiądz katolicki, dyrektor Caritas Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej, od czasów seminaryjnych przyjaciel wspólnot międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”, członek międzynarodowej Wspólnoty św. Idziego.

obludy, fałszu, uznaniem własnej słabości, niekompletności. Stać się dzieckiem to w rozumieniu człowieka dorosłego przeżyć *metanoię*, czyli zmianę myślenia. W cytowanym fragmencie z 18. rozdziału Ewangelii św. Mateusza wyrażenie „odmienić się” jest tłumaczone w Biblii Tysiąclecia z greckiego: *strefo*, czyli „odmienić się, nawrócić”. Pierwsze znaczenie tego słowa to jednak: „obrócić się, zwrócić się do kogoś”. Dlatego współczesny tłumacz, Piotr Wojciechowski, oddaje ten fragment z Ewangelii w ten sposób: „Amen. Jeśli nie zawrócicie i nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”. Zawrócić trzeba, gdy źle obierzemy drogę, uznamy, że dotychczasowa wiedza na manowce. Można też zawrócić, kiedy jakiś założony cel został osiągnięty, czyli kiedy ktoś do czegoś doszedł. W naszym codziennym języku sformułowanie „dojść do czegoś” oznacza bardzo materialne, konsumpcyjne podejście do życia. Inaczej będzie rozumiane przez dziecko, inaczej przez osobę dorosłą. Dziecko potrafi ucieszyć się z podarowanego mu lizaka, a dorosły chyba dopiero z fabryki lizaków. Jezus przestrzega nas, byśmy nie biegli na oślep, żebyśmy zawrócili z kursu ku sukcesowi, sile, niezależności. Upomina się o powrót dorosłych do tych wartości, z których nie można wyrosnąć.

Rozdźwięk pomiędzy światem dziecka a światem dorosłych zilustruję na przykładach funkcjonujących w języku przeciwieństw: biedny, niemający zasobów materialnych i bogaty; zależny i niezależny; głupi i mądry; uczący się i uczący innych; ten, który pyta oraz szuka, i ten, który już wie. Zwykle to dorosły ma pieniądze, decyduje, bo zarabia, wybiera, dysponuje także przeważającą siłą wobec kogoś słabego. Widzimy, że Jezus przestrzega dorosłych przed pychą. Dziecko jako istota zależna od dorosłego nie ma czym się pysznić. Jeśli sięgniemy parę wersetów niżej od cytowanego wcześniej tekstu z 18. rozdziału Ewangelii św. Mateusza, natkniemy się na taki fragment: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić w głębinach morza” (18,6). Mocna to przestroga Jezusa kierowana do dorosłych, którzy czyniliby zgorzenie wobec dzieci, doprowadzając je do grzechu. Jeśli sięgniemy do etymologii greckiego

słowa *skandaliso*, przetłumaczonego na język polski jako „zgorzenie”, zobaczymy, że pierwotnie znaczyło ono „spowodować, że ktoś wpadnie w pułapkę”. Pułapka, w jaką dorośli nieustająco wpadają, to konieczność bycia zawsze na właściwym miejscu, zawsze doskonałym, zgoda na funkcjonowanie w takich relacjach, gdzie ten, który płaci, zarazem wymaga, a kiedy otrzymuje coś w darze od drugiego, musi się niezwłocznie mu odwdziżyć. Pułapki pseudodorosłości należy z oczywistych względów demaskować i temu m.in. służy to nasze zamkowe spotkanie.



*Marcin Gajda**

MIĘDZY DZIECIĘCTWEM A ZDZIECINNINIEM

Skupimy się na takim znaczeniu słowa „zdziecinnienie”, w którym nie będziemy mieli na myśli procesu demencji człowieka wcześniej dojrzałego i zintegrowanego, ale taką postawę intelektualną, emocjonalną, którą ktoś przybrał w wyniku specyficznego mechanizmu obronnego umożliwiającego uniknięcie niekorzystnych dla siebie okoliczności życiowych.

Dziecięctwo jest pojęciem bardziej miękkim, subiektywnym, wywodzącym się z duchowości chrześcijańskiej, kultury judeochrześcijańskiej. Przez dziecięctwo rozumiem pewną pozytywną wartość, postawę, którą dorośli niesie przez życie i która czyni go człowiekiem dojrzałym. Zdziecinnienie to z kolei sytuacja dorosłego, w której może się on znaleźć poprzez swój infantyлизм, brak rozwoju. Zdziecinniały dorośli przyjmują postawę lękową wobec świata, znajdując sobie taką przestrzeń życiową, w której nie musi podejmować wyzwań, które świat dorosłych przed nim stawia.

Musimy uważać w naszej dyskusji, aby dzieci nie stawiać w opozycji do dorosłego w takim znaczeniu, że każdy z nas powinien jednak wyraść z wieku dziecięcego ku dorosłej dojrzałości. Chcemy uniknąć takiego

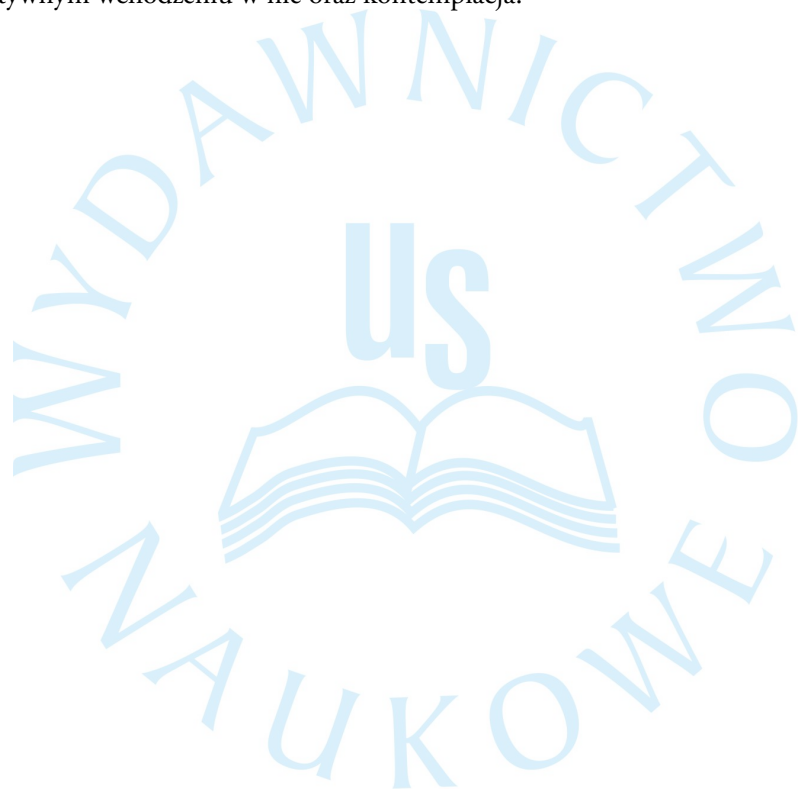
* Marcin Gajda – mieszka w Bolechowie k. Goleniowa, lekarz i teolog, terapeuta, on i jego żona Monika są autorami książek poświęconych wychowaniu oraz rozwojowi duchowemu, prowadzą działalność rekolekcyjną i terapeutyczną. Więcej można znaleźć na stronach: www.gajdy.pl oraz www.przyjacielemm.pl.

przeciwstawienia, które każe nam w dziecku dostrzegać same dobre rzeczy, a u dorosłego jedynie jego wady i słabości.

Zdziecinnienie w opozycji do dziecięctwa czy też zdziecinnienie jako karykaturę dziecięctwa przedstawia tabela:

Zdziecinnienie	Dziecięctwo
Postawa ucieczkowa, neurotyczna, związana z lękiem (który jest wyparty), radykalnie zatrzymująca w rozwoju, ponieważ jest związana z unikaniem wszelkiego trudu i cierpienia (bez zgody na cierpienie nie ma szansy na rozwój, kryzys jest zaproszeniem do rozwoju)	Pełna integracja, stan wolności, przede wszystkim wolności od siebie samego – brak lęków wizerunkowych
Osoby zdziecinniałe trafiają do gabinetu terapeuty z powodów zaburzeń emocjonalnych i trudności w relacjach, ale na bardzo krótką chwilę, bo nie są w stanie znieść trudu rozwoju i nie mają wglądu w siebie. Życie wyłącznie dla przyjemności	Osiągane na drodze wglądu i twórczego przeżywania kryzysów – rozwój permanentny związany z odyskiwaniem wolności wewnętrznej. Życie dla radości z małych rzeczy
Brak głębokiego przeżywania rzeczy – brak wglądu i zrozumienia świata i ludzi	„Rzeczy są dla nas takimi, jakimi je przeżywamy”, brak lęków egzystencjalnych związanych z fundamentalnym zaufaniem, że wszystko, co mnie spotyka, może mi służyć
Neurotyczność i niedojrzałość – często zależność wobec rodziców lub opiekunów	Integracja – podmiotowość, dziecięctwo wobec życia, świata, jakkolwiek pojmowanego Boga
Religijność związana z lękiem, będąca formą przesądu	Wiara związana z zaufaniem
Niezdolność do wchodzenia w głębokie i trwałe relacje (izolacja lub zawieszanie, klejenie)	Suwerenność jako postawa umożliwiająca dojrzałe wchodzenie w relacje
Nierozdzielenie „ja” od uczucia, definiowanie siebie według uczucia, działanie „na uczuciu”	Umiejętność oddzielenia „ja” od tego, co „ja czuję”
Brak dostępu do własnej wartości, a więc niepewność lub arogancja	Dostęp do własnej wartości, która jest odbierana jako „nieskończona” i niezależna od „wyjdzie mi – nie wyjdzie” lub „co ludzie pomyslą”.
Lęk, często ukryty, a więc przemoc, agresja, prostactwo	Łagodność i prostota
Brak poznania, bezrefleksyjność, nieprzytomność, odrzucanie	Poznanie kontemplacyjne, otwartość umysłu, zdziwienie każdego dnia, przyjmowanie, afirmacja
Lęk przed innymi, ksenofobia	Fundamentalne zainteresowanie odmiennością drugiego człowieka
Brak aspiracji – myślenie życzeniowe, życie fantazjami	Wszechmoc wynikająca z zaufania – nieograniczanie swoich możliwości

Pomiędzy osobami dziecięcinnymi a dzieciństwem jest cały świat osób „pomiędzy” – tych jest najwięcej. Przesuwanie się od dziecięcinnienia (infantylności) ku dzieciństwu umożliwiają: wgląd w siebie, praca nad sobą polegająca przede wszystkim na nieunikaniu sytuacji trudnych i aktywnym wchodzeniu w nie oraz kontemplacja.



*Piotr Klimek**

DZIECKO OBECNE W AKCIE TWÓRCZYM ARTYSTY

„Wszyscy dorośli byli kiedyś dziećmi, choć niewielu z nich o tym pamięta”. Ta myśl Małego Księcia towarzyszy mi przez całe życie zawodowe. Sam nigdy nie byłem dynamicznym dzieckiem. Archetypy postaci takich jak Emil ze Smalandii, Pippi Pończoszanka albo Tolek Banan były mi w dzieciństwie zupełnie obce, byłem bowiem dzieckiem zatopionym w książkach, stroniącym od gry w piłkę na podwórku, uciekającym z salonu podczas emisji filmu wojennego, kiedy słychać było odgłosy strzałów – taki stary maleńki. Mówię o tym Państwu, by zburzyć na samym wstępie tezę o mojej domniemanej tęsknocie za awanturniczą młodością, bo takowej nie było. Miałem wspaniałe, spokojne dzieciństwo, żadnych traum, żadnych rozstań, mnóstwo miłości. W swoim życiu dorosłym nie potrzebowałem rekompensować dzieciństwa – miałem je we właściwym czasie.

W życiu dorosłym i w roli artysty przyszło mi stanąć oko w oko przed najokrutniejszym i najszczerzym z widzów w teatrze dziecięcym. Moją metodą na podjęcie dialogu i utrzymanie uwagi oglądającego do końca spektaklu była konieczność odszukania samego siebie sprzed kilkudziesięciu laty. Dziecko zderzone z niedociągnięciami w realizacji teatralnej powie bez ogródek, że to jest nudne albo po prostu brzydkie. Moja trzy-

* dr Piotr Klimek – absolwent Królewskiego Konserwatorium w Hadze, autor muzyki do kilkudziesięciu spektakli teatralnych dla dzieci, twórca kompozycji klasycznych i rozrywkowych, wykładowca w Akademii Sztuki w Szczecinie.

letnia córka czasami mówi: „Nie podoba mi się”. Zazwyczaj zniechęcenie w obcowaniu dziecka ze sztuką objawi się tym, że o wiele wcześniej niż zwykle oznajmi: „Chce mi się siusiu” albo zapyta nas w połowie kluczowej sceny: „Tato, kiedy będą reklamy?”. To są te chwile, kiedy mały odbiorca wyciąga tępy, ogromny miecz teatralnej krytyki, wymierzając go prosto w serce każdego twórcy. To oznacza, że my, dorośli twórcy, nie zdaliśmy egzaminu przed dziećmi. Każdy z artystów tworzących dla dzieci pragnie na premierze nowej sztuki usadowić się nie w pierwszym rzędzie, ale gdzieś pod koniec widowni, aby móc czynnie odbierać jej puls, wsłuchać się na gorąco w dziecięce reakcje. Podczas przerwy w spektaklu dopytujemy młodych widzów o ich opinie i oczarowania.

To jest doświadczenie dalekie od odbioru sztuki przez osoby dorosłe. Odbiór sztuki przez tych ostatnich jest bardzo przefiltrowany maską, pozą, kostiumem uczestnictwa w czymś, co z założenia ma być albo udane, albo wysokie, albo bardzo ambitne. To uczestnictwo silnie podyktowane naszą maską, którą założyliśmy na czas odbioru sztuki tak, że – wyłączając zawodowych krytyków, którzy potrafią „obsmarować” każde dzieło artysty – nie możemy wyjść poza schemat poprawnej oceny. A jeżeli nawet zdobędziemy się na szczerość, to bardzo trudno odróżnić nam szczerą wypowiedź osoby, która mówi nam to, co naprawdę myśli, od tej wykrzywionej przez takt i dyplomację.

Mój pierwszy spektakl opracowywałem muzycznie w 1991 roku. Jako młody kompozytor popełniłem wówczas wszystkie możliwe błędy, na jakie może się zdobyć właśnie nowicjusz, tworząc muzykę dla dzieci za pomocą maksymalnie naiwnych i dziecięcych środków wyrazu. Skutek był taki, że dorośli widzowie byli zachwyceni, a zapytane o to samo maluchy nie miały zielonego pojęcia, że w oglądanym przez nie spektaklu była jakakolwiek muzyka. Dziś wiem, że poważne, dorosłe traktowanie dziecka w teatrze jest podstawowym warunkiem szczerego dialogu z małym widzem. Autentyczna próba odnalezienia dziecka w sobie przed procesem twórczym oraz konsekwentny dialog z nim jest niezbędnym. Praktykuję to czasami przez autocytat, czasami przez obserwację dzieci swoich lub

moich przyjaciół, a najczęściej przez uczciwy dialog wewnętrzny. Spół, w jaki podchodzimy jako artyści do dziecka – sepleniąc, zdrabniając słowa, nakładając gombrowiczowską „pupę” – przypomina sytuację, w której Polak z Niemcem próbowaliby dojść do porozumienia, uciekając się wyłącznie do stereotypów narodowych. Niemiec upiłby się wódką i ukradł samochód, a Polak założył krótkie spodenki, kapelusik i trzymając kufel w ręku, zaczął jodłować. To jest ta forma dialogu z małym dzieckiem, w którym robimy śmieszne, kolorowe rzeczy, próbując stać się dziećmi wyobrażonymi, zamiast potraktować je jako równorzędnych partnerów do rozmowy.

Drugim niezbędnym warunkiem jest **sam proces tworzenia, który winien dostarczać artyście tyle radości, tyle zabawy, ile w założeniu chce on dostarczyć swojemu odbiorcy**. Innymi słowy, jeżeli cierpię i męczę się podczas pracy nad piosenką, spektaklem teatralnym, ilustracją muzyczną, to owo cierpienie przełoży się co najmniej na obojętność mojego odbiorcy – o ile nie dojdzie do głosu zniecierpliwienie czy wręcz niechęć do dzieła artysty. Odkryłem to z grupą muzyków, z którą współpracuję od lat: o ile sami nie bawimy się świetnie, jeżeli nas samych ta muzyka „nie kręci”, jeżeli nie słuchamy jej potem sobie w samochodzie, jeżeli nie dorzucamy nowych pomysłów następnego dnia i nie zostajemy dłużej niż zaplanowaliśmy, bo „fajnie nam idzie”, jeżeli nie ma energii w trakcie procesu twórczego, to nie ma szans na to, by nasz odbiorca odczuł na scenie choćby ułamek tego, co działo się uprzednio w studio. Widząc muzyka, który dobrze się bawi, pamiętajmy, że jest to elementem jego pracy i warunkiem dobrej zabawy słuchacza. W innym przypadku cierpienie twórcy przekłada się na cierpienie odbiorcy.

Trzecią równie istotną sprawą, towarzyszącą w procesie twórczym, jest **otwarcie na dziwaczność**. Jesteśmy mocno skupieni na swoich kulturowych przyzwyczajeniach, na tym, jak powinniśmy się zachowywać, wyglądać, co wolno, a co nie uchodzi. Gdy te granice niewłaściwości zachowań są u dorosłych daleko przesunięte, tracą oni zdolność porozumienia z dziećmi. Im bardziej usztywniamy się w porządnym zachowaniu,

tym bardziej zaczynamy być niezrozumiali dla dzieci. Im „grzeczniejszy” jest spektakl teatralny realizowany dla nich, tym szybciej dzieci pytają: „Kiedy będą reklamy?”. Im bardziej jest dziwaczny, nietypowy w odniesieniu do zachowań codziennych, tym bardziej jest rozumiały i zwracający ich uwagę. Przełamywanie „podszyca dorosłym” – w rozumieniu gombrowiczowskim – w spotkaniu z dzieckiem jest warunkiem koniecznym, by dzieło artysty stało się przez nie przyswajalne.

Przy okazji przygotowywania się do tej konferencji odkryłem jeszcze inny poziom świadomości wewnętrznego dziecka w dorosłym, tego **„dziecka we mnie”, które się dobrze bawi**, kiedy ja tworzę z myślą o innych dzieciach. To jest poziom, który przezuwałem i którego się jednocześnie obawiałem, dopóki nie odkryłem, że w kontakcie ze swoimi dziećmi jest to cudowna forma porozumienia. Na czym ona polega? Rozważamy dziś na poważnie różne aspekty ocalenia dziecka w dorosłym, padają mądre słowa. Jesteśmy przekonani albo co najmniej nieomal pewni, jak osiągnąć ten cel. **Na poziomie intelektualnym panuje między nami zgoda, że „dziecko w dorosłym” jest skarbem, który warto pielęgnować.** Chciałbym zapytać, kiedy ostatni raz bawili się Państwo z dzieckiem w piaskownicy dla własnej przyjemności, postawili udaną babkę? Kto z Państwa bawił się ostatnio klockami Lego (samemu, nie z powodu konieczności zabawy z dzieckiem)? Który z panów wyciągnął w ostatnim czasie z szafy kolekcję swoich resoraków? A kolejki elektryczne – czy wszystkie zostały już sprzedane na Allegro? Kiedy ostatnio przełączyli Państwo kanał TVN24 na kanał z kreskówkami? Co zbiera Makka Pakka i czym się zajmuje? Czy znają Państwo atrybuty wszystkich Teletubisiów? Kot w butach – jak oceniają Państwo jego decyzje i metody z etycznego punktu widzenia? Czy to postać negatywna, czy pozytywna? Jak miał na imię tato Pinokia? Jak podoba się Państwu moralna postawa taty Jasia i Małgosi? Wydaje nam się to nieistotne? A nasza wiedza wyniesiona z dorosłego świata kultury masowej – czym się jakościowo różni od tamtej?

Chciałbym zwrócić Państwa uwagę na jeszcze jeden element dziecięcej postawy, który dorosłym często umyka – jest nim ciekawość świata. To

talent, który otrzymujemy na początku naszej życiowej drogi i powoli go gubimy. Moje zajęcia ze studentami pierwszego roku uczą mnie znacznie więcej niż te z tymi samymi studentami piątego roku; są zdecydowanie bardziej twórcze. Mam wrażenie, że podczas procesu dydaktycznego moi studenci stają się „lepsi” ode mnie, tracą przy tym twórczy entuzjazm, altruizm, optymizm, nadzieję oraz naturalną pokorę dziecka wobec rzeczy, które je przerastają. W zamian być może niczego się nie boją, nie dają się wykiwać. Ale nie wejdą do piaskownicy, nie założą niebieskiej czapki, a nawet – co jest bardzo smutne – wstydzą się zaśpiewać w miejscu publicznym. Dla mnie osobiście jest to zbawienne – dostaję od losu przestrożę w moim dorastaniu: może ze mną też coś podobnego się dzieje? Nie wiem, czy jest to zbawienne dla nich. Ta obserwacja przywodzi na myśl jeszcze jeden cytat z Saint-Exupéry’ego: „Dorośli śpią w wagonach albo ziewają. W tym czasie dzieci przyciskają noski do okien”. Życzę Państwu, aby wasze nosy nigdy się od tych okien nie odkleiły.

*Anna Bentyn**

DONIOSŁOŚĆ DZIECIĘCYCH PYTAŃ – PYTANIE LEPSZE NIŻ ODPOWIEDŹ**

Zdarza mi się pracować metodą dociekań filozoficznych. Stawianie pytań jest w niej jednym z kluczowych elementów. Ale zanim zacznę, postawię pytanie: gdyby zadali sobie Państwo trud przypomnienia jakiejś wątpliwości, kwestii, która pojawiła się w waszych głowach dziś, podczas tego zamkowego spotkania, co by to było? Wydaje mi się, że mogłoby to być pytanie dotyczące uzyskania jakiejś informacji, np.: „Która jest godzina?”, „O której zaczyna się wykład?”. Myślę, że nasze dorosłe życie pełne jest takich pytań, na które łatwo udzielić odpowiedzi. Pytamy innych: „Jak chcesz, żeby coś zrobić?”, „Co byś zjadł na obiad?”, „Gdzie pojedziemy w niedzielę?”. Są to pytania jednoznacznie wskazujące możliwe odpowiedzi.

W filozofowaniu nie chodzi o takie kwestie. Nie zajmujemy się pytaniami oczywistymi. *Philo-sophia* oznacza umiłowanie mądrości, prawdy, którą odsłaniamy w trakcie dociekania.

Dzieci pytają nas o różne rzeczy, wielokrotnie nas zaskakując. Przypomina mi się wydarzenie sprzed lat. Byliśmy na rodzinnym spacerze

* Anna Bentyn – pedagog, trener Fundacji Edukacja dla Demokracji, doradca metodyczny pedagogów i wychowawców świetlic, pracuje w Gimnazjum nr 2 w Gnieźnie, matka trojga dzieci.

** W trakcie konferencji po sali krążyła Ewa, osoba z niepełnosprawnością intelektualną, podchodząc do uczestników spotkania, szczerze podając im rękę, zagadując ich – dop. red.

w parku i nasze dziecko zobaczyło mężczyzn obcinających gałęzie. „Po co ci panowie to robią?” – spytało. Na szczęście, zanim poszukaliśmy mądrego wyjaśnienia, samo go sobie udzieliło: „Aha, żeby nie było wiatru!”. Nawet nie próbowaliśmy tego prostować.

Zadać pytanie, na które szuka się odpowiedzi, to jedna z ważniejszych umiejętności człowieka. Nasze życie składa się z formułowania wątpliwości w pytania, a następnie poszukiwania dla nich rozwiązań. Właśnie dlatego dzieci zadają pytania. Szukają odpowiedzi na nurtujące je problemy. Chcą uporządkować swoją wiedzę o świecie, zrozumieć go. To właśnie dlatego szkoła bywa odrzucana przez dzieci, ponieważ gdy odważą się one – w końcu – postawić jakieś osobiste, nurtujące je pytanie, zaraz wśród dorosłych znajdzie się ktoś, kto czuje się w obowiązku (!) udzielić im na nie jedynie słusznej odpowiedzi. Albo też – jeżeli pytanie dziecka sprawi mu kłopot – sprytnie przeformułuje je, by móc w końcu odpowiedzieć w sposób pozbawiony wątpliwości. Największym zatem problemem w nauce filozofowania dla nas, nauczycieli, jest wyzbycie się pokusy udzielania natychmiastowej i pełnej odpowiedzi na każde z dziecięcych pytań.

Jednym z elementów naszej pracy z dziećmi jest zachęcanie ich do zadawania samodzielnych pytań. Z reguły przedstawienie im krótkiej, wieloznacznej opowieści wystarcza, by pojawiła się spora liczba pytań.

Dzieci czasem zaskakują nas wieloznacznością swoich pytań. O co pytają? Pamiętam pytanie kilkuletniego chłopca: „A kiedy skończy się teraz?”. To przecież rasowe filozoficzne pytanie, które rodzi masę następnym w rodzaju: „Gdzie się kończy przeszłość? Gdzie po chwili jest teraz? Jak długa trwa terażniejszość?”. Albo inne pytanie dzieci: „Kiedy będę dorosły?”. Jak Państwo sądzą, gdzie jest ten moment, gdy dziecko jest jeszcze dzieckiem, a kiedy staje się już człowiekiem dorosłym? Czy każdy dorosły jest naprawdę dorosłym? Jakie są kryteria dorosłości? Co sprawia, że ktoś jest dorosły, a ktoś inny nie? Jak widać, za dobrze postawionym pytaniem może się kryć cała piramida kolejnych!

Ten zjazd przywołuje postać Małego Księcia. Jak Państwo myślą – kogo tak naprawdę spotkał Antoine de Saint-Exupéry na pustyni? Czy była to postać realna? A może spotkał swoje wewnętrzne dziecko i nazwał je „Małym Księciem”? Po czym rozpoznał, że to księżę?

Zauważyli Państwo, że Mały Księżę przez cały czas stawia pytania, ale sam, jeśli w ogóle na jakieś odpowiada, to innym pytaniem? Takie zachowanie bywa irytujące. To piękne w dziecku, że potrafi zadawać niebanalne pytania. Ale czy nam, dorosłym, naprawdę tak trudno sformułować pytanie o rzeczy nieoczywiste, wejść w dziecięcość pytań, w dziecko w nas? Nie do końca. Stan dziecięctwa to coś więcej niż przeżywanie dnia obecnego. Jeżeli spróbujemy nazwać naszą egzystencję „tu i teraz”, to jaka ona jest? Co możemy o niej powiedzieć? Co nas ciekawi? W dobrze postawionym pytaniu jest obecne ziarno upartej ciekawości.

Mówimy, że dzieci są dociekliwe. Okres w życiu dziecka trwający od czwartego do szóstego roku życia to czas doświadczania przez jego rodziców zaskakujących pytań. Dziecko umie już je formułować i zaczyna nimi bombardować otoczenie. Pamiętają Państwo anegdotę o pewnym norweskim rodzicu, który odpowiedział na największą liczbę dziecięcych pytań? Zatrzymało go 368. pytanie dziecka: „Tato, dlaczego gryziesz syfon?”. To pokazuje, jak ogromne pokłady pytań mają w sobie dzieci. Mówi się, że to czas największego rozwoju człowieka. Nigdy już potem nie rozwijamy się tak intensywnie jak w tym momencie, kiedy zadajemy takie mnóstwo pytań. Dlaczego?

Spróbuję odpowiedzieć anegdotą: pewien profesor miał zwyczaj zatrzymywać się wśród oczekujących na jego wykład studentów. Gdy rozmowy trwały, zwykle padało ze strony któregoś ze studentów pytanie: „Może byśmy już zaczęli?”. Profesor pytał wówczas: „A czego chciałby się pan dowiedzieć?”. Student odpowiadał: „Ma pan profesor na pewno jakiś temat, notatki...”. Na co profesor ripostował: „Jeżeli to ja będę zadawał pytania i udzielał na nie odpowiedzi, to ja będę się uczył, a nie ty!”.

Nasz rozwój intelektualny odbywa się wówczas, gdy samodzielnie formułujemy pytania i szukamy na nie odpowiedzi. Ale bywa przecież,

że unikamy odpowiadania na trudne dla nas pytania: kiedy jestem szczęśliwy? Co takiego musi się zdarzyć w moim życiu, abym był szczęśliwy, spełniony? Czy jestem człowiekiem, który potrafi kochać, dać coś innym? Co takiego mam do zaoferowania? Czy jest ze mnie jakiś pożytek w świecie? To trudne pytania...

Czy dzieci szukają prawdy? Czy filozofia jest szukaniem prawdy? Otóż niekoniecznie. Człowiek znalazł sobie dużo zasłon dla prawdy. Jedną z nich jest racja! Ja mam rację, ty masz rację, każdy z nas ma swoją rację. A gdzie miejsce dla prawdy? Czy istnieje jedynie słuszna prawda? Inną z zasłon dla prawdy jest sprawiedliwość. Czy sprawiedliwość jest prawdą? Co za nią stoi? Dwóch się pobiło, ale każdy z nich miał swoje powody (racje). Każdy potrafi je uzasadnić. Jak uznać, która prawda (racja) jest lepsza, ważniejsza? Trudno jest dotrzeć do prawdy, zrozumieć ją – ale czy na pewno na niej nam zależy, czy na pewno jej szukamy?

Można całe życie przeżyć, nie zastanawiając się nad tym. Wstawać rano, robić określone czynności związane z higieną, iść do pracy, wykonywać tam coś, wracać, jeść obiad – a czas przecieka przez palce. Cóż zostaje z układanego w taki sposób życia?

Myślę, że nasz wewnętrzny Mały Książę to dziecko skrywane w nas, towarzyszy nam całe życie i zawsze możemy się z nim spotkać. To dziecko, które nie boi się trudnych pytań. My, dorośli, krępijemy się, boimy się narazić na śmieszność. Robimy to, co się powinno robić. Łatwiej wówczas zamknąć nasze dziecko w sobie i nie dać mu przestrzeni do pokazania się. A jednak to dziecko jest we mnie. Może czas już okazać mu szacunek? Podobno ludzie z poczuciem spełnionego życia najczęściej wykonują zawód, jaki wymarzyli sobie, gdy mieli około 12 lat. Kim chcieliśmy być jako dwunastolatki? Czy zrealizowaliśmy swoje pomysły na życie? Jakie pytania stawia nam nasze wewnętrzne dziecko, ten Mały Książę, który jest w każdym z nas?

Postawiłam tu wiele pytań. Zachęcam do szukania na nie swoich własnych odpowiedzi. Możecie mi wierzyć albo nie, ale nie znam na nie odpowiedzi uniwersalnych. Życzę powodzenia w dociekaniu!

*Katarzyna Ciesielska**

DZIECKO ŹRÓDŁEM MIŁOŚCI, KIEDY BRAKUJE NAM JUŻ SIŁY

Na wstępie chciałabym zapoznać Państwa z obrazem świata, jaki nosi w sobie dorosły chłopiec z autyzmem, który nie potrafi mówić, ale posiadał umiejętność pisania. Pokutuje w społeczeństwie mit, że dzieci autystyczne są głupie i niczego nie rozumieją, są nieczułe. Oddaję więc głos autystycznemu chłopcu: „Ogranicza mnie zaburzenie w postrzeganiu. Widzę i słyszę zbyt dużo, dlatego też potrzebuję więcej spokoju niż inni. Czasami wszystko mnie denerwuje. Najbardziej przeszkadza mi, kiedy ludzie maskują się, uważając, że są w stanie skrywać swe prawdziwe uczucia. Przenikam te pozory, dlatego czasami wołam być sam. Ludzie są tacy męczący. Źle by się ze mną działo, gdybym nie dostał wsparcia. Życie w chaosie oznacza, że jest się dla bliźnich wyzwaniem. Często potwornie wrzeszczałem – moja matka nie miała spokoju w nocy ani w dzień. Nie pamiętam wszystkiego, ale pamiętam, że nie potrafiłem się uspokoić. Nie miałem nad sobą kontroli. Nie chciałem czegoś »do obrzydzenia«, ale być zmuszonym do czynienia tego, jakby pod wpływem niewidzialnej siły – to jest tragedia”.

Przejdę teraz do własnego doświadczenia spotkania z osobą z autyzmem. W życiu tak jest, że czasami pewne wydarzenia postrzegamy jako

* Katarzyna Ciesielska – mieszkanka Szczecina, matka czworga dzieci, w tym syna z autyzmem.

wielką tragedię. Dla innych to samo wydarzenie może być z kolei drogą do szczęścia, wyzwolenia, drogą do miłości. Kryzys i związane z nim trudności mogą sprawić, że człowiek zaczyna odkrywać przy okazji, kim jest naprawdę, może zedrzeć z siebie wszelkie maski – odkryć w sobie dziecko rozumiane nie w sposób infantylny.

Kiedy Jasio pojawił się w naszej rodzinie, nie byliśmy na to spotkanie przygotowani. Wiele pięknych myśli na temat dziecka, które pojawiło się na tym spotkaniu, nie ma odniesienia do naszego Jasia. Dziecko z autyzmem nie zadaje błyskotliwych pytań – ono nie mówi w oczekiwany przez nas sposób, nie można nawiązać z nim bezpośredniego kontaktu. W takiej sytuacji – jak powiedział Marcin Gajda – trzeba wejść w kontemplację dziecka, trzeba znaleźć drogę do niego.

Dorośli mają w zwyczaju, że przeczytają kilka mądrych książek i już wiedzą, jak mają postępować: pojawia się w ich umyśle instrukcja obsługi. Przy dziecku autystycznym stajemy się kimś bezradnym, małym, kruchym. Musimy krok po kroku odkrywać każdego dnia drogę do własnego dziecka. Wskazówek na tej drodze może udzielić rodzicom ich własne dziecko. Ono trzyma w rękę klucz! Aby proces ten się ujawnił, trzeba nieustannie kontemplować, obserwować, trzeba stanąć przed dzieckiem z pustymi rękami, bez żadnego bagażu wiedzy, oczekiwań i uczyć się od zera. Doświadczyłam tego dzięki swojemu synowi. Na ogół przychodzimy na świat w pełnej rodzinie, ale na drodze naszego wychowania stajemy się ludźmi poranionymi. W odruchu obronnym zakładamy maski, zbroimy się w pancerz. Nie chcemy dopuścić, by ktoś nas skrzywdził. Bardzo często inni wywołują w nas poczucie zaniżonej własnej wartości. Wzrastamy w takiej aurze do wieku dorosłego, nie wiedząc, kim naprawdę jesteśmy. Nie wiemy, na co nas stać. Nie mamy dostępu do własnego serca. Nagle pojawia się ktoś, kto może nam pokazać, kim jesteśmy. Dziecku autystycznemu obca jest gra, ono jest po prostu sobą. My, dorośli, nagle odkrywamy, że nie ma w nas cierpliwości, tolerancji, miłości, zrozumienia. Nachodzą nas myśli, że skoro dziecko, które chcemy przytulić, ukochać – gryzie nas, zachowuje się irracjonalnie – w naszych oczach nie powinno

zasłużyć na miłość. Tak zostaliśmy wychowani – na miłość trzeba sobie zasłużyć. Jako rodzice oczekujemy ze strony własnego dziecka grzecznego zachowania, posłuszeństwa, dobrej opinii nauczycieli itd. jako nagrody za ponoszone wobec niego wysiłki wychowawcze. W przeciwnym razie własny potomek nas rozczarowuje.

Z moich doświadczeń rodzicielskich wynika, że moje własne, niepełnosprawne dziecko stało się dla mnie źródłem miłości. Pozwoliło mi odkryć moje prawdziwe oblicze, stawać się sobą bez lęku, że ktoś przyjdzie i mnie zrani, wykorzysta moją kruchość. Zawdzięczam mu olśnienie faktem, że nie trzeba czynić nieustających wysiłków, by zasługiwać na miłość – wystarczy uważnie być obok dziecka! Często też łapałam się na tym, że mam w sobie pragnienie kontrolowania sytuacji, aby dobrze wypaść na zewnątrz. W przypadku życia obok dziecka autystycznego taka postawa nie ma sensu. Autystyk rozłoży każdy nasz misternie ułożony plan, wymknie się spod kontroli, zaskoczy czymś niespodziewanym. Dziecko wymusza na nas bycie sobą, odziera z masek. Kiedy idziemy do kościoła i nasze dziecko zaczyna szczekać jak pies, nie jesteśmy w stanie przez dłuższy czas udawać mądrych, elokwentnych, dobrze ułożonych rodziców. To po prostu niemożliwe. Ludzie zawsze będą starali się nas ocenić. Z dzieckiem autystycznym jest jeszcze jeden problem: ono nie wygląda na dziecko niepełnosprawne! Zewnętrznie jest zadbane jak wiele innych. Kiedy osoba postronna widzi, jak nasze dziecko autystyczne się zachowuje, następuje – niejednokrotnie bolesna dla rodzica – konsternacja. Jako rodzice autystycznych dzieci musieliśmy się nauczyć z tym bagażem obciążeń funkcjonować. Aby nie popaść w obłęd, trzeba uwolnić się od napięcia, jak inni nas postrzegają.

Poruszę jeszcze jeden wątek: dzieci autystyczne nie mają wyobraźni, nie postrzegają świata w ten sam sposób, co my. Przed rodzicem, ale i zdrowym rodzeństwem, staje trudne zadanie: jak autystyka jej nauczyć? W mojej rodzinie obok niepełnosprawnego Jasia jest jeszcze trójka dzieci, która próbuje różnymi sposobami docierać do wnętrza brata. Moje dzieci są dla niego najlepszymi terapeutami. Wszystko, co wymyślają w warun-

kach domowych, aby uruchomić wyobraźnię brata, jest genialne! Robią to intuicyjnie, np. na hasło: „kanapka” jedno kładzie się na drugie, ktoś jest masłem, ktoś serem. Dzięki aktywnej współpracy całej rodziny Jasio w wieku pięciu lat zaczął mówić.

Bardzo często zastanawiałam się, jaka jest misja obecności autystyków na ziemi? Kiedy Jasio zaczął mówić, komunikować się z nami, zobaczyłam, że mój niepełnosprawny synek potrafi obdarzyć drugiego bezinteresowną miłością. Nie ma u niego kalkulacji: „Aha, ładnie wyglądasz, jesteś miły dla mnie – mogę się z tobą zaprzyjaźnić”. Widzę, jak podczas pobytu w szkole w klasie integracyjnej ujawnia się w nim potrzeba dzielenia się miłością. Potrafi być adoratorem wszystkich dziewczynek w klasie: bierze je za rękę, całuje, przygarnia. W normalnej społeczności uchodziłby pewnie za natręta. Ale tutaj są to dzieci z niepełnych rodzin i Jasio dostarcza im wytęsknionego ciepła, czulej bliskości. Chłoną jak gąbka tę miłość i ciągle im mało! Wyraźnie widzę, że mój syn jest dla otoczenia źródłem miłości. Bawiąc się, tańcząc, przejawiając zainteresowanie drugą osobą, czyni swoje koleżanki i kolegów szczęśliwymi, kwitnącymi.

Na koniec chciałabym przytoczyć cytat z *Małego Księcia*: „Do tej pory jesteś dla mnie małym chłopcem podobnym do stu tysięcy innych małych chłopców i nie jesteś mi do niczego potrzebny. Jestem dla ciebie lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów, a jeśli mnie oswoisz, stanemy się dla siebie potrzebni. Wtedy będziesz dla mnie jedynym na świecie. Ja będę dla ciebie jedynym na świecie”. Dziecko niepełnosprawne daje to poczucie – ja jestem dla niego jedyna na świecie. Nie dlatego, że jestem mądra, ładna, że mogę coś dobrego zrobić, ale dlatego, że jestem jego mamą. To wszystko i nic więcej się nie liczy!

*Leszek Aleksander Moczulski**

UŚMIECHY DZIECI NIEPEŁNOSPRAWNYCH – ARTYSTÓW PANA BOGA**

Pozostając pod wpływem swoich pierwszych radosnych spotkań we wspólnocie Dzieci Brata Alberta, próbowałem werset ze świętego Pawła „Miłość wszystko przetrzyma” (1 Kor 13,7) przełożyć na język zrozumiały dla niepełnosprawnych dzieci, a także czytelny dla nas, tak zwanych sprawnych.

Dzieci niepełnosprawne mówią do nas swoimi uśmiechami i radosnymi emocjami, jeżeli zaś są smutne, jest to bardzo wyraziste. Jakby próbowały powiedzieć:

„Przetrzymamy bośmy różę
przeciw pysze dzieci duże
Przetrzymamy złości włości
tego świata bez radości
Z aniołami i wróblami
w swoich wózkach z królestwami

* Leszek Aleksander Moczulski – mieszka w Krakowie, poeta, autor opowiadań dla dzieci, swego czasu „nadworny” autor tekstów grupy Skaldowie, np. słynnej piosenki o wiolonczelistce, od kilkunastu lat związany z krakowską wspólnotą międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”.

** List nadesłany przez pana L.A. Moczulskiego do przyjaciół ze szczecińskich wspólnot międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”, odczytany podczas sympozjum za zgodą Autora.

Boga zmęczą kiedyś ludzie
 a ucieszą dzieci duże
 Choćbyś zdobił wciąż ołtarze
 z dziećmi Pan się w nich ukaże”^{***}.

Próbuję ogarnąć myślą, co zawdzięczam Wspólnocie, a szczególnie Justynce. Po pierwsze – żywiołowy stosunek do życia, wyrażanie emocji radości i smutku całym swoim jestestwem, niepoleganie na konwencjonalnych przeżyciach i refleksjach. Po drugie – podziw dla dzieci niepełnosprawnych intelektualnie, gdy się na nie patrzy oczami miłości, jak czynią to ich rodzice czy wierni przyjaciele, podziw za ich niekłamliwy wdzięk bycia i niezwykle poczucie śpiewu, recytacji, rytmu w tańcu. Po trzecie – dla mnie osobiście szczególnie jest to, że dzięki nim poznałem prawdziwą, głęboką przyjaźń z energią rzadko spotykaną w świecie tak zwanym normalnym.

Oto sam początek zawiązania przyjaźni Justynki ze mną i moją żoną. Umówiliśmy się z nią i jej rodzicami, że wpadniemy do ich letniego domu pod Krakowem o godzinie 15. Tymczasem żona postanowiła upiec ciasto dla gospodarzy, co opóźniło nasz przyjazd o godzinę. I właśnie tę jedną całą godzinę Justynka przesiedziała przed domkiem na krzeselku wśród kwitnących pól, czekając na nas nieodwołalnie, punktualnie! Nigdy wcześniej nie zaznałem w swoim życiu ze strony przyjaciół, nawet tych wypróbowanych, aż tak głębokiej więzi i pragnienia spotkania.

Aby ją przeprosić, napisałem wierszyk w formie dialogu pomiędzy Justynką a moją żoną:

„To spóźnienie bardzo boli
 Ciociu nie jedź tak powoli
 Czekam ja godzinę całą
 Co się stało, co się stało?
 Ta godzina mi uciekła
 kiedy ciasto tobie piekłam

^{***} Wszystkie cytaty za: L.A. Moczulski, *Tajemnice radosne*, Kalwaria Zebrzydowska 1993.

Stąd kochana ma Justynko
ta godzina była tylko
jedną chwilką, jedną chwilką”.

Co kilka dni pisałem nowy wierszyk i tak powstała cała książeczka. O jej przesłaniu i genezie tak pisałem we wstępie, zatytułowanym „Justynka”: „Dzieci specjalnej troski są jak kwiaty. Ale nie każdemu dane jest tak je ujrzeć. Trzeba było serca, by je nazwać Muminkami. Warto w sobie coś pielęgnować, aby móc je otworzyć innym, jako ludzkim istotom – pięknym. Mam w oczach taka scenę: na festynie Muminków 30 maja 1993 roku w Kalwarii Zebrzydowskiej Krzysztof Skwarnicki – po czarodziejskim przemienieniu całej widowni stadionu pod batutą Muminków w cudowny karnawał śmiechu i uśmiechu – nagle w uciszeniu śpiewa pieśń, obejmując ramieniem Kubę Muminka. Podsuwa mu mikrofon i Kuba śpiewa na cały stadion. Dla kogoś może to być straszne fałszowanie, dla innych wrażenie większe niż w Metropolitan Opera. Cały stadion zamiera – Muminek jest piękny!”.

Na pewno nosiłem w sobie tę scenę, gdy we wrześniu razem z żoną Krystyną i kundlem Dingo odwiedziliśmy Justynkę w podkrakowskim letnim domku pod Zielonkami. Były to najpiękniejsze weekendy w moim życiu. Wspólne zabawy, by tak rzec, jej „filozoficzne” powiedzenia, które potem w mojej pracowni starałem się przełożyć na wiersze dla dzieci. Chciałem, żebyśmy wszyscy byli ze sobą do końca, umieli cieszyć się sobą, podziwiali się, dzielili radościami i kłopotami, kiwając w zamyśleniu głową. Kiedy tylko jesteśmy życzliwi dla siebie to Muminki, ich rodzice, opiekunowie – Paszczaki, ludzie w autobusie podmiejskim i na ulicy w Krakowie stają się dla innych jak kwiaty. Są po prostu piękni. Jakby stanęło echo słów Pana nad światem z dnia stworzenia: „I widział, że ze wszystko, co stworzył jest dobre” (por. Rdz 1,31).

Jeden z tych pełnych uroku dni z Justynką był poświęcony wierszowi Juliana Tuwima *Lokomotywa*. Justynka recytowała go w sposób brawurowy, pokazując, jak należy kochać mistrzów naszej polszczyzny. Urzekło

mnie to aż tak bardzo, że poświęciłem temu wydarzeniu mały wierszyk, będący poetyckim zapisem tych chwil. Oto fragment:

„Stoi na stacji lokomotywa
 O, jak stara, jak się kiwa
 Żadna oliwa po niej nie spływa.
 Biegnie Justynka i woła: „uch.....uuuuuch”
 Koła w ruch. Pan Julian Tuwim to dobry duch.
 Bierze Justynkę na swoje rece
 A ona woła: „Ja ją rozpędzę.
 Aż trzasną tłoki, para w obłoki
 ruszą się koła, tylko zawołam”.
 Pan Julian Tuwim Justynce włosy
 gładzi i mówi: „Justynko dosyć.
 Lokomotywa jest bardzo stara”.
 Lecz z tłoków wali pod niebo para.
 Krztuszą się tłoki, choć rdzą okryte
 A jak pracują, jak grają przy tem
 jaką muzykę, jak starą płytę.
 Nagle buch, koła w ruch
 A pan Tuwim woła: „mów,
 mów Justynko, mów.”

Justynka, ofiarowując swoją przyjaźń, wyzwoliła u wielu – także u mnie – refleksję, aby pomyśleć nad jej pojmowaniem więzi przyjaźni, darów przyjaźni. Chcąc jakoś uzmysłwić sobie tę „wyobraźnię przyjaźni”, zaszedłem daleko, bo aż do XII-wiecznej literatury, która taką niezwykłą, głęboką, wspaniałomyślną więź przyjaźni nazywała terminem „więź ekstatyczna”. Może to właśnie jej brakuje nam we współczesnym świecie? XIII-wieczny mistrz słowa, legendarny Abelard, przytaczał na dowód ekstatycznej przyjaźni taki wiersz:

„Prawdziwy przyjaciel przewyższa wszystkie dary Boga.
 Droższy jest od bogactw.

Nikt nie będzie biedny, jeśli posiadzie taki skarb.

Który jest tym cenniejszy, im rzadszy”.

(tł. Tomasz Sapota)

Na zakończenie chciałbym podzielić się pewną ryzykowną, bardzo osobistą refleksją. Początkowo dzieci specjalnej troski nazywałem „zakładnikami Pana Boga”. Z biegiem lat prywatnie nazywam je „artystami Pana Boga”, otwierającymi nas na prawdę, piękno, przyjaźń – do końca. Od lat próbuję tworzyć książeczkę pod tytułem *Uśmiechy dzieci niepełnosprawnych*, zapisując ich powiedzonka jako czyste, krystalicznie czyste wiersze, jako poezję. Kończę więc swoją wypowiedź zapisem kilku wierszyków dzieci:

Justynka, prosząc o zapalenie światła w ciemnym pokoju: „Zrób mi dzień”.

Najkrótszy wierszyk Grzesia: „Grzesiu, ile masz lat?”. „Więcej”.

Justynka o panu z prześwitującą łysiną: „Ten pan o szczupłych włosach”.

Justynka o kotku:

„Drepcze kotek

drepcze kotek

drepcze kotek

drepcze kotek

drepcze kotek

drepcze kotek

aż wyjadł wszystko z miseczki”.



Otwarcie sympozjum: prowadząca: dr hab. Iwona Jazukiewicz na pierwszym planie



Prelegenci sympozjum „Mały Książę. Ocalić dziecko w dorosłym”. Sesja przedobiednia.
Od lewej: Olgierd i Maria Wojciechowski, dr hab. Iwona Jazukiewicz,
dr Małgorzata Wałęjko, ks. Maciej Szmuc, Marcin Gajda, Anna Bentyn



Na sztalugach w Sali Anny Jagiellonki ekspozycja prac fotograficznych dziecięcej grupy
Quo Vadis pod opieką artystyczną Timma Stuetza



Wystawa prac rysunkowych *Co widzisz?* wykonanych *ad hoc* przez publiczność w trakcie sesji przedpołudniowej. Prace miały uruchomić wyobraźnię i nawiązać do rysunku Małego Księcia, przedstawiającego kapelusz-węża.



Koncert „Pieśni chwały” z cyklu „Zespół Piosenki Naiwnej i jego goście” towarzyszący III SZM „Mały Książę. Ocalić dziecko w dorosłym”.
Miejsce: kościół pw. św. Krzyża w Szczecinie



Finał koncertu, od lewej: Marcin Gajda, przyjaciele i chórzyci Deus Meus, Julia Kępiсты – wiolonczela, akompaniatory Zespołu Piosenki Naiwnej: Krzyś Garbarski – harmonijka ustna, Marek Dorożyński – skrzypce, Arek Więcko – gitara

Posłowie – przesłanie

Początkowym zamysłem, kielkującym zresztą we mnie od dawna, było zorganizowanie jednorazowego sympozjum wokół miejsca słabości w relacjach międzyludzkich. Kiedy zbiegło się to w czasie z moim przejściem na wcześniejszą emeryturę jako nauczyciela matematyki w szkole podstawowej, nadarzyła się sposobność do podjęcia wymarzonej inicjatywy. Zawsze bliskie mi było postrzeganie kultury jako miejsca istotnych transferów wartości. W studenckim okresie we Wrocławiu było to uczestnictwo w ruchu DKF-ów, a nieco później praca jako animator kultury na Dolnym Śląsku. Podjęcie nowych wyzwań wiązało się z dylematami wyboru takiej przestrzeni w mieście, która nie byłaby obciążona ideowymi konotacjami, a jednocześnie posiadałaby prestiżowy charakter. Chodziło o godne miejsce zaplanowanego, niezmiernie ważnego spotkania; miejsce, w którym dobrze by się czuli wszyscy uczestnicy: zarówno tak zwani wierzący, jak i niewierzący. Ostatecznie wybór padł na Zamek Książąt Pomorskich, choć wielu znajomych doradzało inne miejsca – takie, w których nie musielibyśmy np. ponosić kosztów wynajęcia sali. Górę wziął tu nie tyle rozsądek, co pragnienie godnego miejsca dla spotkań wysokiej rangi.

Równie ważna wydaje się geneza wyboru tematu przewodniego pierwszego sympozjum na zamku. Będąc przez wiele lat członkiem wspólnoty międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło” (tego najbardziej „jazzowego” ruchu w Kościele!) jako tzw. przyjaciel, doświadczałem braterskich relacji z osobami z niepełnosprawnością intelektualną, byłem świadkiem ich nieprzeciętnych umiejętności nawiązywania więzi przyjaźni i okazywania bezwarunkowej akceptacji. Przebywanie z tymi kruchymi istotami, jak o nich mówią – artystami Pana Boga – okazało się nieblednącą przyjemnością, enklawą cywilizacji miłości! Pochodząc z rozbitej rodziny,

w towarzystwie „słabych” ulubieńców Boga, uczyłem się od początku bezwarunkowej miłości, jak stawać się sobą. Zetknięcie się z własną i cudzą słabością na gruncie wspólnoty miało powodować zgorzknienie, przynosiło ukojenie – wspólnota okazała się miejscem skutecznego leczenia zadawnionych zranień, przekuwania życiowych strat w siłę, a nasi krusi przyjaciele okazywali się znakomitymi przewodnikami na tej płaszczyźnie międzyludzkich relacji. Wspólnota z osobami upośledzonymi stała się dla mnie i mojej żony miejscem – jak mawia Jean Vanier¹ – radości i przebaczenia, przynależności, schronienia, odpocznienia, a także źródłem inspiracji dla życia rodzinnego i pracy zawodowej. Tym wyraźniej zauważałem, ucząc w szkole, rozmiary rozpowszechnionej wśród dzieci choroby: niezdolności do pobłażliwości dla własnej i cudzej omyłności czy też niemocy podnoszenia się z porażek zarówno na gruncie koleżeńskich relacji, jak i podczas zmagania z zadaniami na lekcjach matematyki.

Nieoswojone własne słabości przynoszą w dorosłym życiu dramatyczne konsekwencje: m.in. brak zrozumienia i litości dla cudzych słabości. Nie dopuszczając do siebie myśli o porażce, pozbawiając się prawa do omyłności, fundujemy sobie i najbliższym „piekiełko” życia w kręgu niedościgłych ideałów. Przystajemy być sobą, gubimy życiowy pion. Swoje defekty skrzętnie chowamy pod płaszczykiem dążeń do perfekcjonizmu. Stajemy się niezdolni do darmowej miłości bliźniego, bo ciągle oglądamy się na czyjeś zasługi względem nas. Negując własną kruchość, zamykamy się na Bożą obecność. Człowiekowi, który wszystko, co ma, zawdzięcza sobie, swojej ciężkiej pracy, Boża miłość darmo rozdawana wydaje się niedorzecznością. W jego mniemaniu przecież nikt mu niczego nie dał w życiu za darmo! Tym bardziej widać, jak **słabość, kruchość, omyłność** okazują się centralnymi kategoriami ludzkiego życia!

Tak mocnych doświadczeń nie sposób było zatrzymać jedynie dla siebie i najbliższych. Przechodząc w 2007 roku na emeryturę, wiedziałem

¹ Jean Vanier, założyciel wspólnot l'Arche i opiekun duchowy wspólnot „Wiara i Światło”, w 1999 r. w murach AWSO w Szczecinie głosił ogólnopolskie rekolekcje, zainicjowane i zorganizowane przez szczecińskie środowisko wspólnot ruchu „WiS”.

już, że podejmę starania, by kruchość, słabość i wspólnotowy wymiar człowieka mogły pojawić się w obszarze kultury w godnej oprawie. Tytuł pierwszego spotkania narzucił się sam: silny potrzebuje słabego! Zarówno hasło przewodnie, jak i termin „społeczeństwo głęboko ludzkie” zostały zapożyczone od Jeana Vaniera, duchowego przyjaciela i opiekuna osób upośledzonych umysłowo, i stały się motywem przewodnim pierwszego sympozjum². Wysoka temperatura w sali zamkowej podczas pamiętnej konferencji sprawiła, że kolejne sympozjum wydawało się po prostu nieuniknione! Świetnie opisała fenomen tego spotkania wokół słabości i kruchości jego uczestniczka (wtedy jeszcze po stronie publiczności) dr Małgorzata Wałęjko w swoim artykule *Silny potrzebuje słabego* („Więź” nr 7/2009).

Zamkowe spotkania w ramach Szczecińskiego Zalewu Myśli (ta nazwa pojawiła się dopiero od drugiego spotkania) od samego początku poruszały i inspirowały zaproszonych do wygłoszenia prelekcji gości, zarówno utytułowanych akademików, jak i zwykłych praktyków życia. Były to refleksje o życiu, ale nie z pozycji autorytarnych racji czy w oparciu o akademickie modele. Akademicy stanęli więc przed wyzwaniem zmiany języka na bliższy potocznemu, bo mieli przed sobą niewyspecjalizowane audytorium. Zaproszone osoby duchowne musiały liczyć się z tym, że na sali nie wszyscy są ludźmi wierzącymi. Prelegenci usposobieni bardziej konfrontacyjnie musieli powstrzymać swój temperament ze względu na gospodarza spotkania – Fundację, która reprezentuje środowisko ludzi kruchych! Zamkowe sympozja, które od początku nosiły charakter mądrościowy, wzbogacane były każdorazowo wypowiedziami bardzo wrażliwej i uważnej publiczności! Te wszystkie okoliczności sprawiły, że nasi goście – prelegenci od samego początku nie tyle zamierzali ze sobą polemizować, co raczej wzajemnie wzbogacać całe spotkanie, spogląda-

² Reperkusje szczecińskiego sympozjum „Silny potrzebuje słabego” znalazły swoją kontynuację m.in. w wydanej przez Fundację i dotowanej przez Gminę Miasto Szczecin płycie CD z koncertu na zamku i broszurze pod tym samym tytułem oraz w artykułach w „Więzi” nr 3, 7/2009 i w „W drodze” nr 2/2009.

jąc z różnych stron w tym samym, zadanym przez organizatora kierunku. Zalew Myśli stał się miejscem poszukiwania uwarunkowań życia, w którym dopuszczamy do głosu na niespotykaną dotąd skalę: słabość, kruchość i zarazem głębię człowieka. **To marsz w poszukiwaniu fundamentów organizujących na nowo społeczeństwo.** Organizatorzy żywią przekonanie, że dopiero przeorana ludzka świadomość stanowi właściwą glebę, na której mogą zakiełkować nowe idee, prowadzące do życia w społeczeństwie głęboko ludzkim. Temu służy założona po pierwszym zamkowym sympozjum internetowa biblioteczka z konferencjami i panelami z udziałem publiczności (teksty lub nagrania wideo) znajdująca się na stronie Fundacji: www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl.

Poszukując stałego punktu odniesienia w podejmowanej refleksji wokół życia w społeczeństwie głęboko ludzkim, do oprawy scenicznej wybraliśmy działający w Szczecinie od 2005 roku Zespół Piosenki Naiwnej, grupujący zarówno „silnych” jak i „kruchych” artystów. Pełnosprawni akompaniatory, podążający krok w krok za kruchymi solistkami i instrumentalistami, w każdej chwili gotowi na odstępstwo od muzycznych kanonów w imię prawdy, jaką niosą z sobą niepełnosprawni intelektualnie artyści – to ich credo. Zespół okazał się żywą ilustracją społeczności głęboko ludzkiej! Zaproponowana przez organizatora formuła koncertów towarzyszących Szczecińskiemu Zalewowi Myśli w cyklu: „Zespół Piosenki Naiwnej i jego goście” od początku zasadzała się na tym, że niepełnosprawni intelektualnie artyści występują w roli gospodarza na scenie i podejmują zarówno uznanych, jak i tych jeszcze mało znanych artystów, śpiewając własne piosenki. W finale wszyscy uczestnicy koncertu wspólnie włączają się do śpiewania refrenu piosenki z autorskiego repertuaru Zespołu. Ten mały ukłon potwierdza fakt, że „słabi” zasługują na coś więcej niż jedynie kopiowanie tzw. gwiazd w imię familiarnego postulatu wyrównywania szans, ich wyjątkowa sceniczna kreacja wykracza bowiem daleko poza ramy sztuki i sprawia, że publiczność jak i sami goście – artyści mają okazję uczestniczenia w poruszającej komunii serc. Odczuła to już publiczność nie tylko na szczecińskim zamku, ale także uczestnicy

choćby IX Zjazdu Gnieźnieńskiego w 2012 roku, kiedy Zespół Piosenki Naiwnej brawurowo wystąpił w koncercie towarzyszącym gnieźnieńskiemu sympozjum obok Zelowskich Dzwonków i gwiazdy wieczoru Stanisława Soyki.

Od drugiego Zalewu Myśli pojawił się na zamku dobry anioł w osobie Iwony Jazukiewicz – dziś nierozzerwalnie kojarzonej z prowadzeniem naszych sympozjów. Świetnie wpasowali się w ducha naszych spotkań inni lokalni goście sympozjum: Wiesława Piećko, Elżbieta Linartowicz, Beata Kropidłowska, Małgorzata Wałęjko, Piotr Klimek czy Marcin Gajda. Zbieżna z naszymi preferencjami okazała się życiowa i artystyczna droga Timma Stuetza i jego małżonki Elżbiety, szczecińskich artystów fotografików, których wystawy co roku towarzyszą sympozjum, a ich zaangażowanie przerodziło się w stałą współpracę nad stroną koncepcyjną zamkowych spotkań. Do 2010 roku wspierali zamkowe spotkania wolontariusze z polickiego stowarzyszenia „Warto Być”. Nieocenioną rolę w naszych sympozjach od samego początku pełnią wspaniali dobrodzieje: restauracja Zamkowa i hostel Gryf podejmując obiadem i noclegiem naszych gości-prelegentów. Od 2010 roku rozpoczęła się stała współpraca z młodzieżą i gronem pedagogicznym I LO im. M. Curie-Skłodowskiej w Szczecinie w ramach zainicjowanego przez Fundację (przy udziale dyrektor Ewy Budziach i dr Agnieszki Kochan) projektu edukacyjnego „Od idei się zaczyna”. W tym też roku pojawił się poruszający spektakl teatralny *Sobotnia Góra* z udziałem aktorów z niepełnosprawnością intelektualną, w reżyserii i scenografii Ewy Żuk i Bożeny Żeleźnickiej, przygotowany przez szczecińskie wspólnoty międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”³.

³ Spektakl powtórzono dla mieszkańców Szczecina w maju 2011 roku na specjalnie wynajętej scenie Teatru Polskiego. Wydarzenie to, w połączeniu z recitale piosenki naiwnej Grażyny Rosik w zamkowej Piwnicy, znalazło swój epilog w postaci płyty DVD wydanej non profit przez Fundację.

Dla mnie od samego początku to właśnie osoby upośledzone umysłowo, a posiadające przy tym nieprzeciętne IQ serca, pozostają cichymi bohaterami zamkowych Zalewów Myśli. Są gotowe poprowadzić nas do miejsc, gdzie jeszcze nie byliśmy, a za którymi podświadomie tęsknimy. To oni noszą stale na dłoni najbardziej czysty przekaz człowieczeństwa: „Jestem istotą kruchą, ale to nie przeszkadza mi Ciebie kochać”. Nie potrzebują żadnych wizerunkowych zasłon, udawania czy ucieczek. Gdybyśmy ich miarą oceniali jakość ludzkiego życia, trzeba by zrezygnować ze zbrojeń, globalizacji, konsumenckiego pędu za nowościami, konfrontacji i sporów, a jako miernik postępu społecznego w miejsce PKB wprowadzić – podobnie jak w księstwie Bhutan – kategorię „stanu szczęśliwości”. Kryzys w państwie oznaczałby wówczas „stan poważnego zasmucenia” jego obywateli i traktowany byłby z najwyższą powagą przez tzw. polityków. Czy damy się kiedyś poprowadzić artystom Pana Boga?

Arkadiusz Więcko
pomysłodawca Szczecińskiego Zalewu Myśli

The Szczecin Flow of Thought 2008–2010

Summary

We know not from today, that people go to the performances of those whom they already know, but what about us?... I got the idea to organize an annual conference, called **The Szczecin Flow of Thought**, held in November at the Szczecin Castle of Princes Pomeranien in my hometown Szczecin (port city in north-western Poland counting ca. 350 000 dwellers). Although it's an expensive choice – as this is a central cultural premises in the city, but at the same time it's a place free from ideological connotations. The meetings from the very beginning have had the intention that everybody, irrespectively of their popularity, public recognition, religious belief or disbelief could share their experience of life in a spirit of mutual listening to each other and respect for diversity. In Poland, in the dimension of public life, we can not talk to each other, we lack the ability to listen to each other - most immediately we start arguing with each other!

We have organized four editions of our castle meetings so far. Their subjects have been:

- „A strong need the weak. Place of weakness in the relationship” – 2008,
- „For free not for free. Selflessness, generosity, for rehabilitation of virtues” – 2009,
- „The Little Prince. Save the child in the adult” – 2010.

Attentive audience plays major role in these meetings – we allow them plenty of time for a free discussion with invited guests. We record the text of these conferences on the website of our Foundation. By creating an online library we want to inspire new ideas, especially coming from and to young people. I decided to enrich the conferences at the Castle with accompanying events: an exhibition of artistic photography by a friend artist, theatrical spectacle with the participation of disabled artists, and of course offering a concert of poetic song, performed by invited stars. As a Foundation we are independent from any official ideology, artistic movements and thus we do not get funds from any official bodies.

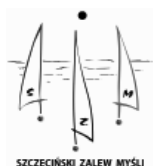
The host of our concerts in the castle on stage is always our Zespół Piosenki Naiwnej (Naive Song Group), and our leaders are intellectually disabled soloists! It became a tradition that our team is preparing the final song to sing together with every artist involved in the concert. Zespół Piosenki Naiwnej from Szczecin is composed of soloists with mental disabilities and accompanying musicians. They perform their own compositions to poetry using the rhythms of bossa nova and country folk.

The ensemble has its roots in the Szczecin - based community of the international movement „Faith and Light”, founded by Jean Vanier. It gathers persons with mental disabilities, their families and friends. The ensemble is founded on relations of friendship. Most of the musicians have known one another for over two decades. The songs, then, are selected, arranged and divided between the members of the ensemble so that each can be noticed on the stage and feel comfortable with a particular piece. The unique relations that join the musicians on the stage and out of the limelight have an impact on the public. The encounter of „power” and „weakness” on the stage triggers a huge charge of good vibrations.

*Arkadiusz Więcko**

(Translation: Magdalena i Mirosław Mikołajczykowie)

* E-mail: arekwiecko@op.pl, the Founders of The Foundation Family Home JANDRZEJÓWKA, www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl.



Organizator
Szczecińskiego
Zalewu Myśli

Fundacja Dom Rodzinny JANDRZEJÓWKA (dawniej: Fundacja Dom Rodzinny w Łysogórkach)

www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl

Fundacja ma siedzibę w Szczecinie. Od 1991 roku podejmuje działania na rzecz szeroko rozumianej integracji osób z niepełnosprawnością intelektualną ze społeczeństwem oraz podejmuje inicjatywy na rzecz środowiska szczecińskich wspólnot międzynarodowego ruchu „Wiara i Światło”, wspierając jego rozwój duchowy i potrzeby kulturalne. Fundacja posiada na własność zabytkową, szachulcową zagrodę „Jandrzejówka” we wsi Stare Łysogórki, pow. gryfiński, woj. zachodniopomorskie. Zagroda będzie poddana kapitalnemu remontowi, a w przyszłości nie wyklucza się powołania w tym miejscu wspólnoty życia z udziałem osób z niepełnosprawnością intelektualną. Jak dotąd od 25 lat „Jandrzejówka” służy jako wakacyjna przystań dla wspólnot „WiŚ”. Fundacja, sprawując opiekę nad domem, udziela ponadto wsparcia w organizacji rekolekcji, pielgrzymek, spotkań formacyjnych i zabaw karnawałowych przygotowywanych przez szczecińskie wspólnoty ruchu „Wiara i Światło”. Wszystkie funkcje członkowie zarządu wykonują z zasady nieodpłatnie.

Od 2006 roku Fundacja dzieli się w przestrzeni publicznej bogactwem wyniesionym ze spotkania z osobami z niepełnosprawnością intelektualną, promując ich integrację ze społeczeństwem. Służy temu m.in. strona internetowa Fundacji, zawierająca inspirujące materiały tekstowe i wideo. Od 2008 r. Fundacja organizuje co roku jesienią otwarte dla mieszkańców miasta sympozja połączone z imprezami towarzyszącymi, odbywającymi się na szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich w ramach Szczecińskiego Zalewu Myśli. Tematyka spotkań skupiona jest wokół idei życia w społeczeństwie głęboko ludzkim. Od 2010 roku w ramach umowy partnerskiej z I LO w Szczecinie we współpracy z gronem pedagogicznym Fundacja realizuje program edukacyjny „Od idei się zaczyna”, prócz tego wspiera spektakle teatralne z udziałem osób niepełnosprawnych, inicjuje warsztaty aktywizujące na terenie domu „Jandrzejówka” oraz sprawuje patronat nad unikalnym

w skali kraju Zespołem Piosenki Naiwnej z udziałem niepełnosprawnych solistów wykonujących własne piosenki. Tacy soliści jak: Marek Lepert, Iwona Dzik, Ola Jokusz, Grażyna Rosik, Krzysztof Garbarski pozostawili na scenie niezatarty ślad swojej wyjątkowości. Fundacja inicjuje projekty wydawnicze non profit: broszury z materiałami konferencyjnymi, nagrania i płyty: CD, DVD.

Zespół Piosenki Naiwnej, obchodzący w 2015 roku swoje dziesięciolecie, koncertował m.in. u boku rodziny Pospieszalskich, Elżbiety Adamiak, Jacka Kleyffa, Ryszarda Leoszewskiego, Olka Różanka, Elżbiety Wojnowskiej, Jana Pietrzaka, Stanisława Soyki, Słomy i Nicole, Jerzego Filara.

Adres do korespondencji w sprawach Fundacji, Zespołu i Zalewu Myśli:
ul. Przyjaciół Żołnierza 90 m. 12, 71-670 Szczecin, tel. (91)455 71 98
www.fundacja-dom-rodzinny.org.pl, e-mail: info@fundacja-dom-rodzinny.org.pl



Zagroda Fundacji „Jandrzejówka”
w St. Łysogórkach



Obóz wspólnoty „Wiara i Światło”
w Łysogórkach



Grupka dzielenia zdaje relację
podczas rekolekcji w Wisielce



Wspólnotowa zabawa karnawałowa
w Szkole Salezjańskiej